



CHŁOPAK
NIKT

TOM 1

JA JESTEM **NICZYM**
MISJA JEST **WSZYSTKIM**

ALE JEST
TEŻ **ONA**

ALLEN ZADOFF



CHŁOPAK
NIKT

ALLEN ZADOFF

TŁUMACZENIE:
ŁUKASZ PRASKI

Feeria
young

Feeria
WYDAWNICTWO
young

BIORĘ DO RĘKI KIJ BEJSBOŁOWY.

To prawie kilogramowy kij kompozytowy rawlings. Podnoszę go. Jest trochę źle wyważony z powodu wyszczerbienia na końcu.

Stojąc na parkingu, łapię kij za oba końce i rozciągam ramiona po zakończonym meczu. Natick kontra Wellesley. Wokół siebie mam kolegów z drużyny Natick – pakerów ze szkoły średniej, którzy robią to, co zwykle po wygranym meczu. Świętują. Hucznie.

Ja też świętuję tak jak oni.

Myślę sobie przy tym:

Jestem jednym z was. Jestem młody. Jestem zwycięzcą.

Rozciągam się i uśmiecham.

Po chwili przenoszę ciężar na drugą nogę i biorę szeroki zamach kijem. W tym momencie za moimi plecami pojawia się Jack Wu. Kij mija jego głowę o dwa centymetry.

Stojący niedaleko postawny mężczyzna w czarnym garniturze sztywnieje. Sztywnieje, ale nie interweniuje.

To ochroniarz Jacka i jego kierowca, który chodzi za nim jak cień, gdy Jack jest poza domem. Ojciec Jacka

jest bogaty. Bogaty i nerwowy.

Jack nie cierpi ochroniarza. Wspomni ł mi o tym kilkanaÅcie razy. PrzyjaÅnimy si , wi c m wi mi takie rzeczy.

– UwaÅaj z tym kijem, stary – m wi Jack i wali mnie pi ci  w rami . Źartobliwie.

Garnitur robi krok naprz d, a Jack, odgaduj c jego reakcj , obraca si  na pi cie.

– Spok j, Rover – m wi, jakby si  zwraca  do pitbula.

Garnitur uÅmiecha si  krzywo, jakby zrozumia  żart, ale zastanawiam si , czy gdyby mia  okazj , nie skopa by Jackowi ty ka. Opiera si  o lÅni cego czarnego mercedesa i czeka.

– Ale wymiata eÅ – m wi Jack, pokazuj c ruchem g owy na boisko.

– Staram si  dawa  z siebie wszystko – odpowiadam.

– Wtedy rozwalasz kaÅdego, kto ci stanie na drodze – m wi Jack i znowu uderza mnie w rami .

Tym razem wielkolud w garniturze nie rusza si  z miejsca. Ale patrzy na nas reszta zawodnik w.

Dwa ciosy w rami . Spos b na zaznaczenie swojej dominacji.

Dominacja to zagrożenie. Trzeba się nim zająć.

W myślach analizuję listę rozwiązań:

Mogę pozwolić mu się uderzyć. Wybrać niższy status.

Mogę odpowiedzieć tym samym, z taką samą siłą.

Mogę uderzyć mocniej. Zaznaczyć swoją dominację.

Co mam wybrać?

Jack to niby mój przyjaciel. Nastolatek walnąłby swojego kumpla, tak jak on walnął mnie. W razie wątpliwości naśladowaj. Tego mnie uczono.

Czyli opcja numer dwa.

Oddaję Jackowi, lekko uderzając go w ramię.

– Au! – krzyczy, udając, że go zabolalo. – Nie tak ostro.

Cała akcja trwa nie dłużej niż dwie sekundy:

Robię zamach kijem.

Jack mnie uderza. Ja mu oddaję.

Wybuchamy śmiechem pod czujnym okiem Garnitura.

Gdybyście nas obserwowali, zobaczylibyście dwóch pakerów, dwóch kumpli, którzy dla wygłupu dokuczają sobie nawzajem.

– Chcesz pojechać do skarbcza? – pyta Jack.

Skarbiec. Tak Jack nazywa swój dom.

– Mogę wpaść na chwilę – odpowiadam.

Jack rusza w stronę samochodu. Garnitur szybko reaguje, otwierając mu tylne drzwi.

– Mój kumpel jedzie ze mną – informuje go Jack.

– Dobrze, proszę pana – mówi ochroniarz, dając mi znak, żebym wsiadał do samochodu.

SKÓRA W MERCEDESIE JEST MIĘKKA.

A siedzenie należy do tych, które przygarniają cię do siebie i zapraszają do relaksu. Mówi: „Jesteś pod dobrą opieką. Wiozę cię tam, dokąd chcesz”.

Wyobrażam sobie, że mam ojca, którego stać na takie rzeczy. Kosztowne samochody. Kosztownych ochroniarzy. Nie tylko go stać, ale chce też, żeby to samo miał jego syn. Chce dla niego dobrej opieki.

Ale w tym momencie nie powinienem myśleć o takich sprawach. Nie teraz, gdy jest coś do zrobienia.

Zerkam na Jacka. Siedzi z lekko odchyłoną do tyłu głową i ma zamknięte oczy.

– Tak sobie myślę – mówi.

– Rzadko ci się to zdarza – odpowiadam.

– Bydlę – oznajmia.

Uśmiecha się, nie otwierając oczu.

– Myślę sobie o tobie i o mnie.

– Przestań – mówię. – Zaczynam się bać.

– Nie mogę chociaż przez minutę być poważny? – pyta Jack.

– Jak chcesz być śmiertelnie poważny przez

sześćdziesiąt sekund, nie będę cię powstrzymywał.

– Myślałem, że jesteś prawdziwym kumplem.

– Masz masę kumpli – mówię.

– Ale nie takich, których zapraszam do domu. Nie takich, którym ufam.

– A mnie ufasz?

– Bez kitu – odpowiada Jack.

Siedzący z przodu Garnitur kaszle. Chce ostrzec Jacka? Przypomnieć o swojej obecności? A może nic z tych rzeczy. Coś go połaskotało w gardle i tyle.

– Jeżeli mi ufasz, mogę od ciebie pożyczyć sto dolców? – pytam.

– Aż tak to ci nie ufam – mówi Jack.

Wybuchają śmiechem.

Szturcza mnie w ramię.

Pozwalam na to.

GARNITUR WSTUKUJE KOD PRZY
ZEWNĘTRZNEJ BRAMIE.

Szeroka metalowa brama rozsuwa się, otwierając przed nami długi podjazd, przy którym, jakieś pięć metrów dalej, stoi budka strażnika.

Podjeżdżamy do budki i Garnitur wita strażnika skinieniem głowy. Unosi dwa palce. Wjeżdżają dwie osoby, Jack i ja. Strażnik zaznacza to na kartce przypiętej do podkładki. Nie pierwszy raz mnie widzi, więc to nic nadzwyczajnego.

Ruszamy dalej, pokonujemy ostry zakręt i po chwili naszym oczom ukazuje się dom. Duży, ale bez specjalnego przepychu. Garnitur zatrzymuje wóz, żeby nas wypuścić.

Jack wstukuje kod, żeby wejść do domu.

Rozlega się krótki pisk, zapowiadający nasze wejście. I komunikat: „Drzwi otwarte”.

Kiedy drzwi się zamykają, znów słychać sygnał. „Drzwi zamknięte” – mówi elektroniczny głos.

Wychodzi do nas ojciec Jacka z piwem w ręku. Nazywa się Chen Wu. Przyjaciele mówią na niego John.

Jest prezesem zarządu dużej firmy przy drodze numer 128. Zaawansowane technologie, mnóstwo zamówień rządowych.

Naprawdę potrzebuje takiej ochrony?

Wiem, że ją lubi. Człowiek czuje się ważny, mając wokół siebie tłum ludzi z bronią. Czuje się bezpieczny, a co ważniejsze, bezpieczna czuje się jego żona, która dzięki temu nie daje mu w kość.

Zresztą nie dotyczy to tylko pana Wu. Wszyscy prezesi są ostatnio podenerwowani. Rok temu doszło do przestępstwa. Dzieciak kogoś ważnego spędzał ferie wiosenne w Meksyku i został zastrzelony podczas próby porwania. Szefowie pięciuset największych firm z rankingu listy „Fortune” dostali świra na punkcie ochrony. I teraz bogate dzieciaki takie jak Jack muszą robić kupę w obstawie oddziału komandosów.

– Miło was widzieć, chłopcy – mówi ojciec Jacka.

– Co słyhać, tato? – pyta Jack. – Przepraszam za wyrażenie, ale muszę się odlać.

Odwraca się w drzwiach.

– Słuchaj, nie mogę u ciebie długo siedzieć – mówię.

– Musisz iść? – Jack jest wyraźnie rozczarowany.

– Muszę zadzwonić do mamy. Tam, gdzie teraz jest, pewnie jest rano.

– To kicha – mówi Jack.

Pędzi po schodach na górę.

– Zdążysz się napić czegoś zimnego? – pyta ojciec Jacka.

– Piwa czy oranżady?

– A ile masz lat? – pyta.

– Szesnaście.

– W takim razie oranżady. Nie ze mną te numery.

Wzruszam ramionami, jak gdybym był bardzo zawiedziony, i idę za nim przez pokój.

– Jak mecz? – pyta ojciec Jacka.

– Niesamowity – mówię. – Powinien pan kiedyś przyjść popatrzeć.

– Nie bardzo przepadam za szkolnym bejsbolem – odpowiada.

Ale jego syn przepada, więc co to ma za znaczenie?

Często spotykam to u ludzi z pięćsetki „Fortune”. Pan Wu ciągle pracuje. Z wyjątkiem piątku. Tylko wtedy ma wolny czas i nie chce go spędzać z rodziną. Wieczorem się relaksuje, a potem znowu pracuje cały weekend.

No i niech będzie. Jest piątek wieczór i jest w domu.
Ja też.

To się liczy.

Idziemy do kuchni i rozmowa schodzi na Red Sox.
Jesteśmy niedaleko Bostonu, więc musimy pogadać
o Sox.

Na blacie zauważam drogi blok z nożami, w którym
jedna szczelina jest pusta. Dość szeroka szczelina.
Brakuje dużego noża, którego można by użyć jako
broni.

Rozglądam się po kuchni.

Zlew.

Nóż leży na desce do krojenia obok zlewozmywaka,
trzy metry od nas. W bezpiecznej odległości.

Uspokajam się i robię głęboki wydech. Siadam przy
stole, sięgam do plecaka i wydaję długopis.

Ojciec Jacka patrzy na mnie sprzed lodówki
z pytającym wyrazem twarzy.

– Chcesz robić notatki?

– Kiedy pan mówi o bejsbolu, chętnie posłucham –
mówię.

Ojciec Jacka się uśmiecha. Ja też.

W razie wątpliwości naśladuj.

Przekręcam koniec długopisu i z pstryknięciem wysuwa się z niego obsadka z kulką.

Ojciec Jacka wyciąga do mnie rękę z puszką napoju.

Przyciskam końcówkę długopisu do jego przedramienia. W tym momencie uruchamia się tłok miniaturowej strzykawki.

Kiedy środek zaczyna działać, ojciec Jacka szeroko otwiera oczy. Rozchyła usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć.

Może próbuje zapytać: „Dlaczego?”.

A może: „Co ty robisz?”.

Ale środek działa błyskawicznie. Jego szybkość zależy od wieku i stanu fizycznego, co źle wróży ojcu Jacka.

Nie jest w dobrej formie.

Czyli efekt jest natychmiastowy. Nie pada nawet jedno słowo.

Ojciec Jacka traci równowagę; łapię go i kładę na podłodze obok kuchennego stołu. Nie mogę mu pozwolić upaść, bo nie chcę, żeby Jack zbiegł na dół sprawdzić, co to za hałas. Nie chcę, żeby ktokolwiek tu

wpadł. Jeszcze nie.

Potrzebuję piętnastu sekund.

Sześciu, żeby położyć go na podłodze, rozrzucając mu ręce i nogi, jak gdyby po upadku. Łokciem przewracam obok niego puszkę z piwem. Syczy piana.

W ciągu pięciu sekund chowam notes i długopis i zasuwam zamek plecaka, wiszącego na oparciu krzesła.

Czekam jeszcze cztery sekundy, żeby przebieg reakcji chemicznej w ciele pana Wu uniemożliwił reanimację.

Piętnaście sekund.

Gotowe.

Patrzę na zwłoki. Nie ma już człowieka, który był Chenem Wu.

Nie ma już męża.

Nie ma ojca.

– Ufam ci – mówił Jack.

I to był twój błąd, myślę.

Minęło dwadzieścia sekund. Zewnętrzna granica przedziału czasowego mojej operacji.

– O Boże! – krzyczę. – Na pomoc!

Gwałtownie otwieram drzwi wejściowe.

– Niech ktoś pomoże! – wołam.

Jack zbiega po schodach i jego twarz blednie w szoku. Wydaje jakiś dźwięk, coś pomiędzy jękiem a wrzaskiem.

Do kuchni wpadają ochroniarze. Pierwszy tylko rzuca okiem na ciało i już wie.

Wszystko, co dzieje się potem, to tylko show.

Odsuwam się na bok i obserwuję.

Próby reanimacji, karetka i tak dalej.

Potem przepycham się naprzód, jak gdybym chciał się znaleźć w samym środku akcji, blisko swojego przyjaciela Jacka. Powstrzymuje mnie Garnitur, który był na meczu bejsbola.

Kładzie mi rękę na ramieniu łagodnym gestem, jakby był moim ojcem. Chcę ją strącić, ale tego nie robię.

– Może będzie lepiej, jak się odsuniesz – mówi.

– A Jack...?

– To sprawa rodzinna – odpowiada.

Rozluźniam napięte ramiona, które obejmuje Garnitur.

– Muszę zabrać plecak – mówię.

Wkracza w środek zamieszania, bierze mój plecak, podaje mi i wyprowadza mnie z domu.

Oglądam się przez ramię. Ostatnie, co udaje mi się dojrzeć, to siedzący na kanapie Jack, zgarbiony, z głową pochyloną prawie do kolan.

Obraz głębokiego smutku.

A wszystko przeze mnie.

MIJAM BŁYSKAJĄCE ŚWIATŁA AMBULANSU.

Mijam samochody ochrony, policjantów, gwar głosów w krótkofalówkach.

– Podwieźć cię? – pyta strażnik przy bramie.

– Dam sobie radę.

– Ciężki dzień – mówi.

– Okropny – odpowiadam.

– Akurat zdarzyło się na mojej zmianie. – Kręci głową. – Ale nie mogą mnie za to winić, nie? Nie jestem Bogiem. Nie decyduję, gdzie i kiedy.

Nieprawda. Nie trzeba być Bogiem, żeby zdecydować, gdzie i kiedy. Wystarczy zacząć działać i być gotowym zmierzyć się z konsekwencjami.

– Uważaj na siebie – mówi.

– Zawsze uważam – odpowiadam.

Otwiera mi bramę i wychodzę.

Idę ulicą wolnym krokiem – jak ktoś, kto przeżył traumę. Ale nie przeżyłem żadnej traumy. Myślę już o tym, co będzie. Analizuję strategię wydostania się stąd.

I może przez moment myślę o Jacku.

Przez cztery tygodnie był moim najlepszym

przyjacielem.

Ale już nie jest.

Może mu się bardzo nie spodobać, że zabiłem jego ojca. Chociaż na pewno się o tym nie dowie. Ten środek nie zostawia żadnych śladów. Ojciec Jacka miał atak serca. Takie będą wnioski z sekcji, jeżeli w ogóle przeprowadzą sekcję. Pociągnie się za odpowiednie sznurki, a raczej, bardziej współcześnie, naciśnie się klawisze w komputerze.

Jeżeli zostanie przeprowadzona sekcja zwłok, niczego nie wykaże.

Śmierć z przyczyn naturalnych.

To moja specjalność. Ludzie wokół mnie umierają, ale nigdy nic nie wskazuje na mój udział. Zawsze wygląda to tak, jakby po szczęściu nagle przychodził pech.

Szczęście: poznajesz w szkole fantastycznego nowego przyjaciela.

Pech: na twoją rodzinę spada tragedia.

Jedno i drugie na pozór nie ma ze sobą nic wspólnego, ale ma.

Jack o tym nie wiedział, gdy miesiąc temu zostaliśmy

najlepszymi przyjaciółmi. Bez trudu zakradłem się do jego życia i tak samo łatwo je teraz opuszczam.

Złamałem serce jeszcze jednemu chłopakowi, zmieniłem bieg jego życia. Na moje szczęście potrafię to zrobić i w ogóle tego nie odczuwać.

Niczego nie czuję.

Nieprawda.

Jest mi zimno, jestem głodny, czuję, jak materiał nowej koszuli ociera się o moją skórę, czuję żwir pod stopami.

Ale to są wrażenia, nie uczucia.

Też kiedyś miałem uczucia. Chyba. Ale to było bardzo dawno temu.

Jeszcze przedtem.

MIAŁ NA IMIĘ MIKE.

I był moim najlepszym przyjacielem.

Tak w każdym razie myślałem.

Był nowy w szkole, ale nie zachowywał się jak nowy. Ledwie przyszedł, wydawało się, jakby uczył się w niej od zawsze.

– Czym się interesujesz? – zapytał mnie, kiedy pierwszy raz z nim gadałem.

– Lubię czytać – odpowiedziałem.

Miałem wtedy dwanaście lat i miałem tyle książek, że tato musiał mi zrobić drugi regał w pokoju.

– Czytasz te historie o wampirach? – pytał.

– Nie. Sensacja, przygoda. Czasem dobre science fiction.

– Super – odrzekł. – Ja też.

Wcale nie czułem się nieswojo, kiedy błyskawicznie zostaliśmy przyjaciółmi. To było takie uczucie, jak gdyby rozdzielono nas zaraz po urodzeniu. Byliśmy jak dwaj bracia. Przyrodni.

W ciągu tygodnia staliśmy się nierozłączni. Po dwóch zaczął nocować w moim domu.

Siedzieliśmy do późna na przekór rodzicom, rozmawiając na każdy możliwy temat. Wymienialiśmy się książkami. Gadaliśmy o dziewczynach.

Właśnie w ciągu tamtego roku zauważyłem, że dziewczyny noszą biustonosze, a przy odpowiednim świetle ich bluzki prześwitują. Mike nauczył mnie, że w słoneczny dzień zawsze trzeba się starać, żeby dziewczyna znalazła się między tobą a oknem, bo dzięki temu wszystko lepiej widać. Uznałem go za geniusza.

Mike i ja. Dwaj dwunastoletni smarkacze, którzy śmieją się i gadają o pierdołach, zachwyceni, że znaleźli w sobie nawzajem kompanów do zabawy.

Patrząc wstecz, myślę sobie, że powinienem się trochę dziwić, że nigdy nie widziałem jego domu, nie poznałem jego rodziców. Mówił, że jego tato jest radcą prawnym w firmie i często wyjeżdża służbowo. Mój tato był wykładowcą i naukowcem, który czasem jeździł na konferencje, więc wiedziałem, o czym mówi. Mniej więcej.

Mama czuła się przytłoczona, mówił. Nie lubiła, gdy w pobliżu kręciły się dzieciaki.

Moja mama też czuła się przytłoczona. Nie gośćmi,

ale moim tatą. Wtedy kłócili się chyba od dobrych paru miesięcy. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale to była kłótnia tego rodzaju, że trwa, nawet kiedy się akurat nie toczy, nawet kiedy panuje cisza.

Ciągnęła się tak długo, że miałem wrażenie, jakby nasza rodzina przeżywała załamanie nerwowe.

Powiedziałem o tym wszystkim Mike'owi.

Był moim przyjacielem. Dobrze było mu powiedzieć, zwierzyć się z tego.

Nie wiedziałem, że zamierza zabić moich rodziców.

TO SIĘ CZASEM ZDARZA, KIEDY KOŃCZE.

Przychodzą wspomnienia. Nie wiem dlaczego.

Kiedy stale jestem w ruchu, w końcu odpływają.

Oddaliłem się od Jacka już o ponad kilometr i idę ulicą, zmierzając w kierunku punktu ewakuacji. Skoro wszystko poszło zgodnie z planem, powinienem być już daleko od miasta.

Powinienem.

Ale nie jestem.

Wyczuwam to chwilę wcześniej. Coś wisi w powietrzu. Każdy ma intuicję, ale nie każdy wie, jak jej słuchać. Mnie uczono słuchać, zauważać drobne zmiany w otoczeniu, żeby przewidzieć skutki, zanim do czegokolwiek dojdzie.

I nauczono mnie reagować.

Intuicja podpowiada mi, że coś się wydarzy.

I rzeczywiście się wydarza.

Zza rogu wyjeżdża ciemnoszary sedan. Na mój widok kierowca lekko skręca w bok. Manewr trwa ułamek sekundy, jak gdyby ktoś w ostatnim momencie zauważył wybój na drodze i szarpnął kierownicą, żeby go ominąć.

Ale nie ma żadnego wyboju. Tylko ja.

To naturalna reakcja człowieka. Gdy zauważasz to, czego szukasz, twoje ciało reaguje. Pokerzyści nazywają to sygnałem, mimowolnym gestem, który ujawnia, co gracz ma w ręku.

Kierowca wysłał sygnał. To dobrze.

Bo zanim samochód stanie na środku drogi, mam kilka sekund, żeby się przygotować.

Szybko rozglądam się po terenie.

Za plecami mam pustą drogę. Pod stopami kamienie i żwir. Z dala od drogi stoi parę domów, których okna zasłaniają gęste drzewa.

A niecałe dwadzieścia metrów przed sobą mam samochód.

Idę jeszcze kilka kroków i widzę numery rejestracyjne. To nie jest żaden z samochodów ojca Jacka. Wóz ma tablice dyplomatyczne.

Otwierają się drzwi. Wysiada czterech Azjatów w garniturach. Poruszają się swobodnie, jak gdyby zagadkowe pojawienie się czterech mężczyzn w garniturach na środku uliczki na przedmieściu nie było niczym nadzwyczajnym.

Opcje do wyboru:

Mógłbym uciec do lasu. Sprawdzić, jak sobie radzą pieszo i w pojedynkę.

Niektórzy powiedzieliby, że najlepsza strategia w tej sytuacji to rozdzielenie sił i stopniowe rozprawienie się z przeciwnikiem.

Niektórzy. Ale nie ja.

Od ludzi, którzy mnie szkolili, nauczyłem się jeszcze jednej sztuczki. Zamiast rozpraszać siły, trzeba je skupić. Skoncentrować je do tego stopnia, żeby zredukować ich skuteczność.

Właśnie tej sztuczki użyję.

Problem: nie noszę przy sobie pistoletu, a mój śmiercionośny długopis razem z resztą narzędzi zniknął w kanale ściekowym. Pusty plecak wrzuciłem do kontenera na śmieci przy drodze daleko stąd.

Czyli mogę polegać tylko na swoim wyszkoleniu.

Powinno wystarczyć.

Ale nie mogę mieć pewności.

Nie zmieniając trajektorii, zbliżam się do samochodu. Pozostało już tylko dziesięć metrów. Postawą ciała pokazuję, że nie stanowią żadnego zagrożenia. Jestem

szesnastoletnim chłopakiem idącym ulicą. Chcę, żeby to zobaczyli.

Zresztą to prawda. Mam szesnaście lat. Idę.

Podchodząc bliżej, słyszę, że mężczyźni rozmawiają ze sobą po mandaryńsku. Widzę, że ich garnitury są uszyte z taniego materiału, a marynarki ciasno opinają im szerokie ramiona.

Dyplomaci nie mają szerokich ramion. Może czasem trafi się jeden, który ostro ćwiczy. Ale nie czterech naraz.

Nie znam tych ludzi. Nie natknąłem się na nich podczas wykonywania zadania z Jackiem. Ale coś o mnie wiedzą, bo patrzą na mnie jak na obiad w zoo.

Być może zaraz zrobi się ciekawie.

– Halo? – mówi pierwszy z nich. – Zgubiliśmy się. Możesz nam wskazać drogę?

Dobra angielszczyzna. Ale sztuczka słaba.

Nikt nie zatrzymuje samochodu na ukos pośrodku ulicy, żeby zapytać o drogę.

To idiotyczne, ale jestem nastolatkiem, więc ludzie często mnie nie doceniają.

Większość nastolatków z tym walczy, bo chcą

pokazać, jacy są twardzi.

Nie ja.

Dobrze jest być niedocenianym. Zyskuje się przewagę taktyczną.

Kiedy więc Chińczyk pyta o drogę, odpowiadam:

– Oczywiście. A dokąd panowie jadą?

Jest trochę zaskoczony, ale nie do końca.

Ciągle mnie nie docenia.

– Mam adres w telefonie – mówi.

Pokazuje mi smartfon z Androidem, żebym spojrział na ekran. Facet stojący obok niego kieruje wzrok na aparat. Telefon jest w wyciągniętej ręce. A to oznacza, że muszę podejść do nich na odległość wyciągniętej ręki, żeby przeczytać adres.

Zbliżam się do nich.

Dwaj z tyłu robią krok naprzód, zaciskając się. Rozluźniają się w tym samym momencie. *Łatwo pójdzie.* Tak myślą. Widzę to w postawach ich ciał.

Dwa rzędy po dwóch. Idę w ich kierunku, równocześnie składając w całość wszystkie elementy. Szerokie klaty, krótko ostrzyżone włosy, dyplomatyczne tablice. Prawdopodobnie mam przed sobą chińskich

szpiegów. Domyślam się, że ojciec Jacka robił z nimi jakieś interesy i właśnie dlatego mnie tu przysłano.

Ale niczego nie wiem na pewno. Nie muszę wiedzieć.

Zadawanie pytań nie należy do mnie. Dostaję zadanie i je wykonuję.

Na ogół sprawa przebiega gładko, ale coś poszło nie tak, bo znaleźli się tutaj, a ja zostałem wykryty.

Zostawię sobie pytania na później.

W tej chwili liczy się tylko jedno.

Przeżyć.

Nie walczę dla rozrywki. Walczę, kiedy to konieczne.

Jeżeli zapakują mnie do wozu na dyplomatycznych tablicach, to koniec. Nie będzie interwencji policji, nie doczekam się żadnej pomocy.

Nie mogę do tego dopuścić.

Facet, który odezwał się do mnie po angielsku, wyciąga do mnie rękę z telefonem. Przychodzi mi na myśl ryba głębinowa z wyrostkiem zwisającym przed pyskiem, którym wabi ofiary. Ryba z własną wędką stworzoną przez naturę.

Zaawansowany program biologii, podtemat 3C: konkurencja i drapieżnictwo.

Facet ma telefon. Wymachuje nim jak przynętą.

Biorę.

Dosłownie. Wyciągam mu go z ręki.

Okręcam się i walę go telefonem w grzbiet nosa. Nie zadaję pytań, nie waham się ani chwili. W końcu mam przed sobą czterech mężczyzn.

Trzaska szkło. Trzaska jego nos.

Zanim facet pada na ziemię, zajmuję się już następnym. Tym razem robię użytek z rogu telefonu. Biorę zamach z obrotu i wbijam mu aparat w lewe oko. Szybka poprawka i facet dostaje w prawe. Gałka oczna przez chwilę stawia opór, po czym pęka.

Dwaj wyeliminowani.

Miałem przewagę zaskoczenia. Już nie mam.

Rusza na mnie trzeci z nich. Potężniej zbudowany niż reszta. Dużo potężniej. Zasłania twarz. Nie da się nabrać jak jego kumple.

A więc muszę go nabrać inaczej.

Widząc, że czwarty odsunął się na skraj drogi, daję nura w stronę otwartych drzwi samochodu. Właśnie tam minutę temu chciał mnie wsadzić numer trzy. Ale podczas walki minuta to dość długo. Facet zamierzał

posadzić mnie z tyłu. Skoro już tam jestem, oznacza to, że musi wejść za mną.

Wykonuję ruch, jak gdybym chciał wskoczyć do auta i wyskoczyć z drugiej strony.

Robię to w połowie. Wsiadam do samochodu. Nie wysiadam.

Facet wchodzi za mną.

To wąska przestrzeń. W wąskiej przestrzeni gibkość wygrywa z masą.

Gibkość to ja. Masa to on.

Próbuje obrócić ręce, żeby zamierzyć się do ciosu, ale ma za mało miejsca.

Ciągle mam w ręku telefon. Tym razem zaciskam go w pięści, żeby zwiększyć siłę uderzenia, i walę go trzy razy.

Ciosy go ogłuszają, ale nie unieszkodliwiają.

Wymykam się z wozu, a kiedy facet za mną rusza, rąbię go w twarz drzwiami.

Bez czucia pada na ziemię.

Wie, jak przyjąć cios, ale nie wie, jak przyjąć uderzenie drzwiami samochodu w głowę. Nikt nie wie.

Unoszę wzrok i widzę czwartego, który czeka

z wyciągniętym pistoletem.

Ma broń, a ja mam w ręce rozbity telefon.

Nie można tego nazwać uczciwą walką.

Dureń z bronią pomyślałby, że już wygrał. Ale nie czwarty z nich. Jest inteligentny. Obserwuje i wyciąga wnioski.

Trzyma się z dala od telefonu, z dala ode mnie i mojego pola rażenia.

Celuje w środek mojego korpusu. Czyli wie, jak używać broni. Kiedy celujesz w głowę, a człowiek szybko się porusza, prawdopodobieństwo trafienia jest bardzo małe. Inaczej niż w sytuacji, gdy mierzysz w środek masy.

Nie używam broni palnej, ale wiem o niej wszystko. Przynajmniej tyle, żeby wiedzieć, że mam przechłapanie.

Ruchem głowy pokazuje mi, żebym się odwrócił. Nie wymachuje lufą, jak zrobiłby niedoświadczony amator.

Jeżeli się teraz odwrócę, już jest po mnie.

Nie sądzę, żeby do mnie strzelił. Zabierze mnie gdzieś i będzie zadawał pytania. To o wiele gorsze, niż gdyby strzelił.

Myślę o swoim ojcu. Kiedy widziałem go ostatni raz,

miałem dwanaście lat. Był przywiązany taśmą do krzesła i krwawił. Ktoś zadawał mu pytania.

Pytania są złe.

Tamto z ojcem wydarzyło się bardzo dawno temu. W innych czasach, w innym życiu.

Teraz stoi przede mną człowiek z pistoletem.

Teraz muszę szukać jakiegoś wyjścia.

Muszę przeżyć.

Czwarty z mężczyzn krzyczy do mnie coś po mandaryńsku. Nie mam pojęcia, co mówi, ale jest wściekły. Wie, co próbuję zrobić. Chcę zagrać na czas. Zastanowić się nad polem manewru. Jego trzech kumple zostali wyeliminowani i krwawią, więc nie traktuje mnie już jak szesnastolatka.

Patrzę na pistolet. Patrzę mu w oczy.

Zimne.

Mam kłopoty.

Wtedy rozlega się dźwięk telefonu.

Dzwoni smartfon w mojej ręce. Szybka ekranu jest rozbita, ale aparat ciągle działa.

Dzwonek zaskakuje go tak samo jak mnie.

Zaskoczenie to niezła rzecz. Zwłaszcza jeżeli można

je obrócić na swoją korzyść.

Odbieram telefon.

– *Ni hao ma?* – mówię. „Jak się masz?” po chińsku.

To mniej więcej wszystko, co potrafię powiedzieć.

Przez chwilę słucham głosu w słuchawce, po czym wyciągam do czwartego rękę z telefonem, jak gdyby dzwonił ktoś do niego. Jest w takim szoku, że nie wie, co począć.

Lekko potrząsam telefonem. Patrzą na faceta jak na idiotę. Obaj słyszemy krzyżący w słuchawce człowieka, którego brzęczący głos jakby dobiegał z oddali.

Nie wiem, o czym mówi, ale to nie ma znaczenia.

Biologia, podtemat 3C.

Wymachuję przed sobą telefonem.

Facet sięga po niego...

A ja uderzam go w głowę, we wrażliwe miejsce prawej skroni, dwa centymetry za okiem. Cios jest tak silny, że telefon rozpada mi się w ręce.

Mężczyzna pada na ziemię.

Gotowe.

A gdyby telefon nie zadzwonił? Co by się stało?

Nie teraz. Nie mogę o tym teraz myśleć.

– Przypadek może być twoim sprzymierzeńcem albo twoim wrogiem – mawiała Matka. – Zrób wszystko, żeby był przyjacielem.

Matka. Tak nazywałem kobietę, która mnie szkoliła.

Zapamiętałem tę lekcję i dziś zastosowałem ją w praktyce.

Patrzę na ciała czterech mężczyzn, leżące na ziemi wokół mnie. Patrzę na pistolet u moich stóp.

Matka nauczyła mnie czegoś jeszcze. Śmierć to narzędzie, którego używam w pracy. Nie korzystam z niego pochośnie. Mógłbym dobić tych ludzi, ale to nie jest bezwzględnie konieczne. Już zostali okaleczeni, a ich zamiary pokrzyżowane.

Nie muszą umierać. Przynajmniej na razie.

Sprawa zamknięta.

Pora użyć prawdziwego telefonu. Mojego iPhone'a.

Wygląda jak zwykły telefon, ale to tylko złudzenie. Struktura fizyczna jest taka sama, ale system operacyjny bardzo różni się od standardowego. A jeżeli chodzi o aplikacje, hm, też znacznie odbiegają od normy.

Otwieram aplikację Weather Channel. Klikam na

RAPORT O OSTRZEŻENIACH METEOROLOGICZNYCH.

Unoszę telefon. Na ekranie pojawia się mapa z kropką GPS pokazującą moje położenie. Świeci się na czerwono, a sekundę później zaczyna błyskać na zielono.

Wkrótce przyjedzie tu zespół sprzątaczy.

Matka nie będzie zadowolona. Być może będę musiał się tłumaczyć.

Z kieszeni czwartego z mężczyzn wyciągam kluczyki do samochodu. Uruchamiam sedana. Chińscy szpiedzy pewnie nie zgłoszą kradzieży auta.

Poza tym wóz jest na dyplomatycznych tablicach. A ja lubię szybką jazdę.

PĘDZĘ AUTOSTRADĄ.

W normalnych okolicznościach nigdy bym tego nie robił. Nie robiłbym niczego, czym mógłbym zwrócić na siebie uwagę.

Ale dyplomatyczne tablice i kretyńska jazda pasują do siebie. Poza tym jestem na płatnej autostradzie, gdzie przepisy ruchu drogowego są kwestią dobrej woli.

Jadę w kierunku Bostonu, oddalając się od miejsca zdarzenia. Za oknem przemykają słupki milowe i z każdym następnym jestem bezpieczniejszy niż przy poprzednim.

Spoglądam we wsteczne lusterko, odruchowo sprawdzając, czy nie mam żadnego ogona. Otwieram szyberdach, żeby obserwować niebo.

Jestem sam.

Przelotnie myślę o Jacku, jak się teraz może czuć. W ułamku sekundy trafił do smutnej statystyki. Śmierć jego ojca niewiele obejdzie uprzywilejowanych uczniów prywatnej szkoły średniej w Natick. Młody człowiek, niespodziewana strata rodzica, czas żałoby, czas na pogodzenie się z tragedią.

Ale wiem coś, czego Jack nie wie:

Życie toczy się dalej.

Nawet po największych tragediach po prostu toczy się dalej.

Mam szesnaście lat, ale tę lekcję znam bardzo dobrze. Pomaga mi robić to, co muszę robić.

Wiem coś jeszcze:

Ojciec Jacka nie był tym, za kogo go uważano.

Jack sądził, że jego ojciec jest prezesem firmy z sektora high-tech, która zdobywała duże zamówienia rządowe.

To była prawda.

Ale jego ojciec był kimś jeszcze. Potajemnie współpracował z niewłaściwymi ludźmi. Po akcji z czterema chińskimi szpiegami dziś po południu zaczynam przypuszczać, że z chińskim rządem.

Nie muszę znać szczegółów. To nie moja sprawa.

Do mnie należy wkroczyć, wykonać zadanie i zniknąć. Zająć się następnym.

Zadanie zostało wyznaczone.

Nie muszę myśleć. Muszę działać.

Wystarczy, że znam ogólny zarys sytuacji,

a prawdziwa sytuacja ojca Jacka przedstawia się tak, że robił coś, czego nie powinien był robić. Stał się przez to niebezpieczny, możliwe nawet, że był zdrajcą.

Dlatego mnie tu przysłano. Żeby go powstrzymać.

To moja specjalność. Dostaję zadanie i je wykonuję.

Program, organizacja, dla której pracuję, twierdzi, że jestem patriotą, ale patrioci mają jakiś wybór. Ja nie mam.

Może to nieprawda.

Dawno temu miałem wybór i popełniłem błąd.

Mój ojciec też miał wybór. Wybrał źle, bo inaczej nie byłoby mnie tutaj.

Wracam do Jacka i jego ojca. Do bieżącej sprawy.

Nie muszę mieć swojego zdania na temat tego, co zrobiłem, ale mam swoje przemyślenia, które mi pomagają.

Oddałem Jackowi przysługę.

Nie wie, jakie szkody wyrządził dotychczas jego ojciec ani jakie szkody mógł wyrządzić, gdyby nie został powstrzymany.

W przeciwieństwie do mnie, wyidealizowany obraz ojca pozostanie z Jackiem na zawsze, zatrzymany

w czasie. Nigdy nie będzie wiadomo, kim był jego ojciec. Nie dowie się tego Jack. Ani nikt inny.

Oto, co Jack zapamięta:

Piękne kłamstwo, którym żyła jego rodzina.

Nie jestem takim szczęściarzem jak Jack.

Znam prawdę o swojej rodzinie. Przynajmniej jej część.

Wiem, że mój ojciec nie był wspaniałym tatą, za jakiego go uważałem, ani człowiekiem, którego udawał przed światem. Program mówi mi jedno, ale wspomnienia mówią mi coś innego.

Nie wiem, w co wierzyć.

Ale to wystarczy, żeby wszystkie moje wspomnienia stały się podejrzone, a przeszłość stała się tajemnicą, od której nie mogę uciec.

BYŁ POCZĄTEK LISTOPADA, SOBOTA PO POŁUDNIU.

Miałem dwanaście lat.

Czekałem na ojca w jego gabinecie na uczelni, kiedy zadzwonił telefon. Wydarzył się wypadek i miałem natychmiast przyjść do domu. Tak powiedział człowiek, który do mnie zadzwonił.

Pobiegłem do domu, gdzie zastałem Mike'a siedzącego przy stole kuchennym. Jego widok tutaj mnie zaskoczył.

– Gdzie moi rodzice? – zapytałem.

Na talerzu stojącym pośrodku stołu leżały ciastka. Owsiane z rodzynkami. Mama zwykle je dla nas wyciągała. Byłem chudy i niewiele jadłem. Mike jak na swój wiek był dość tęgi i jadł sporo.

– Twój rodzice – zaczął Mike. – Muszę z tobą o nich pogadać.

Zauważyłem puszkę z napojem imbirowym leżącą na podłodze obok lodówki. Z rozlanego płynu powstała lepka, brązowo-żółta kałuża. Patrzyłem na puszkę, zastanawiając się, jak się tam znalazła, zastanawiając się,

dlaczego nikt nic z nią nie zrobił, gdy nagle Mike wyciągnął rękę i dotknął mnie czymś.

Czymś ostrym, jakby pinezką.

Nagle ogarnęło mnie zmęczenie.

– Nic się nie bój – powiedział do mnie.

– Czemu miałbym się bać? – zapytałem.

Zaczęło mi się kręcić w głowie, zachwiałem się i upadłbym na podłogę, ale Mike mnie przytrzymał. Podparł mnie ramieniem i zaprowadził do salonu. Jak przyjaciel pomagający przyjacielowi w potrzebie.

Mój ojciec siedział w salonie na krześle ze zwieszoną głową i skrępowanymi nogami, przymocowanymi taśmą izolacyjną do nóg krzesła.

– Ale śmieszne – powiedziałem.

Kiedy widzisz coś absurdalnego, co przekracza twoje zdolności pojmowania, twój umysł interpretuje to jako żart. To naturalny mechanizm obronny człowieka. Wiele razy robiłem z niego dobry użytek.

Wtedy nic jeszcze nie wiedziałem o takich rzeczach. Byłem młody i głupi. Pomyślałem, że to po prostu zabawa.

– Śmieszne – przytaknął Mike. – Śmieszne i smutne.

– Nie rozumiem – odparłem.

Mike głośno pstryknął palcami. Raz i drugi.

Ojciec gwałtownie podniósł głowę. Nie mógł się odezwać. Miał usta zaklejone taśmą.

– Tato – powiedziałem.

Jego oczy mówiły wszystko.

To nie była zabawa. To było zagrożenie.

Mike chwycił mnie za kołnierz, przyciągnął blisko ojca; tak blisko, że prawie się dotykaliśmy.

– Widzisz? – zapytał Mike.

Ale nie mówił do mnie.

Miałem dopiero dwanaście lat, ale zrozumiałem. Może nie umiałbym wtedy wyrazić tego słowami, ale zaczynało do mnie docierać, co się dzieje.

Mike nie przyprowadził mnie do salonu, żeby mi pokazać, co zrobił mojemu ojcu; przyprowadził mnie, żeby pokazać ojcu, co zamierza zrobić ze mną.

– To nie jest twój syn – powiedział do mojego ojca Mike. – Już nie.

Próbowałem wyciągnąć ręce do ojca, ale Mike mnie odsunął.

Byłem już bardziej niż śpiący. Zasypiałem na stojąco.

- Kim jesteś? – zapytałem Mike’a.
- Twoim przyjacielem – odpowiedział.
- Nie jesteś moim przyjacielem.
- Bystry z ciebie dzieciak – stwierdził Mike.

Powiedział to w taki sposób, jakby sam nie był dzieciakiem. Był kimś innym, a ja nie miałem jeszcze pojęcia, że ktoś taki w ogóle istnieje.

Wyprowadził mnie na zewnątrz. Nie potrafiłem stawić żadnego oporu. Wsadził mnie do czekającej taksówki. Samochód wyglądał jak taksówka, ale miał przyciemnione szyby.

Nigdy więcej nie zobaczyłem już żadnego ze swoich rodziców.

To był koniec wszystkiego.

I początek wszystkiego innego.

WCISKAM PEDAŁ GAZU I CZUJĘ, JAK REAGUJE SILNIK.

Patrzę przez okno na rozmazane kontury słupków milowych. Rozmazane kontury budynków. Rozmazane twarze. Dawno temu nauczyłem się, że prędkość rozmazuje kontury świata. Im większa prędkość, tym bardziej niewyraźny widok.

Jeżeli będę się ciągle poruszał naprzód, tak już zostanie.

Ta myśl sprawia, że łatwiej mi się oddycha.

Kiedy zbliżam się do pierwszej strefy na piętnaście kilometrów, widzę przed sobą bar Dunkin' Donuts.

Zatrzymuję się tam i zostawiam sedana w odległym rogu dużego parkingu. Przykro mi, że muszę go porzucić. Potwór nie samochód.

Przesiadam się do wozu, który tu na mnie czeka. Toyoty camry z odrapanym tylnym zderzakiem i poharatanymi kołpakami. Samochód ma się wtapiać w tło. Nudny. Powolny.

Wyciągam iPhone'a. Przeciągam palcem belkę w lewo, do góry, a potem szybko w dół i w górę po

przekątnej. To zapisany w pamięci gest, przełączający telefon w zabezpieczony tryb.

Otwieram katalog Gry, wybieram aplikację Poker, klikam NOWA GRA.

Karty zostają przetasowane.

Układam dziesięć, odpowiadających numerowi telefonu, po czym klikam ROZDAJ.

Komputer otwiera połączenie z anonimowym serwerem. Mój głos jest konwertowany na sygnał cyfrowy, podzielony na pakiety, przesłany przez sieć i złożony z powrotem.

Cały ten skomplikowany proces trwa nie dłużej niż sekundę.

Po jednym sygnale odzywa się kobiety głos.

– Halo, mamó – mówię.

Tak nazywam tę kobietę. Matka. Kobietę, która wszystkim zarządza. Moje zadania prowadzi Ojciec. Matka je nadzoruje.

Matka i Ojciec. Tak mówię o ludziach, którzy mną kierują. Wszystko ze względów bezpieczeństwa. Gdyby z jakiegoś powodu ktoś przechwycił połączenie, usłyszałby po prostu rozmowę matki z synem.

Z synem.

Tak mnie właśnie nazywa.

– Kochanie – mówi głos w słuchawce. Brzmi, jak gdyby jego właścicielka cieszyła się z mojego telefonu.

– Słyszałam o meczu od ojca.

– W takim razie już wiesz, że wygrałem – mówię.

– Wiem.

– Ale... doszło do komplikacji. Później.

Cisza.

– Pojawiło się czterech awanturników – ciągnę. –
Zupełnie niespodziewanie.

– Dla ciebie. Nie dla mnie.

Cieszę się, że wiedziała o chińskich szpiegach, martwi mnie jednak fakt, że ja nic nie wiedziałem. Czyżbym czegoś nie zauważył?

– Możesz powiedzieć mi coś więcej, kto to był? –
pytam. – To by mi pomogło poradzić sobie lepiej
następnym razem.

– Słyszałam, że byli wśród publiczności na meczu
i przez pomyłkę weszli na boisko. Znaleźli się
w niewłaściwym miejscu i czasie.

– Czyli nie ma się czym przejmować?

– Zupełnie – potwierdza Matka.

– Ulżyło mi – mówię.

Obok mnie śmigają samochody pędzące autostradą. Patrzę na gigantyczny billboard stojący po drugiej stronie drogi. Uśmiechnięta rodzina siedzi przy stole w kuchni i je obiad.

Tam jest dom, gdzie jest <3

Tak brzmi napis. Nad sercem unosi się para.

Wydaje mi się to bez sensu.

Przyglądam się przez chwilę, próbując zrozumieć przesłanie.

– Wygrałeś mecz – mówi Matka. – Tylko to się liczy. Twój ojciec i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

– Naprawdę?

– Oczywiście – zapewnia mnie.

Dumni.

Miło mi to słyszeć. Oznacza to, że dobrze wykonałem swoją pracę, wywiązałem się z następnego zadania. Potrafiłem nawet zareagować na nieoczekiwane okoliczności, które pojawiły się na koniec.

Jestem dobry w tym, co robię, i doceniają mnie za to.

Dlaczego więc ciągle dręczy mnie jedno pytanie?

Kiedy to się skończy?

To właśnie chcę wiedzieć.

Moje życie jest jednym nieustannym zadaniem. Przenoszę się z jednego świata do drugiego, tak jak mnie wyszkolono, pozostawiając za sobą tylko ciała. Z każdym zadaniem przychodzą nowe wyzwania, nowe komplikacje, nowe emocje.

Masz talent. Tak mi kiedyś powiedziała Matka. Mówiła, że zauważyła to u mnie pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy.

W tym sensie mam szczęście. Ilu szesnastolatków wie, kim są i co mają robić w życiu?

A jednak mimo tego wszystkiego, co wiem i czego mnie nauczono, wciąż pojawia się pytanie:

Kiedy to się skończy?

Myślę o obietnicach, które mi składano. O kłamstwach, których słuchałem.

Nie, poprawiam się w myślach. To nie były kłamstwa.

To były obietnice, które źle zrozumiałem.

Byłem wtedy mały. Skąd mogłem wiedzieć?

MIKE WSADZIŁ MNIE DO TAKSÓWKI.

Nic nie pamiętam z drogi.

Mike mnie uśpił. Uśpił, ale nie zabił. Mógł zrobić jedno albo drugie. Teraz o tym wiem. To po prostu kwestia wyboru strzykawki. Jedno pstryknięcie to śmierć. Dwa pstryknięcia to chwilowa śpiączka.

Obudziłem się w pięknej sypialni, do której przez okno wpadały promienie słońca.

Ziewnąłem i przeciągnąłem się, myśląc, że to wakacje i że jesteśmy w domu w Karolinie Południowej, który mój ojciec każdego lata wynajmował na miesiąc.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem nieznany las.

To nie była Karolina Południowa.

Ogarnęła mnie fala wspomnień, które przebiły gęste narkotyczne opary.

Widok ojca przywiązanego taśmą do krzesła. Przerazenie w jego oczach.

Podbiegłem do drzwi sypialni.

Były zamknięte na klucz.

Wrzasnąłem.

Rzuciłem się na drzwi.

Podbiegłem do okna, które też było zamknięte.

Próbowałem rozbić szybę, ale była z nietłukącego szkła.

Znów zacząłem krzyczeć. Rzucałem się na ściany. Niszczyłem meble.

Wreszcie drzwi się otworzyły.

Stała w nich kobieta, którą później miałem nazywać Matką, i spokojnie mi się przyglądała.

– Gdzie moi rodzice? – zapytałem.

– Nie żyją.

To były pierwsze słowa, które padły z jej ust. Nie wiedziałem jeszcze, że śmierć będzie podstawą naszej znajomości.

Posadziła mnie i przedstawiła mi wybór. Mogłem dołączyć do swoich rodziców albo do niej. Przystąpić do Programu.

Tak to nazwała. Program.

W najprostszych słowach wyjaśniła mi, co to jest. Miałem zostać żołnierzem. Przejść szkolenie fizyczne i psychologiczne. Miałem robić rzeczy, które większość chłopaków może robić tylko w grach komputerowych.

Przedstawiła mi to bardzo atrakcyjnie.

Powiedziała, że tylko ode mnie zależy, czy przystąpię do Programu.

Bez względu na moją decyzję, nie miałem już żadnego wpływu na swoje życie. Mogłem się poddać i dołączyć do swoich rodziców albo przyjąć jej propozycję.

Miałem dwanaście lat i musiałem wybrać między życiem a śmiercią.

Wybrałem śmierć.

Możecie to nazwać lojalnością. Możecie to nazwać naiwnością.

Chciałem być z rodzicami, nawet jeżeli to oznaczało śmierć.

Dlatego powiedziałem jej:

– Zabijcie mnie.

Paradoksalnie właśnie o to im chodziło. Moja decyzja pokazała im siłę charakteru, na której im zależało, wszystkie odpowiednie cechy osobowości potencjalnego żołnierza.

Zaangażowanie.

Czarno-białe myślenie.

Upór.

Oddanie bez względu na konsekwencje.

Same przydatne z ich punktu widzenia cechy. Moje oddanie i wierność przerobili w taki sposób, żeby służyły ich celom.

Służyły Programowi.

Matka obiecała mi nowe życie.

I dostałem je.

SŁYSZĘ ODDECH MATKI PO DRUGIEJ STRONIE TELEFONU.

Jesteś tam? – pyta.

– Jestem.

– Powiedziałałam, że jesteśmy z ciebie dumni.

– Cieszę się.

To sygnał dla mnie. Mam się pożegnać i rozłączyć, ale tego nie robię.

Cisza na drugim końcu linii staje się niezręczna.

– Coś jeszcze, kochanie? – pyta głos w słuchawce.

Brzmi w nim nuta rozdrażnienia.

Kiedy? – krzyczy głos w mojej głowie.

– Nic więcej – mówię. – Po prostu bardzo mi zależy na następnym zadaniu.

Pytanie przestanie mnie dręczyć, kiedy dostanę zadanie. Pytanie, wspomnienia, wszystko.

– Zagłądaj do skrzynki mailowej – informuje mnie Matka. – Ojciec coś ci przyśle.

W ten sposób zawiadamiają mnie o zadaniu. Przez Ojca.

– Niedługo?

– Znasz Ojca. Działa w swoim własnym tempie.

– Oczywiście.

– Na pewno wszystko w porządku? – pyta.

– Dlaczego coś miałoby być nie w porządku?

Matka milczy przez ułamek sekundy, po czym odpowiada:

– Muszę już kończyć. Ściskam cię, kochanie.

– Kocham cię. Niedługo porozmawiamy – mówię.

Wracam do scenariusza. W razie wątpliwości trzymać się scenariusza.

W słuchawce zapada cisza.

Zamykam aplikację Poker.

Matka na billboardzie uśmiecha się nienagannie umalowanymi ustami. Jej syn unosi do ust łyżkę gorącego płynu. Matka patrzy na niego z dumą.

Tam jest dom, gdzie jest <3

Dom. Czy tak wygląda dom?

Wpatruję się w billboard.

Nagle jego sens staje się zupełnie jasny.

W przekazie nie ma żadnej głębi. To po prostu reklama zupy.

OCZEKIWANIE.

Najtrudniejsza rzecz.

Jedno zadanie się kończy i ma nadejść następne. Między nimi ziele czarna dziura, zwana oczekiwaniem.

Nie mogę już wrócić do Natick. Dom, w którym mieszkałem, został już wyczyszczony, rozpuszczono też plotki o tym, dlaczego musiałem go opuścić. Przez dwa miesiące mieszkałem tam sam, ponieważ moi rodzice wyjechali w dłuższą podróż służbową.

Taka była wersja początkowa.

Za granicą wydarzył się jakiś straszny wypadek. Musiałem bez uprzedzenia wyjechać z miasta.

Tak brzmi wersja końcowa.

Teraz pora zmienić miasto i czekać. Tym razem czarna dziura nazywa się Providence.

Jeżeli to tylko możliwe, podróżuję koleją. Pociąg jest wolny i staroświecki, ale to akurat może działać na moją korzyść. System bezpieczeństwa jest mniej szczelny, nikt nie sprawdza dokumentów i łatwo kupić bilet pod fałszywym nazwiskiem. Poza tym podoba mi się jazda koleją. Najbezpieczniej czuję się zamknięty w metalowej

kapsule i w ruchu.

Wsiadam do pociągu Acela Express, a niecałą godzinę później melduję się w Marriottcie w centrum Providence. Hotel może być kłopotliwym miejscem dla szesnastolatka. Mam dokumenty dorosłego i karty kredytowe, ale muszę ostrożnie dobierać strój. Nie mogę wkroczyć do hotelu ubrany jak nastolatek. Narazam się na pytania.

Mną się nie przejmują. Przejmują się swoim pokojem. Boją się, że nastolatek zorganizuje imprezę i go zdemoluje. Upije się, straci przytomność, a na nich spadnie odpowiedzialność.

Czasem dzwonię wcześniej i rezerwuję pokój dla syna, ale to wymaga wymyślenia historyjki, a historyjki przyciągają uwagę.

Historyjki łatwiej zapadają w pamięć. Zwykle zameldowanie się w hotelu – nie.

Dlatego właśnie staram się jak najmniej odbiegać od normy. Najlepsze są duże miasta. Najlepsze są sieci hoteli. I kluby. Jestem zarejestrowany w programie lojalnościowym Marriott Rewards pod dziesięcioma nazwiskami.

Idę w stronę recepcji. Przed restauracją stoi duża grupa zaaferowanych i rozgadanych ludzi, mieszanina wiekowa od dwudziestu do pięćdziesięciu kilku lat. Mają uszczęśliwione miny, jak gdyby właśnie ktoś ich wyciągnął z więzienia.

Patrzę na ogłoszenia o konferencjach.

Na jednej z tablic jest napis: WITAMY BIBLIOTEKARZY!

– Jest pan jednym z nas? – pyta dobrze ubrana kobieta w szalowych okularach.

– Niestety nie – odpowiadam.

Wywołuję promienny uśmiech na jej twarzy.

Podchodzę do recepcji i podaję recepcjonistce kartę kredytową. Przeciąga ją przez czytnik i kładzie na ladzie przede mną.

– Miło nam znów pana gościć, panie Gallant – mówi.

Patrzy na mnie przelotnie. Pytająco. *Czy nie jesteś troszkę za młody na pana?*

Dzieciak powiedziałaby: *Pan Gallant to mój ojciec.* Próbowałaby pokazać, że jest na luzie.

– Cieszę się, że znowu tu jestem – mówię. Zachowuję się jak starszy. Wyglądam na starszego.

– Długo pan u nas zostanie?

– Jeżeli będę miał szczęście, to krótko – odpowiadam.

– Może coś się panu spodoba w Providence.

Uśmiecha się do mnie, a ja po raz pierwszy przyglądam się jej uważniej – ciemne włosy, szare, mocno podmalowane oczy i czarny obcisły uniform, który nie maskuje fantastycznego ciała.

W innych okolicznościach moglibyśmy się zabawić, ale nie wolno mi się rozpraszać. Zamiast skorzystać z okazji, którą mi wyraźnie podsunęła, postanawiam ją zlekceważyć.

– Czy w Providence w ogóle coś się może spodobać?

– pytam.

Kobieta się śmieje.

– Właśnie pan obraża moje miasto rodzinne – informuje mnie.

– Rozumiem, że właśnie dostałem pokój z widokiem na parking?

Kieruję jej uwagę z powrotem na pokój, na proces meldowania.

Załatwiamy formalności. Nic więcej.

Przez chwilę stuka w klawisze komputera. Unosi

wzrok.

– Naprawdę w tym mieście można robić dużo ciekawych rzeczy. Jeżeli jest pan zainteresowany, mogłabym pokazać kilka wyjątkowych miejsc.

Zmiana tematu nie podziałała. Pora przestać owijać w bawełnę.

– Jestem zainteresowany – mówię – ale nie mam czasu. Przyjechałem służbowo naprawdę na krótko.

– Szkoda.

– To prawda.

Podaje mi niewielką papierową kopertę z kartą magnetyczną do drzwi.

– Pokój siedemset pięćdziesiąt dziewięć. Z ładnym widokiem. Zapewniam.

– Dziękuję.

Nie patrzę na plakietkę z jej imieniem. Lepiej nie zwracać się do niej po imieniu. Lepiej nie nawiązywać żadnych bliższych kontaktów.

Kontakty zapadają w pamięć. Dlatego są dla mnie niebezpieczne.

Kiwam głową i odsuwam się, robiąc następnemu gościowi miejsce przy recepcji. Może on zrobi to, czego

nie wolno mnie – odwiedzi wyjątkowe miejsca i miło spędzi czas w Providence.

Nawiąże kontakt.

Spoglądam na kopertę z kartą magnetyczną.

Pokój 759. Tam będę czekał.

ZDEJMUJĘ UBRANIE.

Wkładam je do plastikowego worka, który chowam w swojej torbie podróżnej. Później wrzucę worek do pojemnika na używaną odzież. Nie do kontenera ze śmieciami. Worek z ubraniami w śmieciach wywołuje podejrzenia.

Oglądam w lustrze swoje nagie ciało.

W ubraniu jestem przeciętny pod każdym względem.

Nago moje ciało wygląda zupełnie inaczej.

W oczy rzuca się jego mocna budowa. Ale to można akurat wytłumaczyć uprawianym w szkole średniej sportem. Zwykle ważę dwa kilogramy ponad normę, żeby zamaskować muskulaturę.

Kłopot z moją nagością to blizna. Wypełniony twardą tkanką ślad po paskudnej ranie ciętej w lewym mięśniu piersiowym, między klatką piersiową a ramieniem.

Po ranie od noża.

Dotykam blizny, badając palcami martwe ciało.

Matka nazywa złe doświadczenia „czasem nauki”. Lekcjami życia.

Dostałem pewną lekcję, po której na zawsze pozostał

mi znak na skórze. Bardzo dużo się wtedy nauczyłem. Dowiedziałem się, że kiedy stajesz naprzeciw człowieka uzbrojonego w nóż, koncentrujesz myśli; zwłaszcza gdy wciska ci w pierś ostrze, którego pięć centymetrów pogrzeże się w twoim ciele.

Dowiedziałem się, że Mike jest zdolny do wszystkiego.

Z nożem w klatce piersiowej można się nauczyć wielu rzeczy.

Można się nauczyć, jak ocalić własne życie. Albo jak umrzeć.

Ale na tym właśnie polega zadanie żołnierza. Szkolisz się na wypadek takich sytuacji i masz nadzieję, że kiedy do nich dojdzie – jeżeli w ogóle dojdzie – będziesz przygotowany.

PIERWSZE DWA LATA W PROGRAMIE BYŁY PRZEZNACZONE NA PRZYGOTOWANIE.

Dwa lata, żeby zmienić chłopaka w kogoś zupełnie innego. Dwa lata ludzkiej alchemii stosowanej przez Program.

Z początku opierałem się tej transformacji. Potem jednak przestałem.

Mój pierwszy odruch, żeby umrzeć, szybko się ulotnił. Nikt naprawdę nie chce umierać. To nienaturalne. W rzeczywistości przeżywałem szok. Śmierć rodziców, zdrada Mike'a, zatrzymanie przez obcych ludzi.

Gdy szok minął, pragnienie śmierci ustąpiło miejsca bardziej naturalnemu instynktowi.

Pragnieniu życia.

Rzuciłem się w wir szkolenia.

Nie było ze mną żadnych innych chłopaków. W szkoleniu uczestniczyłem tylko ja i grupa zawodowców. Samych dorosłych.

Cały program stworzono wyłącznie dla mnie, tak mi się w każdym razie wtedy wydawało.

Czułem się jak ktoś wyjątkowy.

Ojciec koordynował szkolenie. Co jakiś czas pojawiała się Matka, żeby sprawdzać moje postępy.

Była nauka. Więcej niż program szkoły średniej w ciągu niecałych dwóch lat.

Był trening fizyczny. Szkolenie z taktyki i posługiwania się bronią.

Była strategia i psychologia.

I testy. Mnóstwo, mnóstwo testów. Zupełnie innych od egzaminów, które musi zdawać zwykły uczeń. Testy odwagi, wytrzymałości, umiejętności walki, zdolności reagowania na niespodziewane sytuacje.

Z testów można było uzyskać tylko dwie oceny, pozytywną albo negatywną. A negatywna ocena w Programie oznacza, że nie wychodzi się z niego cało.

Kiedy uznali, że jestem gotowy, wytłumaczyli mi, na czym ma polegać moja nowa praca.

Tyle że nie nazywali tego pracą. Nazywali to misją.

Jestem patriotą. Tak mi powiedzieli.

I moim jedynym obowiązkiem jako patrioty jest posłuszeństwo wobec Programu, który dał mi życie, i wobec kraju, któremu służę.

Być może jest więcej takich jak ja. Nastolatków, które robią to samo, zaszytych w szkołach w całym kraju. Nawiązują bliski kontakt. A potem wykonują swoje zadania.

Jeżeli istnieją, nigdy ich nie spotkałem.

O ile wiem, jest tylko jeden chłopak taki jak ja.

Mike. Chłopak, który zabił moich rodziców.

Chłopak, z którym musiałem walczyć, żeby skończyć szkołę.

PRZESUWAM PALCEM PO TWARDEJ GRANICY BLIZNY.

Przypominam sobie Mike'a, mojego współtowarzysza Programu. I nienawidzę go.

Powtarzam sobie, że wtedy nie miałem żadnych umiejętności. No, może nie żadnych, ale na pewno żadnego doświadczenia.

Nie to co dziś.

Dzisiaj wyglądałoby to inaczej.

Ale nawet wtedy dobrze zapamiętałem tę lekcję.

Przeżyć.

Włączam telewizor w pokoju hotelowym, chcąc zająć czymś uwagę.

Na tym polega problem z czekaniem. Jest czas na myślenie, czas na wspomnienia. To mi w niczym nie pomaga.

Przerzucam kanały, oglądając lokalne wiadomości.

Gdzieś w Massachusetts pewien ważny chiński biznesmen miał atak serca. Informacja trafiła do regionalnych wiadomości w Providence.

Oglądam blok informacyjny na CNN. Do

ogólnokrajowych news już nie trafił.

Temat dnia to nowa inicjatywa pokojowa na Bliskim Wschodzie, któremu znowu zagraża fala przemocy. Premier Izraela wraz z rządem zabiegają o trwałą pokój w regionie, ale sprzeciwiają się temu czynniki w jego własnym gabinecie. Zdjęcia zasypanej gruzem ulicy w Jerozolimie, gdzie bomba zniszczyła witrynę sklepu. Izraelski premier, znany z umiarkowanych poglądów, błaga o spokój.

Przełączam telewizor na MTV.

Program o randkach nastolatków.

To ma być reality show, ale nie jest. Widzę, że uczestnicy kłamią. Nauczyli się na pamięć swoich kwestii.

Nauczono mnie następującej rzeczy:

Jeżeli chcesz ustalić, czy ktoś kłamie, wyłącz dźwięk. W prawdziwym życiu oznacza to, że musisz przestać słuchać, co ktoś mówi, i obserwować jego zachowanie.

Ludzie są gotowi powiedzieć wszystko. Ale prawdę da się odczytać tylko z tego, co robią.

Ściszam telewizor.

Patrzę na nastolatki na ekranie, na szerokie uśmiechy,

białe zęby, usta, które otwierają się i zamykają w pantomimie miłości.

Myślę o ojcu. Nie tym, od którego mam dostać e-mail. O moim prawdziwym ojcu.

Myślę o tym, jak wracał do domu z pracy, kiedy byłem mały. O jego ubraniu, o teczce, którą nosił. Myślę o dniu, gdy zabrał mnie do pracy na Uniwersytecie Rochester i przedstawił mnie swoim kolegom.

Byłem wtedy młody. Ufny. We wszystko wierzyłem.

Inaczej niż dziś.

Lojalność budząca wątpliwości. Takie słowa usłyszałem od Matki, przystępując do Programu. Kiedy ją zapytałem, dlaczego mnie tam sprowadzono, odpowiedziała:

– Lojalność twojego ojca budziła wątpliwości.

Powiedziała to tonem pełnym potępienia, jak gdyby mój ojciec nie dochował wierności. Nie wiem, wobec czego czy kogo.

Wyłączam fonie w swoich wspomnieniach i przyglądam się ojcu na uniwersytecie. Widzę, jak rozmawia z kolegami, patrzę na jego poruszające się bezgłośnie usta. Patrzę, jak mnie przedstawia. Patrzę mu

w oczy. Patrzę, jak przesuwa kartę magnetyczną przez czytnik w zamkniętych drzwiach i wprowadza mnie do laboratorium. Pamiętam, jaki ważny się czułem. Uważałem się za szczęściarza, który może przebywać w miejscu, gdzie nie wpuszcza się żadnych gości. Mój ojciec był kimś wyjątkowym. Uprzywilejowanym.

Rozglądam się po jego gabinecie. Staram się zrozumieć, kim był i co robił.

Jeżeli nie był profesorem, to kim?

Jeżeli nie był pracownikiem naukowym, to kim?

Jeżeli nie był dobrym człowiekiem, to kim?

W kółko odtwarzam w myślach tę scenę, ale nie znajduję w niej nic podejrzanego.

Widzę jedynie ojca, który w ciągu miesiąca przed śmiercią mówił tylko prawdę.

MIJAJĄ TRZY DNI.

Trzy długie dni w Providence. Śpię, ćwiczę, chodzę do kina sam.

Przede wszystkim jednak czekam.

Staram się nie popaść w żadną rutynę i nie nawiązywać żadnych znajomości.

We wtorek rano z niespokojnego snu budzi mnie dzwonek.

Przekręcam się na bok i spoglądam w ekran telefonu.

E-mail z Programu.

Obejrzyj ten klip. Śmieszny!!!

Tato

Śmieszny. Trzy wykrzykniki.

To szyfr oznaczający pilny kontakt. Pamiętam to ze szkolenia operacyjnego, ale nigdy dotąd go nie używano.

Muszę się zająć jakąś wyjątkowo trudną sprawą. Dostałem nowe zadanie.

Znowu się zaczyna.

Nareszcie.

W MIEJSCOWYM STARBUCKSIE ZAMAWIAM DUŻĄ KAWĘ.

Dolać panu dodatkową porcję espresso? – proponuje barista.

– Dlaczego pan pyta?

– Wygląda mi pan na człowieka z misją. Nie zaszkodzi się trochę orzeźwić.

Spoglądam na baristę, szukając w jego twarzy charakterystycznych oznak, które mogłyby sugerować, że wie, kim jestem. Gdyby było trzeba, mógłbym błyskawicznie przeskoczyć ladę i go dopaść.

– Tylko jedną porcję ekstra – dodaje. – Co nas nie zabije, to nas wzmocni.

Uśmiecha się. Ja też się uśmiecham.

Już widzę, że jest nieszkodliwy. Błędnie oceniałem sytuację. Może chińscy szpiedzy trochę wyprowadzili mnie z równowagi. A może czekanie. Nieważne. Mam sprawę, którą się muszę zająć.

– Niech będą dwie porcje – mówię do baristy.

– To mi się podoba – oświadcza.

Znajduję wolne krzesło na samym końcu sali i loguję

się do darmowego wi-fi.

Mogę zabezpieczyć telefon, ale kiedy mam odebrać instrukcje dotyczące nowego zadania, bezpieczniej jest oddzielić się od świata jeszcze jedną warstwą anonimowości. Nie ma nic bardziej anonimowego niż kawiarnia Starbucks.

Nauczono mnie kilku prostych sztuczek, a wszystkie sprowadzają się do tej samej sztuczki.

Trzeba być widocznym dla wszystkich.

To najlepszy sposób, żeby zostać niewidzialnym.

Mój telefon podaje sieci fałszywy adres MAC, telefoniczną wersję numeru ubezpieczenia. Sadowię się wygodnie i jeszcze raz otwieram e-mail od Ojca.

Obejrzyj ten klip. Śmieszny!!!

Tato

Do maila jest dołączony link z YouTube. I obrazek do ściągnięcia. Maleńki obrazek. Ma zaledwie pięć kilobajów. Nie przedstawia niczego niezwykłego – zdjęcie górskiego jeziora. Jak gdyby mój ojciec był na wakacjach i wrzucił do sieci fotografię wyjątkowo niskiej jakości.

Zdjęcie nie ma zupełnie żadnego znaczenia, ale jego rozmiar jest najważniejszy.

5 kilobajtów. Pięć dni.

Przedział czasowy operacji w nowym zadaniu.

Niemożliwe.

Sprawdzam fotografię jeszcze raz, żeby się upewnić, czy nie pomyliłem się przy odczytaniu rozmiaru.

5 KB. Nie ma wątpliwości.

Moja operacja zawsze wygląda tak samo. Wkroczyć, zdobyć zaufanie, zintegrować się i wykonać zadanie. Nie zwracając niczyjej uwagi.

Ten proces wymaga czasu. Zwykle od jednego do trzech miesięcy, w zależności od wielu przeróżnych czynników.

Pięć dni. Co to ma być?

Rozglądam się po Starbucksie. Wiele osób ma przed sobą otwarte laptopy. Para starszych ludzi gawędzi przy kawie. Śmieją się dwie ładne dziewczyny w strojach sportowych.

Nikt nie patrzy w moją stronę.

Klikam link z YouTube. Filmik jest zupełnie nieważny. Z występu znanego zespołu, którego

wokalista w środku piosenki spada ze sceny. Może i śmieszne, ale to nie ma nic do rzeczy. Przeglądam komentarze i znajduję szesnasty wpis na liście.

Pierwsze słowo = Syf.

Ostatnie słowo = Gdzie.

SG. Inicjały profilu na Facebooku, który mam namierzyć.

Kiedy loguję się do Facebooka, znajduję kilkanaście nowych zaproszeń do grona znajomych, ale tylko jedno od faceta podpisującego się nickiem EsGie z Nowego Jorku.

SG. Temu muszę poświęcić uwagę.

To oczywiście nie jest prawdziwy profil. Nie utworzył go żaden EsGie, a kiedy skończę i zostanie usunięty, nie zostanie usunięty przez niego.

Zresztą to nie jest w ogóle profil, tylko dossier.

Przyjmuję zaproszenie do grona znajomych i klikam link do profilu.

U góry odczytuję prawdziwe imię i nazwisko tej osoby.

SG. *Sam Goldberg.*

Pierwsze zaskoczenie: Sam jest dziewczyną.

Nie lubię mieć do czynienia z dziewczynami. Są skomplikowane.

Jestem tak samo skuteczny w przypadku dziewczyn i chłopaków, ale dziewczyny stwarzają inny poziom trudności. Więcej emocji, więcej problemów.

Drugie zaskoczenie: Sam jest ładna. Więcej niż ładna. Piękna.

Ma bliskowschodnie rysy, wysokie kości policzkowe, długie do ramion kręcone włosy, jest szczupła i ma obfity biust.

Sama uroda mnie nie obchodzi. Ale uroda oznacza chłopaków. Adoratorów. Zazdrość. Rywalizację. Uroda może mi znacznie utrudnić zadanie.

Patrzę na zdjęcie Sam.

Wygląda dziwnie znajomo. W tyle głowy włącza mi się alarm.

Przy stoliku obok dziewczyny w sportowych strojach wybuchają śmiechem. Mają bardzo białe zęby.

Oddycham. Skupiam się. Alarm w mojej głowie cichnie.

Wracam do profilu.

Dwa albumy ze zdjęciami. Pierwszy to punkt

wyjściowy.

Klikam go.

Zdjęcia Sam.

Skacząc na trampolinie, unosi się w powietrzu z zastygłym na twarzy wyrazem radości.

Sam na konferencji MUN, młodzieżowej symulacji obrad ONZ, przemawiająca z przejęciem na podium.

Sam wygłupiająca się z trzema koleżankami podczas tańca, w którym każda z nich trzyma pod pachą nogę drugiej.

Mam przed sobą rozłożone jak talię kart intymne szczegóły jej życia.

Podglądając niewinną dziewczynę, czuję bliżej nieokreślone zakłopotanie.

Ale przypominam sobie: nikt nie jest niewinny.

Mimo wszystko twarz dziewczyny wydaje mi się znajoma. Gdzie ją widziałem?

Klikam następne zdjęcie. Sam z koleżankami pozuje przed fasadą niezwykłego budynku na Manhattanie. Jego kształt przypomina gigantyczny ekran telewizora. Poznaję nazwę ekskluzywnej szkoły prywatnej na Upper West Side.

Przechodzę do albumu numer dwa. Kluczowego albumu.

Pierwsze zdjęcie. Sam ubrana na jakąś oficjalną okazję. Przyjęcie, na którym obowiązują stroje wieczorowe. Rzadko się zdarza, żeby na takich bankietach pojawiały się nastolatki. Ale może to nie dotyczy bogatych nastolatek z Manhattanu.

Sam wygląda elegancko w czerni. Jest młodsza niż na poprzednich fotografiach. Zdjęcie pochodzi sprzed kilku lat.

Następne. Sam pozuje z rodzicami na tym samym przyjęciu.

Otwieram szeroko oczy. Zaczynam szybciej oddychać.

Klikam w zdjęcie dwa razy, żeby je powiększyć. Muszę się upewnić, czy naprawdę dobrze widzę.

Sam, w tej samej czarnej sukience, stoi między ojcem a matką i wszyscy troje obejmują się ramionami. Jej ojciec, wyraźnie zachwycony, zachowuje się przed obiektywem zupełnie swobodnie.

Nic dziwnego. Jest burmistrzem Nowego Jorku.

JUŻ WIEM, GDZIE JĄ WCZEŚNIEJ WIDZIAŁEM.

Samara Goldberg, córka burmistrza Goldberga.

Nazywają go Burmistrzem West Side. Burmistrzem ludzi. Burmistrzem, który mimo wysokiego stanowiska nie oderwał się od ziemi i nie zapomniał o swoich korzeniach.

Jonathan Goldberg to były matematyk-statystyk i wykładowca. Dzięki swoim teoriom analitycznym dorobił się fortuny jako właściciel firmy prowadzącej analizy globalnego bezpieczeństwa. Został wciągnięty do polityki jakby wbrew własnej woli. Potem zaczął szybko awansować.

Burmistrz na zdjęciu jest wysoki i chudy, smukły jak córka. O dobrych kilka lat starszy od matki Sam. Jej matka to prawdziwa piękność. Już widzę, po kim Sam odziedziczyła urodę.

Przypominam sobie tę historię. Matka Sam zginęła parę lat temu w wypadku podczas odwiedzin u rodziny w Izraelu. Zupełnie nieprawdopodobnym wypadku. Znalazła się w niewłaściwym miejscu i czasie.

Potem burmistrz pogrzeał się w żałobie, a razem

z nim miasto, które go kocha.

Serce bije mi za szybko. Sto uderzeń na minutę. Sporo jak na mnie.

Wstaję i się przeciągam. Dziewczyny spoglądają na mnie. Dlaczego chłopak przeciąga się w Starbucksie?

– Ciągłe mnie wszystko boli po treningu – wyjaśniam.

Jedna z dziewczyn chichocze i szepcze coś do koleżanki.

Zwracam na siebie za dużo uwagi. Siadam z powrotem, tłumiąc w sobie energię. Głęboko oddycham, żeby zwolnić tętno.

Klikam na zdjęcie, które się zmniejsza. Odliczam je po kolei.

Obejrzałem dwa zdjęcia, ale ważne jest trzecie.

Drugi album, trzecie zdjęcie. Na nim zawsze jest obiekt, mój główny cel.

To może być ktokolwiek. Wuj albo ciotka. Nawet niania. Każda osoba bliska rodzinie.

Klikam fotografię numer trzy.

To zdjęcie burmistrza Goldberga. Samego.

To on jest obiektem.

Sam jest celem pośrednim, burmistrz Nowego Jorku

obiektem, a mój termin to pięć dni.

Oto moje nowe zadanie.

Znowu zerkam na baristę. Uwija się za barem, a jego twarz przysłania teraz obłok pary.

Pora iść.

Trzymając telefon jedną ręką, uderzam jego lewym rogiem w stół. Raz, mocno i pod konkretnym kątem.

Dziewczyny patrzą w moją stronę. Pewnie wyglądam na rozeźlonego dzieciaka, który robi zły użytek z telefonu. Ale chodzi o co innego. To wbudowane w aparat zabezpieczenie.

Gdy walę nim w stół, akcelerometr mierzy dokładny kąt i siłę uderzenia, po czym wysyła do baterii sygnał, który powoduje jej przegrzanie i zniszczenie wnętrza telefonu.

Na następnej ulicy wrzucam zepsuty telefon do zamykanego kubła na śmieci, a potem wsiadam do pociągu jadącego do Nowego Jorku.

Kiedy pode mną stukają koła, myślę o czekającym mnie trudnym zadaniu. Zastanawiam się, jak sobie poradzę w pięć dni.

Nie ma wątpliwości, że to będzie wyzwanie.

Ale w wyzwaniach jestem najlepszy.

ŚRODA. DZIEŃ PIERWSZY.

Zaczyna się.

Pojawiam się w znanej szkole prywatnej na Upper West Side.

W szkole Sam.

Program wprowadził mnie do systemu z dnia na dzień. Znalazłem się w szkolnym komputerze: moje nazwisko, fałszywy przebieg dotychczasowej edukacji wraz z pismem o przyjęciu i decyzją przeniesienia. Od dzisiejszego ranka wszystkie papiery są na miejscu i pojawiają się na nauczycielskich listach uczniów.

Reszta należy do mnie.

Siedzę w sali spotkań grupy, którą w innych szkołach nazwano by klasą. Tu w jednym pomieszczeniu zbierają się uczniowie w różnym wieku, od dziewiątej do dwunastej klasy, spędzeni razem do wspólnej sali.

Sam jest w pomieszczeniu obok, ale ja tutaj. Celowo.

Pierwsze wrażenia w szkole średniej są najważniejsze, ale nie znając jeszcze Sam, nie wiem, jakie pierwsze wrażenie powinienem wyrzucić. Mógłbym wkroczyć do szkoły zwarty i gotowy, uzbrojony w żelazną

tożsamość, byłoby to jednak za duże ryzyko. Po pierwsze, muszę się dowiedzieć, jakie miejsce zajmuje w hierarchii. Córka burmistrza może odgrywać wiele ról. Żeby ustalić, kim tu jest, muszę ją zobaczyć w akcji. Muszę poznać jej pozycję w układzie towarzyskim, równie ważne będzie też to, za kogo ona sama się uważa.

Omawialiśmy to z Ojcem w zaszyfrowanej korespondencji mailowej. Zgodził się, że będzie lepiej, jeżeli wejdę niepostrzeżenie i rozpoznam pole manewru, żeby mieć obraz środowiska od wewnątrz. Postanowiliśmy umieścić mnie w innej grupie, gdzie mógłbym się rozeznać w sytuacji, zanim zacznę.

– Jesteś nowy? – pyta mnie dziewczyna z grupy w sali. Siedzi obok mnie – spod puszystej grzywki patrzy na mnie dwoje za mocno umalowanych oczu. Z wyglądu jest z którejś z niższych klas.

– Tak jakby – odpowiadam.

– Dlaczego wcześniej cię nie widziałam?

Patrzę ponad jej ramieniem na jednego z uczniów. Wysportowanego, o szerokiej klacie. Od dziesięciu minut dziewczyna ukradkiem na niego zerka.

– Bo masz bzika na jego punkcie – wyjaśniam,

pokazując na chłopaka.

Dziewczyna oblewa się jasnoczerwonym rumieńcem.

– To wcale nie jest śmieszne – oświadcza.

Wzruszam ramionami.

Rozmowa zakończona.

Dwa rzędy za sobą słyszę stłumiony chichot.

To młodszy, może czternastoletni chłopak, blady, o nieuczesanych włosach. Żywa ilustracja pojęcia „palant”. Obserwuje.

– Dobrze – mówi.

– Dzięki.

– Przenosisz się do nowej szkoły w kwietniu – ciągnie. – Kogo wkurzyłeś?

– Wywalili mnie z Choate.

– Musiałeś coś naprawdę spieprzyć.

Wzruszam ramionami i wracam do książki.

Niech się zaczną plotki. To dobry początek, dorzucić do mojej historii jakąś dawkę tajemnicy. Potem mogę ją wykorzystać na setki różnych sposobów, zrobić z siebie dzieciaka z problemami, ofiarę albo buntownika – w zależności od tego, co okaże się najbardziej skuteczne.

Na razie wierzę, że blady chłopak wygada to w szkole. Odnotowuję w pamięci, żeby go mieć na oku. Trzeba uważać na outsiderów. Obserwują. Nie mają nic lepszego do roboty.

Mija dziesięć minut, w ciągu których przyglądam się grupie. Zwracam uwagę na zwyczaje, zachowanie, styl ubierania. Słucham rytmu języka nowego miejsca. Uczę się szkolnych procedur. Chłonę to wszystko jak gąbka.

Pięć po ósmej rozlegają się trzy ciche gongi w odstępie kilku sekund i uczniowie wstają.

Czas poznać Sam.

DLA NICH TO PO PROSTU KOLEJNY DZIEŃ.

Dlatego właśnie lepiej zaczynać w środku tygodnia. Żadnych emocji. Niewielkie oczekiwania.

Akurat dzisiaj jest środa. Lubię środy. Wybrałbym ten dzień, nawet gdybym miał więcej czasu.

Przyglądam się ludziom w korytarzach. Ziewają, przecierają oczy, ciągle jeszcze się budzą.

Nie zdają sobie sprawy.

W dużej szkole publicznej mógłbym przez wiele dni pozostać niezauważony przez nikogo, niewidzialny, dopóki sam nie zdecyduję, kiedy się ujawnić. Tu jest inaczej. Klasy w prywatnych szkołach są małe, a limit czasu mojego zadania nie pozwala na subtelności.

Tak więc pojawiaam się na lekcji historii europejskiej, na którą chodzi Sam, już na pierwszej godzinie. Wchodzę dwie minuty przed dzwonkiem. Na tyle późno, żeby nie być za wcześnie. Na tyle wcześnie, żeby się nie spóźnić.

Na mój widok unosi się kilka par oczu. Odnotowują moją obecność i odwracają się obojętnie.

Właśnie na tym mi zależy.

Siadam w ostatnim rzędzie i czekam.

Wchodzi Sam.

Jest wysoka i wysportowana, a z mocną sylwetką kontrastują miękkie loki otulające jej policzki i spływające na ramiona.

Zdjęcia nie oddawały jej urody. Wygląda olśniewająco.

Wchodzi do sali pewnym krokiem i siada z przodu, przy jednym z pierwszych stolików. Ma obok siebie przyjaciół: po prawej ładną ciemnowłosą dziewczynę, po lewej dryblasę z niechlujną szopą włosów. Kudłaty Wielkolud bardzo się stara zachowywać niedbale.

Otwierają się drzwi i wchodzi nauczyciel – szczupły mężczyzna z brodą i wrytymi przez czas zmarszczkami wokół oczu. Twarz zdradza jego wiek, ale energia nie. W większości szkół nauczyciele są zmęczeni, ale nie tu. Tutaj są pasjonatami swojej pracy.

Nauczyciel wkracza do sali w pół zdania, jak gdyby do tego stopnia nie mógł się doczekać rozpoczęcia lekcji, że zaczął wykład jeszcze na korytarzu. Kurczę, pewnie zaczął już na parkingu rano.

– Roosevelt i ustawa *Lend-Lease* – mówi.

Klasa milknie. Nauczyciel obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem. Jego mózg rejestruje jakąś różnicę. Widzę to po jego twarzy.

Patrzy na listę uczniów, znajduje moje nazwisko.

– Nowy – mówi.

– Mam to szczęście – odpowiadam.

Kilkoro dzieciaków chichocze.

– Witamy. Szybko się postaramy, żebyś był na bieżąco – obiecuje, po czym wraca do wykładu. – Podczas drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone pożyczają Wielkiej Brytanii broń, kończąc w ten sposób amerykańską neutralność, ale nie przystępując oficjalnie do wojny. Powiedzcie, czy to był akt tchórzostwa, czy po prostu dobrej dyplomacji?

Znam to pytanie. Wiem, że jest pod koniec zaawansowanego kursu historii europejskiej. Część dziesiąta. „Dojście do władzy dyktatorów i druga wojna światowa”.

Znam cały program szkoły średniej. Uczyłem się tego wszystkiego; to tylko kwestia odświeżenia w pamięci konkretnych lekcji.

Gdybym chciał, mógłbym się włączyć do dyskusji,

przebić się do czołówki intelektualnej, ale to mi się do niczego nie przyda. Dzisiaj będę trzymał się z boku, uczył się i słuchał.

I obserwował.

Wygląda na to, że nie tylko ja.

Sam przysłuchuje się dyskusji, a raczej temu, co uchodzi za dyskusję w grupie. To bardziej rozmowa o motywach inicjatyw dyplomatycznych USA. Przynajmniej do czasu, gdy głos zabiera Sam.

– Powinniśmy przystąpić do wojny parę lat wcześniej – mówi. – Ustawa *Lend-Lease* przeszła w Kongresie tylko jednym głosem. Nikt nie zamierzał się mieszać. Nie chcieliśmy się opowiedzieć po żadnej stronie.

– Chwileczkę – odzywa się jakiś chłopak o wyglądzie piłkarza. – Przecież wtedy to jeszcze nie była nasza wojna. Hitler najechał Polskę, nie Pittsburgh.

– Czyli jeżeli wojna nie toczy się tutaj, to nie nasza sprawa, tak, Justin? Co z oczu, to z serca. Tak jak Darfur. Jak Sarajewo.

– A Irak? Przecież tam się zaangażowaliśmy – zauważa jakaś dziewczyna.

– Z powodu interesów ekonomicznych – mówi Sam.

– Chodzi mi o podejmowanie słusznych kroków ze słusznych powodów.

– Chcesz, żeby Stany Zjednoczone kierowały się moralnością przy decyzjach politycznych? – pyta Justin.

– To nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. W rzeczywistości wszystko jest bardziej skomplikowane. Zapytaj ojca.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – jeży się Sam. Sztywnieje.

– Twój ojciec zbiera bezdomnych i wywozi do ośrodków za granicą stanu. Czy to jest słuszne postępowanie?

– Nie na temat – przestrzega nauczyciel. – Nie zapominaj o naszych zasadach. Jeżeli burmistrza Goldberga nie było na urzędzie w latach czterdziestych, dyskusja go nie dotyczy.

– Zaraz – sprzeciwia się Sam. – Chcę o tym rozmawiać. Bo to nieprawda. Mój ojciec nigdy by nie zrobił czegoś takiego.

– Wróć do rzeczywistości – radzi Justin. – Chyba za tobą tęskni.

– Mam tego dość – oświadcza Sam.

Głośno trzaska książką o stolik.

– Mam dość idiotycznego intelektualizmu, który w tej szkole uchodzi za debatę. – Zrywa się z miejsca. – Uważamy się za inteligentnych, bo siedzimy i kłócimy się godzinami, a tymczasem na całym świecie cierpią ludzie i nasz rząd nie chce się opowiedzieć po żadnej stronie. Co robimy, żeby to zmienić? Gadamy jeszcze więcej.

– A ty co robisz? – ripostuje Justin.

Sam nie odzywa się ani słowem.

– Czyli to samo, co my – dodaje Justin. – Tylko gadasz.

Sam stoi z czerwonymi plamami na twarzy i zaciska pięści.

– Nie słuchaj go, to bzdury – mówi Kudłaty Wielkolud. Kładzie jej rękę na ramieniu.

– Daj mi spokój! – krzyczy Sam. – Nic mi nie jest.

Ale coś jej jest. Toczy po sali wściekłym spojrzeniem, jak gdyby zamierzała komuś zrobić coś złego.

Dość gwałtowna reakcja jak na niewinną dyskusję w czasie lekcji. Obserwując ją, zaczynam się zastanawiać nad równowagą emocjonalną Sam.

Większość klasy odwraca wzrok, wpatrując się w ławki albo notując coś w zeszytach.

Sam po chwili się uspokaja.

– Przepraszam – mówi i siada.

– Nic się nie stało – pociesza ją ciemnowłosa przyjaciółka. Głaszcze Sam po plecach.

– To tylko polityka – mówi Justin. – Żadne wycieczki osobiste.

– Ja traktuję politykę osobiście – odpowiada Sam.

Nauczyciel ściąga usta, spoglądając na dwoje uczniów.

– Dobrze by było rozluźnić atmosferę jakimś żartem – stwierdza. – Ale mam wrażenie, że moje poczucie humoru opuściło ten budynek.

Uczniowie się śmieją. Napięcie opada.

Widzę, jak Sam bez powodzenia usiłuje się wyłączyć z dyskusji.

Pasja i intelekt plus jakiś głęboko ukryty poważny bagaż emocjonalny.

Niezwykłe połączenie. I trudne wyzwanie.

Pozostaje pytanie: jak mam się do niej zbliżyć?

Nie znam jeszcze odpowiedzi. Ale coś mi się zaczyna

wykluwać w głowie.

– Panie i panowie – ogłasza nauczyciel – mam dla was zadanie, jeżeli zechcecie je wziąć na siebie...

Spodziewam się jęków, ale reakcja klasy jest wręcz przeciwna. Zapał na twarzach, otwarte zeszyty, długopisy w pogotowiu.

– Nasze osoby dramatu: Stalin, Hitler, Mussolini – mówi nauczyciel.

Rozgląda się po sali z szelmowskim uśmiechem. Zerka na mnie i ciągnie:

– Scenariusz: trzech osławieni dyktatorzy spotykają się w piekle, żeby porozmawiać o swoich błędach popełnionych podczas wojny. Forma dialogu, co najmniej dziesięć stron. Możecie pracować w parach.

Rozlega się dźwięk końca lekcji i uczniowie wstają, szukając partnera do współpracy i rozmawiając o zadaniu.

Pakuje plecak, gdy nagle słyszę głos Sam:

– A ty, nowy? Po której jesteś stronie?

Stoi przy moim stoliku i patrzy na mnie. U jej boku nie ma paczki przyjaciół. Jest sama, stoi pół metra ode mnie i piorunuje mnie wzrokiem.

Pierwszy kontakt. I to nie z mojej inicjatywy.

Później będę się zastanawiał, dlaczego podeszła.
Teraz muszę zareagować.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co myśli nowy? –
pytam.

– Tylko ty nie odezwałeś się ani słowem przez całą
lekcję, a tylko mnie naprawdę obchodził temat, więc tak,
chciałabym wiedzieć – mówi Sam.

– Może nowy jest głupi i ma niewiele do powiedzenia.

– Wątpię.

Chcę nią wstrząsnąć, jeżeli mi się uda, spróbować
odzyskać przewagę. Oświadczam więc:

– Wydaje mi się, że nasze zadanie to kompletna
bzdura.

Zaciekawiona kiwa głową.

– Bo?

– Dlaczego mamy zakładać, że dyktatorzy są
w piekle?

– Miejsce Hitlera nie jest w piekle. To chcesz
powiedzieć?

– Nie. Mówię tylko, że nikt nie skomentował
podstawowego założenia zadania. Dyktatorzy są źli.

Wojna jest zła. Źli ludzie idą do piekła, a dobrzy ludzie do nieba. To za duże uproszczenie.

– Czyli opowiadasz się za relatywizmem moralnym.

– Czemu nie? – mówię i widzę, jak się jeży. – Każdy z tych dyktatorów w swoim czasie wierzył, że ma rację. Albo przynajmniej uważał, że robi źle ze słusznych powodów.

– Cel uświęca środki.

– Czasem tak. Łatwo się oburzać na ludobójstwo, bo jaki może być kontrargument? Nie istnieje. Ale pomyśl o informatorze, który ujawnia nieprawidłowości w swojej firmie. O ojcu, który oszukuje urząd skarbowy, żeby mieć pieniądze na szkołę dla dziecka. O matce, która kłamie na temat historii swojej choroby, żeby zdobyć ubezpieczenie zdrowotne.

I o mnie.

O tym, co robię. O moich zadaniach.

– Same złe rzeczy – mówię. – I same dobre powody.

– Czyli mogę kogoś skrzywdzić, jeżeli chodzi o wyższe dobro? – pyta Sam.

– Może.

– Problem sprowadza się do tego: komu wolno

decydować, czym jest wyższe dobro?

– Słuszne pytanie – przytakuję.

– Znasz odpowiedź?

Komu wolno decydować?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Nie nam.

Zakłada ręce na piersiach i rozczarowana kręci głową.

– Zdaje się, że nowy jest republikaninem – mówi. – Przyjemnie będzie cię niszczyć w następnych dyskusjach.

Posyła mi kpiący uśmiezek, a potem odwraca się i odchodzi.

Rozmowa zakończona. Na razie.

NA ZEWNĄTRZ CZEKA NA MNIE KUDŁATY WIELKOLUD.

Gdy tylko wychodzę na korytarz, podchodzi, żeby mi zastąpić drogę.

– Naprawdę wywalili cię z Choate? – pyta.

Wiadomości szybko się rozchodzą w tej szkole.

Patrzę na tego chłopaka, który zgrywa samca alfa, wypinając pierś i mówiąc szyderczym tonem. Rozważam różne opcje, ale postanawiam odpowiedzieć na pytanie i przekonać się, o co mu chodzi.

– Naprawdę mnie wywalili – mówię.

– Za to, że byłeś dupkiem?

– Do kwadratu.

– U nas to nie przejdzie.

Za jego plecami Sam rozmawia z jakąś jasnowłosą dziewczyną w bardzo obcisłej spódnicy, z dołeczkami w policzkach. Blondynka nie wygląda na uczestniczkę zajęć zaawansowanego kursu historii europejskiej. Bardziej krzykliwa niż reszta jej przyjaciół. Obserwuję ich mowę ciała w czasie rozmowy.

Kudłaty Wielkolud zauważa, że przestałem zwracać

na niego uwagę.

– Łatwo się rozpraszasz.

Odwracam się do niego.

Facet robi wrażenie okropnie przemądrzałego. Pora trochę się odgryźć i zobaczyć, czy naprawdę jest taki dobry.

– Nie rozpraszam się – odpowiadam. – Nie masz nic ciekawego do powiedzenia, więc uznałem, że rozmowa jest zakończona.

– To ja ci powiem, kiedy się zakończy.

– Kim ty jesteś, moją matką?

– Jestem twoim najgorszym koszmarem, przyjacielu. Który stoi między tobą a tym, czego chcesz.

Pokazuje na mnie, dźgając powietrze długim palcem.

– A czego chcę?

– Każdy nowy w szkole startuje do Sam – wyjaśnia. – To najkrótsza droga, żeby się dostać do grupy.

A więc jesteśmy w domu. Coś go łączy z Sam.

– Wcale nie startuję – informuję go.

– Widziałem, jak z nią rozmawiasz po lekcji.

– To ona ze mną rozmawiała.

– Akurat – drwi.

– Możesz wierzyć, w co chcesz.

Marszczy brwi i ogląda się za siebie. Sam ze swoją grupą idzie korytarzem bez niego, znikając nam z oczu.

– Domyślam się, że Sam jest twoją dziewczyną? – mówię.

Wzdryga się.

Domyślam się, że nie.

– Jeżeli chcesz wiedzieć, to przyjaźnimy się od dawna – odpowiada. – Pilnuję jej. Możesz mnie uważać za system wczesnego ostrzegania przed dupkami.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że dupki to twoja specjalność.

– Dowcipniś – mówi. – Masz pierwsze ostrzeżenie.

Znowu celuje we mnie palcem.

Mniej niż sekunda, myślę. Tyle czasu potrzebowalibyśmy, żeby go unieszkodliwić.

Wystarczy mocno złapać i skrócić. Twardziele w filmach zwykle wyginają palce do tyłu w kierunku nadgarstka. To dość skuteczne, ale trochę za długo trwa.

Staw palca ma pewną elastyczność w przypadku ruchu do tyłu, ale bardzo małą zdolność do rotacji. Jeżeli chodzi o szybkość i natychmiastowy efekt, lepiej działa

skręcenie palca.

Kudłaty Wielkolud stoi z wyciągniętym palcem, nie zdając sobie sprawy, w jakim jest niebezpieczeństwie. Ale nie muszę go eliminować, przynajmniej na razie. Lepiej mu pokazać, że się nie boję, i wykorzystać jego gniew, żeby w najbliższych dniach dowiedzieć się czegoś więcej o Sam.

– Mam cię na oku – ostrzega. – Nie zapominaj o tym.

– Jak mogę zapomnieć? – odpowiadam. – Masz cztery metry wzrostu.

W CZASIE GODZINNEJ PRZERWY NA LUNCH IDĘ DO SKLEPU APPLE STORE.

Na tym polegają plusy otwartego kampusu. Wychodzę ze szkoły, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, i idę na południe, wykorzystując okazję, żeby lepiej poznać okolicę.

Najlepiej to robić pieszo. Trzeba chodzić i chodzić. Chodzić, dopóki się nie poczuję jak tutejszy.

W drodze myślę o Sam. Zastanawiam się, po co podeszła do mnie po lekcji.

Nie znam jej jeszcze na tyle dobrze, więc na razie odkładam pytanie na później.

Wchodzę do lśniącego sześcianu ze szkła na Sześćdziesiątej Siódmej i za gotówkę kupuję nowego iPhone'a.

– Mam skonfigurować? – pyta facet w serwisie Genius Bar.

– To wy jesteście geniuszami – mówię.

Z wdzięcznością kiwa głową.

– Zdziwiłby się pan, jak niewiele osób to rozumie – odpowiada.

Odwraca iPhone'a w moją stronę i wpisuję numer Apple ID, którym posługuję się podczas tego zadania.

Konfiguruje telefon i mi go oddaje.

– Jak chodzi wasze wi-fi? – pytam.

– Fantastycznie.

– Może ściągnę parę aplikacji, zanim wyjdę.

– Śmiało, będzie zasysać jak odkurzacz.

Znajduję róg stolika, żeby się oprzeć, i otwieram w telefonie App Store. Szukam aplikacji o nazwie Szkolny Schowek. Ściągam ją i otwieram. Na ekranie pojawia się grafika przedstawiająca zamek szyfrowy.

Wprowadź szyfr! Przechowuj
zdjęcia, wideo i książki we własnym
schowku, z dala od wścibskich oczu!

Wpisuję kod. Nie trzy cyfry jak zwykły użytkownik aplikacji. Wstukuję dziesięciocyfrową kombinację. Kiedy kończę, słychać trzask i zamek zaczyna się obracać.

U dołu ekranu wyświetla się pasek postępu.

Telefon łączy się z tajnym serwerem, ściągając i instalując skomplikowany pakiet zabezpieczeń.

Zamek przestaje się obracać, a telefon wyłącza się i ponownie uruchamia.

Wygląda tak samo jak przedtem, ale ma teraz zmodyfikowane oprogramowanie. Działają na nim dwa systemy operacyjne. Jeden widoczny, a drugi ukryty.

Wystarczy przesunąć belkę w prawo, żeby przełączyć telefon na tryb publiczny. Gdyby ktoś go znalazł, zobaczyłby zwykłego iPhone'a. Mógłby dzwonić, uruchomić gry, wszystko jedno.

Ale gdy rysuję na ekranie specyficzny ukośny wzór, aparat przechodzi w tryb zabezpieczony. Mam teraz dostęp do całego pakietu aplikacji, dzięki którym telefon staje się wyjątkowym urządzeniem.

Przełączam go teraz w tryb zabezpieczony i otwieram aparat fotograficzny. Konfiguruję ustawienia, naciskając trzy razy lampę błyskową. Unoszę telefon, żeby zrobić zdjęcie...

– To nowy iPhone? – pyta jakaś dziewczyna.

Ma jakieś piętnaście lat, długie ciemne włosy i za dużo błyszczycyku na ustach. Na ramieniu ma zawieszony plecak. Paski opinają jej bluzkę, przyciskając materiał do wypukłości biustu.

- Nowiutki – odpowiadam.
- Szkoda, że nie mam na taki. – Szeroko otwiera oczy.
- Chcesz, żebym ci zrobiła zdjęcie?
- Chcę.
- Podaję jej telefon.
- Piękny – mówi.
- Ja czy telefon?
- Oczywiście, że telefon – odpowiada, ale się śmieje.
- Wszystko jest ustawione – mówię. – Wystarczy nacisnąć przycisk.

Robi mi zdjęcie. W rzeczywistości to nie jest fotografia, ale dziewczyna o tym nie wie.

Właśnie wysłała sygnał lokalizacyjny do Ojca.

Jestem na miejscu. Zaczynam.

Wyciągam rękę po telefon.

Po drugiej stronie sklepu stoi jakiś mężczyzna i patrzy w naszą stronę. Kręcone włosy i krótko przystrzyżona broda. Ciemna karnacja, przenikliwy wzrok.

Zbyt przenikliwy.

Być może patrzy na nas, ale nie jestem pewien. Kiedy spoglądam na niego, odwraca oczy. Nie w reakcji na

moje spojrzenie, przynajmniej tak mi się wydaje, ale po prostu przebiega wzrokiem cały sklep.

Obserwuję go przez chwilę. Ma niewiele ponad dwadzieścia lat, jest niski i mocno zbudowany. Może maniak siłowni, może ktoś inny. Ktoś, kogo zajęcie wymaga ćwiczeń różnego rodzaju.

– Masz chłopaka? – pytam dziewczynę.

To mogłoby tłumaczyć spojrzenie faceta z brodą.

– W tej chwili nie – informuje mnie dziewczyna. Uśmiecha się, źle rozumiejąc powód mojego pytania. – Słuchaj, może zrobimy sobie razem zdjęcie? Wiesz, żeby uchwycić moment?

Nakłada trochę więcej błyszczczyku na usta. Jej wargi lśnią w blasku ekranu laptopa.

Oglądam się na faceta z brodą, ale już zniknął.

– Dzięki – mówię do dziewczyny – ale muszę wracać do szkoły.

Wyjmuję jej z ręki telefon.

– Dokąd idziesz? – pyta.

Wzruszam ramionami, mruczę coś pod nosem i wychodzę, nie zwracając na nią uwagi.

Wygląda na rozczarowaną.

Nieważne. Mam coś to zrobienia.

WYCHODZĘ ZE SKLEPU I NATYCHMIAST TO WYCZUWAM.

Czyjaś obecność.

Ktoś za mną idzie.

Ledwie udaje mi się to zarejestrować. Jest prawie niezauważalny.

Czyżby Kudłaty Wielkolud?

Wątpię.

Facet z brodą z Apple Store?

Możliwe.

Stoję w miejscu, kierując uwagę we wszystkie strony jak sonar.

Robię krok naprzód. Nasłuchuję.

Nie wykrywam żadnego ruchu, żadnego niepokojącego zjawiska.

Ruszam więc na północ, idąc z powrotem w kierunku szkoły. Zatrzymuję się na skrzyżowaniu Broadwayu i Amsterdam Avenue. Czekam na światłach, rozglądając się we wszystkie strony.

Ciągle nic.

Szkolenie nauczyło mnie ufać własnej intuicji, ale też

ją sprawdzać.

Robię to właśnie w tym momencie.

Kiwam głową ochroniarzowi, który stoi w drzwiach drogerii, paląc papierosa. Wykorzystuję chwilę przerwy w marszu, żeby przerwać rytm. Na rogu Siedemdziesiątej Drugiej nagle skręcam w stronę West End Avenue, gdzie jest mniej ludzi i trudniej kogoś niepostrzeżenie śledzić.

Wtedy znów to wyczuwam.

Niewidzialny. To mężczyzna.

Na pewno nie Kudłaty Wielkolud. Podszedłby za blisko, czułbym, jak mnie naciska.

Niewidzialny zna się na rzeczy. Może należy do oddziału ochrony burmistrza.

Przypominam sobie przebieg rozmowy z Sam. Przez moment zastanawiam się, czy w jej życiu nie dzieje się coś takiego, żeby obawiać się nowego chłopaka w szkole. Obawiać się na tyle, żeby musiała go sprawdzać ochrona.

Zastanawiam się, ale zaraz porzucam tę myśl. Niczego w tym miejscu nie zrobiłem.

Przynajmniej na razie.

Mimo to Niewidzialny na pewno tu jest. Skręca wtedy, kiedy ja, idzie równolegle ze mną Broadwayem, ulicę dalej na wschód.

Mam wybór: zgubić go czy wypłoszyć?

Mógłbym go na chwilę zgubić. Skręcić do jakiegoś budynku, wskoczyć do taksówki, zawrócić.

Mógłbym go też zgubić na dobre. Zaprowadzić go do Riverside Park. Obezwładnić go i zadać mu kilka pytań. Zostawić jego ciało, żeby znalazł je jakiś amator porannego joggingu.

Nie chcę jednak w tym tygodniu wzbudzać dodatkowego zainteresowania policji okolicą.

Lepiej go wypłoszyć i sprawdzić, kim jest.

Czy ma jakiś związek z Sam, z Programem, czy w ogóle z nikim. Muszę to wiedzieć.

Przyspieszam kroku, zmierzając w stronę szkoły. Wyczuwam, że dalej idzie moim tropem i trzyma się Broadwayu. Przypominam sobie kościół, który widziałem wcześniej, idąc przez dzielnicę. Kościół, a obok wąską uliczkę.

Mogę ją wykorzystać.

Idę na wschód Osiemdziesiątą Pierwszą, kierując

energię w stronę Broadwayu, jak gdybym miał się tam pojawić, ale przecinam uliczkę, wyłamiam się z niej przy kościele na Osiemdziesiątej i zawracam.

Jeżeli dobrze obliczyłem czas, przyłapię Niewidzialnego na Osiemdziesiątej Pierwszej. To spokojna ulica. Niewielki ruch.

Nie ma się gdzie ukryć.

Czekam jeszcze dwie sekundy, a potem wychodzę na ulicę przy rogu Osiemdziesiątej Pierwszej i West End, patrząc w kierunku Broadwayu.

Nikogo tam nie ma.

Budzi się we mnie cień wątpliwości. Czyżbym to wszystko sobie wyobrażał?

Oddycham wolno, badam swoimi czujnikami swoje najbliższe otoczenie, stopniowo zwiększając promień poszukiwań.

Nic.

Ten Ktoś jest dobry, kimkolwiek jest.

Zniknął.

MAM W RĘKU SWÓJ NOWY TELEFON.

Pora zrobić z niego użytek.

Wchodzę do holu dużego budynku i znajduję cichy kącik. Ustalonym gestem przełączam telefon w tryb zabezpieczony, a potem w spisie znajduję kontakt o nazwie *Tato*.

Jest przy nim numer, którego wcześniej nie widziałem.

Jeżeli wybiorę ten numer, padnie mi telefon, zmieniając się w kawałek bezużytecznego złomu.

Dlatego go nie dotykam. Przechodzę do obrazu nad informacjami o kontakcie. To T-shirt z nadrukiem „Najlepszy tato na świecie”. Kiedy przeciągam zdjęcie w prawo, znika nazwa *Tato* i pojawia się nowy numer telefonu.

Stukam w niego.

– To ja – mówię.

– Dostałem zdjęcie, które wcześniej wysłałeś – odzywa się Ojciec. – Wygląda na to, że już zacząłeś.

– I tak, i nie – odpowiadam.

W słuchawce zapada cisza. Odbiegłem od protokołu

i Ojciec natychmiast to zauważa.

– Jakiś problem? – pyta.

Jak najlepiej zapytać go o obecność Niewidzialnego?

Postanawiam sprawdzić hipotezę. A jeżeli Niewidzialny został wysłany przez Program, żeby mnie kontrolował?

Nic takiego jeszcze się dotąd nie zdarzyło, przynajmniej o ile mi wiadomo. Działam już od dwóch lat, otrzymując zadania, które wykonuję sam, bez niczyjego nadzoru.

Ale to zadanie jest czymś innym. Mam krótki termin, a obiekt jest ważną i znaną, może najbardziej znaną, osobą w mieście. Nie można co najmniej wykluczać, że jestem pod ściślejszą kontrolą.

Mówię więc:

– Zastanawiam się, czy nie spotkałem kogoś, kogo możesz znać.

– Nie znam zbyt wielu osób w Nowym Jorku – odpowiada ostrożnie.

– Może to był znajomy, którego przysłałeś, żeby sprawdził, jak sobie radzę? W końcu jestem tu nowy.

– Gdzie widziałeś tę osobę? – pyta Ojciec.

W jego głosie brzmi napięcie. Dobrze je maskuje.
Wysokość tonu zwiększa się o jakieś pięć procent.

Zwykły człowiek by tego nie usłyszał.

Ja jednak słyszę.

– Właściwie trudno powiedzieć, że go widziałem –
wyjaśniam. – Raczej mignął mi przypadkiem. W Apple
Store, a potem jeszcze raz na ulicy, przed chwilą.

– Rozmawiałeś z nim? – pyta Ojciec.

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać.

Miał okazję mnie śledzić. Szedłem, a on mnie śledził.

– Nic o tym nie wiem – oświadcza Ojciec.

Słucham jego głosu, próbując ustalić, czy mówi
prawdę. Wygląda na to, że tak. Co by oznaczało, że
Niewidzialny nie ma żadnego związku z Programem.
Ale nie mogę mieć pewności.

– Mam nadzieję, że nie sprawił ci żadnych kłopotów
– mówi Ojciec.

– Nie.

– Ta rozmowa mnie martwi. Zwłaszcza ze względu na
termin twojego nowego zadania.

– Zgadza się, termin jest napięty – potwierdzam.

– Nie możesz sobie pozwolić na żadną nieuwagę.

Twoja matka i ja rozmawialiśmy o tym, co się zdarzyło ostatnim razem.

– Co masz na myśli?

– Tamte cztery przeszkody.

Chodzi mu o chińskich szpiegów.

– Matka mówiła, że to nie było nic takiego – zauważam.

– Samo w sobie nie. Ale nie chcę myśleć, że to może się powtórzyć. Że nagle zdarzy się coś nieoczekiwanego.

Co się może powtórzyć? Ojciec sugeruje, że coś schrzaniłem?

– To na pewno nie było nic ważnego – mówię.

Pora wrócić do zadania. Odzyskać panowanie nad sytuacją.

– Nie jestem nawet przekonany, czy w ogóle coś widziałem – dodaję. – Pomyślałem po prostu, że powinienem zapytać.

– Cieszę się, że się do mnie zwróciłeś z taką ważną sprawą.

– Muszę już kończyć – mówię. – Muszę wracać do szkoły.

– Oczywiście. Postaraj się informować mnie na bieżąco – poleca. – A gdybyś znowu zobaczył tę osobę, daj mi znać.

– Dam.

W telefonie zapada cisza.

Niepokoi mnie rozmowa z Ojcem i pytania, jakie się po niej nasuwają.

Na razie jednak nic nie mogę z tym zrobić.

Rozglądam się po holu, szukając czegoś podejrzanego. Niczego takiego nie znajduję. Widzę tylko ludzi w garniturach sunących na ruchomych schodach w górę i w dół, zajętych swoimi sprawami.

Czas, żebym i ja zajął się swoimi.

W SZKOLNYM KORYTARZU ROZLEGA SIĘ KRZYK.

Słyszę to, idąc przez budynek po szóstej lekcji.

– Przestań! – woła jakiś wysoki głos.

Chyba należy do dziewczyny.

Jednak nie.

Krzyczy blady chłopak, którego widziałem w porannej grupie.

Jest na drugim końcu korytarza, wepchnięty do prawie niewidocznego schowka w głównym holu.

Szkoła ma mnóstwo niezwykłych miejsc do nauki. Korytarze w kształcie litery L, wnęki, ślepe minizaułki. Kąciki i zakamarki wyłożone siedziskami z poduch wypełnionych kulkami, najczęściej z dużymi oknami wychodzącymi na panoramę nowojorskich budynków. Gdyby to było więzienie, wszystkie te zakątki byłyby pułapkami. Martwymi punktami, pozostającymi poza kontrolą strażników, gdzie wszystko mogłoby się zdarzyć. Tu nie są pułapką, ale alternatywnym środowiskiem do nauki.

Dlatego też dwóch uczniów daje blademu chłopakowi

nauczkę, tłukąc go na kwaśne jabłko.

– Zostawcie mnie! – prosi Wymoczek.

Słyszę przekleństwo, a potem głucho *łup*. Wyższy z chłopaków z całej siły rzuca bladym o ścianę. To Justin, facet o sylwetce piłkarza, który był na lekcji historii europejskiej. Prawdziwy paker. Wali w cherlaka jak pociąg towarowy, a przygląda się temu jego kumpel o tłustej cerze.

Chłopak zbiera cięgi biernie, bezwładnie oparty o ścianę, z bezradnie opuszczonymi ramionami. Nawet nie zasłania się rękami. Zero obrony. Wybili mu ją z głowy.

Użycie siły. Wygląda tak samo na całym świecie.

Ale to nie ma nic wspólnego ze mną ani moim zadaniem, idę więc dalej korytarzem, pilnując własnego nosa, ale obserwując zdarzenie kątem oka.

Kiedy ich mijam, Justin uderza cherlaka w żołądek. Cios nie jest za silny, zadany ze zgiętym łokciem, bez zamachu. Mimo wszystko to cios w brzuch.

Bezlitosny.

Mógłbym to przerwać w ciągu sekundy. Odchrząknąć. Skierować uwagę w ich stronę.

Mógłbym to przerwać w inny sposób. Mógłbym się postarać, żeby to się nigdy nie powtórzyło. Żeby Justin już nigdy nie podniósł ręki powyżej pasa. Mógłbym sprawić, że już więcej nie będzie rzucał piłki, łapał czy co jeszcze robi po lekcjach, żeby kogoś przelecieć. Mógłbym zupełnie pozbawić go ręki.

Ale to nie posunęłoby mojego zadania naprzód.

Blady chłopak stęka z bólu, a ja, ignorując to, idę dalej.

Nie mieszam się. To najlepszy ruch w tej sytuacji.

Tak w każdym razie myślę, dopóki nie słyszę za sobą głosu dziewczyny.

Głosu Sam.

– Odwalcie się od niego! – woła.

Odwracam się i widzę, że stoi przed schowkiem z rękami założonymi na piersi.

Miesza się. W ten sposób reaguje na sytuację. No jasne.

Wybiera fatalny moment. Właśnie zmarnowałem okazję, żeby się przed nią popisać. Teraz będę musiał odrobić straty.

– Pilnuj swoich spraw – odburkuje jej paker.

– To właśnie jest moja sprawa, Justin – mówi Sam.

Justin wychodzi z wnęki i staje z nią oko w oko. Góruje nad nią. Ma przewagę dziesięciu centymetrów i czterdziestu kilogramów.

Sam nic sobie z tego nie robi. Nie rusza się z miejsca. Imponujące.

– Co chcesz zrobić, Sam? – pyta Justin. – Pobiec z płaczem do tatusia?

Wymawia jej imię szyderczym tonem, dodając sylaby tam, gdzie ich nie ma.

Czas wkroczyć do akcji. Przypadkowy bohater. Tak to zamierzam rozegrać.

Odwracam się w ich stronę, zaciekawiony, ale nie bardziej niż mógłby się zainteresować każdy uczeń idący korytarzem.

– Co się dzieje? – pytam.

Mówię cicho, spokojnym tonem, nie jak gdybym chciał się włączyć, ale jak gdybym był dobrym obywatelem.

Justin spogląda na mnie. Znów patrzy na Sam. Obok niego stoi jego kumpel z tłustą cerą.

Robię krok w ich stronę.

Sam patrzy na mnie.

– Spadamy stąd – mówi Justin.

Razem z kumplem ruszają korytarzem w moim kierunku.

Idę w stronę Sam, nie usuwając im się z drogi, ale robiąc im miejsce. Kiedy Justin mnie mija, zamierza się pięścią, jak gdyby chciał mnie uderzyć w twarz.

Nasze oczy spotykają się na moment.

Opuszcza rękę.

Gdy stoję przy Sam, podnosi z podłogi bladego chłopaka.

– Wszystko w porządku, Howard – mówi do niego. Strzepuje mu brud z włosów. Jej palec zaczepta się o kołtun.

Chłopak z zażenowaniem wbija wzrok w podłogę.

– Dzięki, Sam – mówi.

– Mam kogoś wezwać? – pyta go dziewczyna. – Chcesz, żeby obejrzała cię pielęgniarka?

– Nic mi nie jest – bąka zawstydzony. Odsuwa się od niej i szybko znika w głębi korytarza.

Sam wzdycha, patrząc w ślad za nim.

– Wszystko gra? – pytam.

Jestem opanowany. Nie staram się triumfować.

Uratowałem sytuację, ale to dla mnie nic nadzwyczajnego. Właśnie to chcę przekazać.

– Nie dzięki tobie – odpowiada Sam.

– No co ty, przecież podszedłem – protestuję.

– Co ty wygadujesz? Widziałam, że minąłeś go jak gdyby nigdy nic. Zresztą nic dziwnego u faceta, który nie wierzy w dobro i zło.

Zła wiadomość. Widziała mnie, więc heroiczny czyn nie przejdzie.

Moje wyjście awaryjne?

Zagrać buntownika. Przyłapano mnie, ale mam to gdzieś.

– Jestem tu nowy, pamiętasz? – mówię. – Pilnuję własnego nosa.

– W historii jest pełno takich jak ty. Kiedy dochodzi do zbrodni wojennych, stoją z boku.

– W ogóle mnie nie znasz – mówię.

– Nie chcę cię znać – oświadcza i odchodzi, prawie ocierając się o mnie.

Przyglądam się jej, jak oburzona oddala się korytarzem.

Niedobrze. Pierwszy dzień, a ja mam już u niej przerąbane. Gdyby było więcej czasu, uznałbym za duże osiągnięcie fakt, że w ogóle znalazłem się w kręgu jej uwagi.

Ale mając taki termin, muszę znaleźć sposób, żeby to szybko naprawić.

– Ma problemy z facetami – słyszę czyjś głos.

To ten błąd chłopak, Howard. Chował się za rogiem i podsłuchiwał.

– Jakie problemy? – pytam.

– Ktoś złamał jej serce.

– Naprawdę?

– Kilka lat temu. Miała na megaserio chłopaka, który jej namieszał w głowie.

Muszę usłyszeć tę historię, ale na razie to odkładam, żeby skupić się na Howardzie. Na fakcie, że wie taką rzecz o Sam.

Chłopak bez żadnych możliwości, adoptowany przez jedyną dziewczynę, która raczy go zauważać. Akurat tę dziewczynę, która jest na szczycie piramidy.

Howard ma dojsście. W razie potrzeby mogę to wykorzystać.

– Powiniennem za nią pójść? – pytam.

Mówię to niepewnym tonem człowieka, który potrzebuje rady w sprawach dziewczyn od kogoś takiego jak Howard.

– To zależy, czego chcesz – odpowiada.

– A czego mogę chcieć?

– Złamać jej serce.

– Nie łamię serc – mówię. – To nie w moim stylu.

– Masz rację – przytakuje. – Pewnie ona ci złamie.

Śmieję się. *Tym się nie musisz martwić, Howard.*

Patrzy na mnie i podejmuje decyzję.

– Na twoim miejscu bym poszedł – mówi.

Dlaczego nie jesteś na moim miejscu? – myślę. Ale zostawiam to pytanie na inną okazję.

– Bądź delikatny – radzi. – Jest znana, ale to żywa osoba.

– Dzięki za radę – mówię.

– Mam na imię Howard.

– Jestem twoim dłużnikiem, Howard.

**– STOSUJESZ ZASADĘ TRZECH OSTRZEŻEŃ? –
PYTAM SAM.**

Ignoruje mnie i idzie dalej. Trzymam się kilka kroków za nią. Nie biegnę. Ale i się nie boję.

– Dlaczego pytasz? – rzuca przez ramię.

– Bo w klasie zachowałem się jak dupek, a potem nie chciałem się mieszać do bójki. Domyślam się, że dostałem drugie ostrzeżenie i muszę wiedzieć, czy powinienem uważać.

– Zła wiadomość – odpowiada. – Można u mnie mieć tylko dwa ostrzeżenia.

– Czyli dałem ciała. Wszystko przepadło.

– Z kretesem – potwierdza. – Ale czemu w ogóle ci na tym zależy?

Bo muszę się zbliżyć do twojego ojca.

– Nie wiem – mówię. – Z jakiegoś powodu mi zależy. Pewnie z twojego. Widzę, że jesteś inna.

To klasyczna sztuczka. Wyrazić zainteresowanie dziewczyną, którą właśnie poznajesz. Jeżeli zrobisz to dobrze, możesz ją oczarować, a przynajmniej wzbudzić w niej ciekawość.

– Nie ze mną te numery – mówi. – Nie znamy się, więc skąd wiesz, że jestem inna?

Klasyka, nie ma co.

Jeżeli jeden sposób nie działa, spróbuj innego. Tego mnie uczono.

Wcześniej w korytarzu grałem buntownika. Teraz będę buntownikiem nawróconym. Co taki ktoś powiedziałby w tej sytuacji?

– Może mam wyrzuty sumienia – mówię. – Może coś we mnie obudziłaś, kiedy mi nagadałaś za brak pomocy.

Zastanawia się nad tym.

– Widziałeś kiedyś małe dziecko, które pierwszy raz jeździ na łyżwach? – pyta.

– Zmieniasz temat, co?

– Widziałeś?

Genesee Valley Park.

Nazwa sama pojawia mi się w głowie. Nie myślałem o tym parku od lat. Przypominam sobie, jak w dzieciństwie uczyłem się jeździć na łyżwach, a mój ojciec szedł przede mną tyłem, rozkładając ramiona i namawiając mnie, żebym do niego podjechał.

Nie chcę tego pamiętać.

Otrząsam się ze wspomnienia. Widzę przed sobą Sam. Zadała mi pytanie.

– Widziałem dzieci na łyżwach – mówię.

– Prędeziej czy później dziecko pośliznie się na lodzie i zacznie wykręcać ciało w różne wygibasy, próbując zachować równowagę. Zrobi wszystko, żeby nie upaść.

– Do czego zmierzasz?

– Tak właśnie wyglądasz – oznajmia mi. – W tym momencie. Jesteś gotów powiedzieć wszystko, co?

Dziewczyna jest żywym wykrywaczem kłamstw. Stoję w korytarzu, staram się zyskać na czasie i znaleźć inną metodę ataku.

– Nawet teraz – dodaje – szukasz w głowie odpowiednich słów.

Czuję, jak moja twarz oblewa się czerwienią. Nigdy tak nie reagowałem. W rozmowie z żadną dziewczyną. Z nikim.

Rób, to co ona, myślę. Przyjmij jej zasady i nie kłam.

– Masz rację. Jestem gotów powiedzieć wszystko.

– Dlaczego?

– Chcę cię poznać.

– Nareszcie powiedziałeś prawdę.

– Mnóstwo dziewczyn woli, jak chłopak kłamie. Pod warunkiem, że słyszą to, co chcą usłyszeć.

– Nie jestem mnóstwo dziewczyn.

– Zaczyna to do mnie docierać.

Patrzy na mnie. Właściwie to nie jest spojrzenie. Bardziej przypomina rezonans magnetyczny.

– Jestem Samara – mówi i wyciąga do mnie rękę.

Ujmuję ją. Jej dłoń jest miękka i ciepła, znacznie cieplejsza, niż się spodziewam.

– Wiem, kim jesteś – mówię.

– Chyba wszyscy wiedzą.

– Znają tylko twoją reputację.

Sam wzdycha.

– Dzięki, że tak to widzisz. Niewielu ludzi to rozumie.

– Ja rozumiem.

– Może to ty jesteś inny – zauważa.

– Jesteś teraz gotowa powiedzieć wszystko, co?

Uśmiecha się.

– Używasz moich własnych słów przeciwko mnie? – pyta.

– W miłości i na wojnie wszystkie chwytły dozwolone.

– A które z nich dotyczy nas, nowy?

Patrzę w jej oczy w pięknym przydymionym szarym kolorze, z zielonymi cętkami.

Nagle jestem gdzieś zupełnie indziej, stojąc przed kimś zupełnie innym...

DZIEWCZYNA.

Pierwsza. Niepodobna do Sam. Ta dziewczyna miała długie jasne włosy i niebieskie oczy.

Miałem wtedy czternaście lat. Dziewczyna więcej. Siedemnaście czy osiemnaście.

Była kasjerką w małym sklepiku. Poznałem ją pewnego dnia, gdy Ojciec wziął mnie ze sobą, żebym razem z nim załatwił kilka spraw. To był mój drugi rok szkolenia i wszystko wyglądało już inaczej. Matka i Ojciec mi ufali. Czasem wolno mi było nawet wyjść z domu.

Kasjerka uśmiechnęła się i wsunęła mi do ręki karteczkę. Napisała na niej, że powinniśmy się spotkać.

Pomyślałem, że dzieje się między nami coś prawdziwego. Może chociaż raz chciałem się poczuć jak ktoś normalny. Normalny chłopak, który umawia się z piękną dziewczyną.

Spotkaliśmy się u niej w domu tego samego dnia wieczorem. Przeprowadziła mnie przez cały dom, nie zatrzymując się po drodze, dopóki nie dotarliśmy do jej sypialni.

Zamknęła za sobą drzwi.

A potem zaczęła rozpinać bluzkę.

Pamiętam czerwony stanik. Widoczne przez koronkę sutki.

– Podobam ci się? – zapytała.

– No jasne – zapewniłem ją. Chyba była zadowolona z odpowiedzi, bo nie przestała rozpinać guzików.

Zawahała się przy ostatnim. Przygryzła wargi, jak gdyby coś ją zaniepokoiło.

– Jesteś bardzo młody – zauważyła.

– Wcale nie taki młody.

Położyła mi rękę na ramieniu.

– Chodzi mi o to – powiedziała – że potem będziesz myślał, że mnie kochasz.

Miałem już za sobą dwa lata szkolenia. Wcześniej nie przypuszczałem, że można się stać tak twardym.

Gdy wspomniała o miłości, przecząco pokręciłem głową.

Ujęła moją twarz w rękę. Pamiętam, jak ciepły był dotyk jej skóry.

– Uwierz mi – powiedziała. – Będziesz myślał, że mnie kochasz. I będziesz myślał, że też cię Kocham, bo

oddałam ci swoje ciało.

Bluzka wylądowała na podłodze.

– Będziesz się mylił, w jednym i drugim – dodała.

ALE TO BYŁO DAWNO TEMU.

Nie powinienem o tym myśleć. Nie teraz.

Teraz przede mną stoi Sam i czeka na odpowiedź.

W miłości i na wojnie wszystkie chwytły dozwolone,
powiedziałem.

A nas które dotyczy, nowy? – zapytała.

– Nie wiem, które – mówię. – Ale chciałbym się przekonać.

– W porządku – odpowiada. – Może na początek zdradzisz mi, jak masz na imię.

Moje imię.

Moje prawdziwe imię tkwi gdzieś w głębi mózgu, zamiecione w najdalszy zakamarek, gdzie nikt go nie dojrzy. Jest przysypane mnóstwem rzeczy. Imionami, obrazami, chwilami, wspomnieniami.

Przedmiotami dawnego życia. Żaden z nich nie może mi się teraz przydać.

– Mam na imię Benjamin – mówię.

To moje tymczasowe imię. Imię w tym zadaniu. Imię dla niej.

– Benjamin – powtarza. – Imię staruszka.

– Mam starą duszę.

Przygląda się badawczo mojej twarzy.

– Pod tym względem jesteśmy podobni – mówi.

Rozlega się pierwszy gong na lekcję.

– Przepraszam, jeżeli przedtem za bardzo przyparłam cię do muru, Benjamin. Ze względu na ojca muszę być naprawdę ostrożna. Wielu ludzi chce mnie znać z powodów, które mi się nie podobają.

– Na chwilę zbiłaś mnie z tropu. Nie jestem przyzwyczajony do takiej szczerości.

– Chyba dobrze ci to robi – zauważa.

Słychać drugi gong. Korytarz wypełnia się uczniami.

– Miło cię poznać, Sam.

Odwracam się, zmierzając na następną lekcję.

– Dzisiaj wieczorem jest u mnie impreza – mówi Sam. Zatrzymuję się.

– Mógłbyś wpaść. Urządzamy ją zawsze w prima aprilis, a w tym roku wypada moja kolej.

– W rezydencji burmistrza? – pytam.

– Tak się składa, że to też moje mieszkanie.

Jej ojciec nie mieszka w Gracie Mansion. Woli swój apartament na Upper West Side. To bardziej kameralne

miejsce, a dzięki temu zaproszenie jest bardziej ekskluzywne. I nie mogę go nie przyjąć.

– Impreza. Brzmi nieźle – mówię.

Rozlega się ostatni gong na lekcję.

– To dobrze. W takim razie do zobaczenia –
odpowiada Sam.

Uśmiecha się.

Wchodzę do gry.

KŁOPOT W TYM, ŻE DOPIERO CO POJAWIŁEM SIĘ W SZKOLE.

Gdybym przyszedł na imprezę do Sam bez towarzystwa, to byłby dla mnie koniec. Pojawiłbym się jako nowy, który dostał zaproszenie z litości, i spędziłbym wieczór, sącząc colę, podpierając ściany i gadając o niczym. Mógłbym to szybko odwrócić, kiedy znajdę się już na miejscu, ale to by wymagało sporej pracy.

Są lepsze sposoby.

Najlepiej byłoby w ogóle nie przyjść na imprezę i niech Sam się zastanawia, dlaczego ją zlekceważyłem, niech za mną biega. Niech otacza mnie coraz większa tajemnica.

To jednak wymaga czasu, a czasu nie mam.

Muszę znaleźć inne wyjście.

Idę przez szkołę, rozmyślając o tym, a gdy skręcam za róg korytarza, widzę dziewczynę uczącą się na siedzisku z poduchy. Tę blondynkę, która rano rozmawiała z Sam. W bardzo obcisłej spódniczce.

Właściwie w niecałej spódniczce.

Półośy na siedzisku, ślęcząc nad podręcznikiem chemii. Czyta fragment, wzdycha i czyta dalej

Być może właśnie znalazłem lepszy sposób, żeby pójść na imprezę do Sam. Zawracam i podchodzę do dziewczyny.

– Ta poducha jest zajęta? – pytam.

Unosi wzrok znad książki.

– Wolna – odpowiada i wraca do lektury.

Ciężko opadam na miękkie siedzisko. Wyciągam książkę do matematyki i zagłębiam się w nią, ignorując dziewczynę.

Czekam.

Półtorej minuty później zerka w moją stronę.

Czekam.

Zerka znowu. Daje mi okazję.

– Co słyhać w świecie chemii? – pytam.

– Mózg mnie od niej boli – skarży się dziewczyna.

Sprawia wrażenie, jak gdyby mózg bolał ją od wielu rzeczy. Zachowuję jednak tę refleksję dla siebie.

– Chemia to przykra rzecz – przytakuję. – Ale to nic w porównaniu z trygonometrią.

Pokazuję jej podręcznik do matematyki.

– Dwadzieścia minut temu pękło mi naczynie krwionośne w głowie – informuję dziewczynę – ale w mojej poprzedniej szkole byliśmy dwa rozdziały do tyłu, więc muszę czytać, dopóki nie nadgonię.

– Od pękniętego naczynia w głowie chyba by cię sparaliżowało, nie? – mówi.

– I sparaliżowało. Ale tylko lewą stronę.

Macham sztywno lewą ręką, jak gdyby była bezwładna.

Dziewczyna parska śmiechem. Ma poczucie humoru. Może jednak nie jest taka zła.

– Jesteś nowy? – pyta.

– Do kitu, co?

– Wysokie prawdopodobieństwo – stwierdza.

Zamyka książkę i upuszcza ją na kolana. Też zamykam swój podręcznik.

– Jestem całkiem niezły z chemii – mówię. – Jeżeli mogę ci jakoś pomóc...

Przygryza dolną wargę.

– Co wiesz o reakcjach chemicznych?

– Mnóstwo – odpowiadam i puszczam oko.

Marne, wiem. Sam pewnie skręciłaby mi kark,

gdybym jej powiedział coś takiego, ale ta dziewczyna należy chyba do takich, którym się to może podobać.

– Strasznie kiepskie – ocenia i robi kwaśną minę.

Spodobało się.

– Jak się nazywasz? – pyta.

– Benjamin.

– Mogę ci mówić Benji?

– Wtedy na pewno więcej się do ciebie nie odezwę.

– A Ben?

– Co to dla ciebie za różnica, jak mnie będziesz nazywać?

– Chcę wiedzieć, co mam wpisać w telefonie, jak wbiję do książki twój numer.

– Nie dałem ci mojego numeru – mówię.

– Jeszcze nie – potwierdza. – Ale chcesz.

Tu się nie myli.

Wzdycha i przeciąga się na niskim siedzisku, prostując się na wznak. Pamiętam, żeby zerknąć na jej gołe nogi, tak jak spojrzalby napalony szesnastolatek. Ma ładne nogi.

– Właśnie kupiłem nowy telefon – informuję ją.

– Fantastycznie – mówi.

Podaję jej mój numer.

Ma na imię Erica. Tyle ustalam.

Do końca dnia wymieniliśmy się kilkunastoma zabawnymi SMS-ami, a potem umówiliśmy się z Ericą, że pójdziemy razem na imprezę do Sam.

Wierzy nawet, że to jej pomysł.

MAM W MIEŚCIE MIESZKANIE.

Mieszkanie, którego jeszcze nie widziałem.

Jest na górnym Manhattanie, przy Dziewięćdziesiątej Ósmej. Wychodząc ze szkoły, ruszam w tamtą stronę, idąc krętą drogą przez West Side.

Trochę inaczej patrzę teraz na dzielnicę. Złudzenie mojej niewidzialności rozwiało się jak dym.

Mam głowę zaprzątniętą Niewidzialnym.

Staram się poruszać jak roztargniony chłopak wracający po lekcjach do domu i rozmyślający o wszystkim, o czym może rozmyślać normalny uczeń szkoły średniej. W rzeczywistości jednak mam rozdwojoną uwagę. Patrzę na witryny sklepowe, sprawdzając, czy nie mam ogona. Przyglądam się twarzom przechodniów na ulicy, szukając w nich sygnałów świadczących o tym, że mnie rozpoznają. Taksówki i samochody dostawcze nie są już neutralne, bo wiem, że rzeczy występujące najpowszechniej w otoczeniu mogą być najłatwiej wykorzystane przeciwko mnie.

Używam wszystkich swoich umiejętności, aby

obserwować okolicę podczas tego marszu na północ, ale niczego nie zauważam.

Żadnego ogona. Żadnego zagrożenia. Ani śladu Niewidzialnego.

W końcu stoję samotnie przed całkiem przyzwoitym budynkiem bez windy na Dziewięćdziesiątej Ósmej, między Broadwayem a West End Avenue.

Przestaję się dręczyć myślami o Niewidzialnym i skupiam się na budynku.

Nie ma portiera. Nikogo, kto mógłby mi się przyglądać.

Ulica jest położona trochę na północ od drogich dzielnic, w których mieszka większość uczniów, ale w okolicy odpowiednio zamożnej dla chłopaka ze szkoły prywatnej, którego rodzice potrzebowali więcej przestrzeni; może chcieli znaleźć jakąś okazję.

Wyciągam z kieszeni mocno zużyty klucz. Gładko wchodzi do zamka drzwi wejściowych, choć nigdy wcześniej go nie używałem.

Wchodzę po schodach na pierwsze piętro. W ręku mam torbę z preclami z Lenny's Bagels, na ramieniu plecak. Gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, jestem nowym

mieszkańcem, który wprowadził się niedawno i trochę później wraca do domu ze szkoły.

Drugim kluczem otwieram drzwi mieszkania. Uchylają się na lekko skrzypiących zawiasach.

Uderza mnie zapach. Nie jest nieprzyjemny. Jest inny.

To zapach zamieszkanego domu.

Choć w ogóle tu nie mieszkałem, pachnie zamieszkaniem.

Jak czyjś dom.

Wchodzę do środka i włączam światło.

Mieszkanie nie jest duże. Dwie sypialnie. Całkiem spore jak na nowojorskie standardy. Małe według norm przedmieścia.

Skrećam do mniejszej sypialni. Mojej. Dzieci zawsze mają mniejszą sypialnię. Tak mi mówiono. Jak się spodziewałem, są tu moje ubrania, część w szufladach, część zwinięta w nieładzie na podłodze, jak gdybym sam je rzucił.

Siadam przy biurku i wysuwam górną szufladę.

Jest pełna przyborów do pisania i materiałów biurowych. Sięgam do środka, przeszukując po omacku wewnątrz szuflady.

Jest w niej piórnik.

Wyjmuję go ostrożnie.

Otwieram zamek.

Dwa ołówki automatyczne. Długopis z przyciskiem.
Gumka w kształcie ołówka w brązowym papierze,
którego długie paski odwijają się jak spirala.

Na biurku leży zegarek. Obok czeka pusta ładowarka
do iPhone'a.

Moje narzędzia.

Stukam w ekran telefonu z Apple Store, który ożywa.
Rysuję palcem zdefiniowany wzór, który przełącza
aparat w zabezpieczony tryb.

Dzwonię do Ojca.

Wcześniej się martwił. Chcę mu zdać relację
z postępów zadania, żeby go uspokoić.

– Miło mi cię znowu słyszeć – odzywa się. –
W dodatku tak szybko.

W jego głosie słyszę pytający ton.

– Poznałem nową koleżankę – mówię.

– Nową koleżankę? To wspaniale.

– Chyba by ci się spodobała.

Mówię szyfrem, informując Ojca, że nawiązałem

kontakt z celem pośrednim.

– Po jednym dniu w nowej szkole już masz koleżankę
– mówi Ojciec. – Bardzo dobrze.

Wyobrażam sobie, że przekazuje wiadomość Matce i rozmawiają o tym, jak dobrze sobie radzę z zadaniem. Ta myśl sprawia mi przyjemność.

– Moja nowa koleżanka zaprosiła mnie dzisiaj na imprezę – dodaję.

Rozmawiając, idę do większej sypialni. Ze zdjęcia na nocnym stoliku patrzy na mnie uśmiechnięta para. Biorę fotografię do ręki i oglądam obcych ludzi trzymających się pod rękę.

To moi rodzice. Rzekomi.

W rzeczywistości nigdy wcześniej ich nie widziałem. Zdjęcia zostały tu ustawione na wypadek, gdyby ktoś wszedł do mieszkania. Zapamiętuję twarze, żebym w razie potrzeby mógł je dokładnie opisać.

Oglądam inne zdjęcia przedstawiające tę parę. Szczególnie jedno zwraca moją uwagę. Zostało zrobione na plaży. Rodzice, których nigdy nie widziałem, relaksują się na leżakach, a obok nich relaksuje się młodsza wersja mnie, cyfrowo

wmontowana w kadr.

– Impreza jest w domu jej taty – mówię do Ojca.

– I ma się odbyć dzisiaj?

– Szybko działam – mówię. A potem wybucham śmiechem, jak można by się spodziewać po zarozumiałym nastolatku.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – odpowiada Ojciec. I też się śmieje.

– Dobrze się adaptuję. O tym chciałem ci powiedzieć.

– Cieszę się, że to słyszę. Przy okazji, chciałem wrócić do sprawy, o której rozmawialiśmy wcześniej.

– Sprawy?

– Mam na myśli osobę, którą, jak ci się zdawało, widziałeś. Powiedziałem o tym Matce.

Zastygam w pół ruchu, skupiając całą uwagę na rozmowie. Jeżeli przekazał tę informację Matce, to znaczy, że naprawdę się martwi.

A nigdy się nie martwi.

– I co powiedziała Matka?

– Powiedziała, żebyś był ostrożny.

Zawsze jestem ostrożny.

O co jej chodzi?

– Jesteś w innym mieście – ciągnie Ojciec. – Nie wiesz jeszcze, komu można zaufać. W grę mogą wchodzić czynniki, których nie znasz.

– Dlatego, że zadanie jest takie nietypowe? – pytam.

– Nietypowe? Dlaczego tak je nazywasz?

Bo to zamach polityczny.

– Inna skala – mówię. – Inna waga. I termin.

– Wydaje mi się, że to będzie dobry test twoich umiejętności – odpowiada Ojciec.

Test.

Czy właśnie o to tu chodzi?

KIEDY PRZYWIEŻLI MNIE DO MIASTA, BYŁ PIĘKNY JESIENNY DZIEŃ.

Liście na drzewach zmieniały kolor, krajobraz mienił się plamami niezwykłych barw. Przyglądałem się, jak migają za oknem, gdy odjeżdżaliśmy z domu, w którym przechodziłem szkolenie.

Matka i Ojciec siedzieli z przodu, ja z tyłu. Rodzina na niedzielnej przejażdżce. Tak moglibyście pomyśleć, gdybyście nas mijali.

Matka powiedziała, że zasłużyłem sobie na odpoczynek. Ciężko pracowałem, mówiła, więc najwyższy czas, żebym się trochę rozerwał.

Zatrzymała samochód w pobliżu małego miasteczka.

– Zobaczymy się później – powiedziała.

– Później?

Ojciec wcisnął mi do ręki trochę pieniędzy, pięć nowiutkich, złożonych wpool banknotów dwudziestodolarowych.

– Co mam z tym zrobić? – zdziwiłem się.

– Idź do kina. Zjedz lunch. Baw się.

– A jak wrócę?

– O tym już pomyśleliśmy – rzekł Ojciec.

Mówił dziwnym głosem. Brzmiało w nim napięcie, którego wtedy jeszcze nie potrafiłem rozpoznać. Niewiele brakowało, żebym go o to zapytał, ale kiedy spojrzałem przez okno, zobaczyłem ludzi chodzących główną ulicą miasteczka. Wszędzie rozwieszono dekoracje z okazji Halloween.

Nie spytałem Ojca, o co chodzi. Po prostu wysiadłem z samochodu.

Od prawie dwóch lat pierwszy raz zostałem sam, zdany tylko na siebie.

Szedłem przez miasto. Dynie, wycięte z papieru duchy, czarno-pomarańczowe wieńce w witrynach sklepów.

Czekałem na przyjazd samochodu, ale się nie pojawił.

– Czy jest tu w okolicy kino? – spytałem kobiety w średnim wieku.

Ostatnio wszedł nowy film akcji, który chciałem zobaczyć. Bardzo.

– Sześć ulic stąd, za rogiem – powiedziała. – Ale jest tylko jeden ekran.

– Więcej mi nie potrzeba.

Kobieta pokazała w głąb ulicy i w prawo.

Wciągnąłem do płuc rześkie jesienne powietrze.
Gdzie byłem?

Na północnym wschodzie? W New Hampshire czy
Vermontcie?

A może dalej na południe, gdzieś w wiejskiej części
Marylandu?

Chciałem ją o to zapytać, ale wolałem nie zwracać na
siebie uwagi. Co innego pytanie o drogę do kina,
a zupełnie co innego pytanie, w którym stanie jesteś.

Szedłem. Oddychałem. Pod moimi stopami chrzęściły
liście.

Uważałem się za szczęściarza. Moi nowi rodzice mi
ufali. Ufał mi Program.

Sprawdziłem się. Byłem jednym z nich, wartym tego
zaufania.

Z wystawy sklepu żelaznego uśmiechnął się do mnie
diabeł. Odpowiedziałem uśmiechem.

Wolność, choćby przez jedno popołudnie.

Wtedy właśnie to poczułem.

Ktoś za mną szedł przez miasteczko. Minutę później
zamiast jednego człowieka podążała za mną

kilkuosobowa grupa. A potem cały świat oszalał.

Nie wiedziałem, że to dzień zakończenia mojej nauki i na koniec pozostaną tylko dwie osoby.

Jedną z nich byłem ja. Drugą Mike.

To był dzień wielkiej walki.

Dzień noża.

Nie obejrzałem tego filmu. Musiałem walczyć o własne życie.

NASTĘPNY TEST.

Na tym właśnie polega to zadanie.

– Jesteś tam? – pyta w słuchawce głos Ojca.

– Jestem – mówię. – Myślałem o czymś.

– Chciałbyś się tym ze mną podzielić?

Głęboko nabieram powietrza.

– Mówiłeś, że tym razem w grę mogą wchodzić czynniki, których nie znam.

– Zgadza się.

– Może te czynniki nie będą miały znaczenia – ciągnę.

– Co masz na myśli?

– Dzisiejszą imprezę. Może uda mi się skończyć zadanie od razu i nie będę się musiał przejmować żadnymi z tych czynników.

– To by znacznie ułatwiło życie – stwierdza Ojciec.

– Ułatwiłoby życie wszystkim – przytakuję.

ERICA UŚMIECHA SIĘ ZNACZĄCO NA MÓJ WIDOK.

Siedzi w oknie wystawowym księgarni na rogu Osiemdziesiątej Drugiej i Broadwayu, ściskając w ręku prawie pusty kubek kawy.

Nie wchodzę do środka, tylko kiwam jej głową. Chwilę później wypada na ulicę, zdyszana i cała w uśmiechach.

– Hej – mówi.

Obejmuje mnie trochę za mocno, a potem szybko się odsuwa i łapie za pierś.

– Au. Co mnie ukłuło? – pyta.

Sięgam do kieszeni kurtki i wyjmuję swój długopis przerobiony na broń, który wziąłem ze sobą.

– Mój szczęśliwy długopis – wyjaśniam.

– Po co ci szczęśliwy długopis?

– Lubię go. Dostałem go od ojca.

To nieprawda. Dostałem go od Programu. Ale tego Erica się nie dowie.

– To co, idziemy?

– Zmieniłam zdanie – informuje mnie. – Może

zamiast na imprezę pójdziemy do mnie i obejrzymy jakiś film?

Unoszę brew.

– Prima aprilis – oznajmia.

– Dobrze.

– Wiem – mówi.

Policzki jej czerwienieją w chłodzie wiosennego wieczoru. Wygląda pięknie, patrząc na mnie dużymi umalowanymi oczami.

Czuję coś w głębi piersi, krótkie drgnienie przypominające skurcz mięśni.

Po chwili mija.

Kiedy ruszamy, Erica zahacza rękę o mój łokieć.

– Co jest między tobą a Sam? – pyta.

– A co ci powiedziała?

– *Nada*. Ale mam kobiecą intuicję.

– Nic między nami nie ma – zapewniam ją. – Po prostu nowy został zaproszony z litości.

Czuję, jak rozluźnia się jej ręka tkwiąca w zgięciu mojego łokcia.

– Czyli mam jeszcze szansę? – pyta.

Jej komentarz świadczy o toczonej przez całe życie

rywalizacji. Wyobrażam sobie, jak to jest przyjaźnić się z dziewczyną piękną i bogatą, która jest córką burmistrza. Choćbyś nie wiem jak błyszczał, obok ciebie zawsze jest ktoś, kto błyszczy jaśniej.

Zaczynam prawie współczuć Ericie.

– Sam ma chłopaka? – pytam.

– Od jakiegoś czasu nie – mówi Erica.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Bardzo mocno zaangażowała się w związek ze swoim byłym. Chyba nie do końca się po tym pozbierała.

– Mieszka tu jeszcze? – pytam dalej.

– Nie, to było zawsze na odległość. I moim zdaniem stąd wzięła się połowa kłopotów. Jak można mieć związek z kimś, kogo nigdy nie ma?

Myślę o swoim ojcu. Próbuję sobie wyobrazić rozmowę z nim dzisiaj, zastanawiam się, jakie pytania mógłbym mu zadać, o jakich opowiedzieć rzeczach, które zdarzyły się w moim życiu, odkąd go zabrakło.

– Na odległość. To chyba przykre – mówię.

– Czasem miłość boli – zauważa Erica.

– Czasem?

– Jeżeli kręcą cię klapsy, to tak. Słuchaj, będziemy cały wieczór rozmawiać o Sam?

Przyciąga bliżej moją rękę. Czuję pod łokciem krągłość jej biustu. To nie jest złe odczucie.

– Zależy, czy jesteś bardziej czarująca – mówię.

– Jestem szalenie czarująca.

POZWALAM ERICE ZAPROWADZIĆ SIĘ DO MIESZKANIA SAM.

Budynek jest na Osiedzi Pierwszej, między Central Park West a Columbus, naprzeciwko Muzeum Historii Naturalnej.

Zwracam uwagę na szczegóły na zewnątrz:

W głębi ulicy przy skrzyżowaniu stoi zaparkowany radiowóz. Drugi na przeciwległym rogu. Przed domem na chodniku stoi zainstalowana na stałe budka policyjna dla jednego funkcjonariusza.

Zwracam uwagę na szczegóły w środku:

Piękny hol, czterech ludzi non stop na dyżurze. Portier, konsjerż, pomocnik i windziarz. Pracują tu na stałe. Poznają to po ich spokoju. Jeżeli ktoś co dzień wykonuje te same rutynowe czynności, to prędzej czy później musi się rozluźnić. Można ćwiczyć, można się starać zachować czujność operacyjną, ale gdy mijają kolejne dni bez żadnych incydentów, uwaga się stępieja. Mózg nie może być stale w stanie pełnej gotowości.

Zagrożenie pomaga koncentrować myśli.

Bez zagrożenia nie ma koncentracji.

A kiedy pojawia się grupka uczniów zaproszonych na imprezę, nie ma zagrożenia. Tylko sporo młodych dziewczyn do oglądania.

Kiedy wchodzę z Ericą, od razu wypadam wiarygodnie i mam piękne towarzystwo, które skutecznie skupia na sobie uwagę.

Pokazujemy dokumenty, a strażnik sprawdza na liście nasze nazwiska, zaglądając przy tym Ericę w dekolt. Nieprofesjonalne zachowanie, ale dla mnie korzystne. Dzięki temu moja twarz nie zostanie zapamiętana.

Windziarz zawozi nas na górę, przytykając kartę elektroniczną do czytnika na ścianie.

– Tamten facet zachował się jak dupek – szepcze do mnie Erica. – Widziałeś, jak zaglądał mi pod sukienkę?

– Trudno nie zaglądać – odpowiadam.

Rozpromienia się w uśmiechu i przyciąga bliżej moją rękę.

– Z twoich ust to komplement.

Zerkam na windziarza. Stara się patrzeć w ścianę przed sobą, fachowo nie słuchając rozmów toczonych pół metra od niego.

– Mieszkanie burmistrza – oznajmia windziarz.

Otwierają się drzwi i widzę krótki, specjalnie zbudowany korytarz. Apartamenty tego rodzaju zwykle mają windy, z których wysiada się bezpośrednio do salonu albo przedpokoju. Korytarz jest dodatkową strefą bezpieczeństwa między apartamentem a światem i świadczy o znaczeniu ludzi, którzy tu mieszkają. Tę przestrzeń na pewno można zamknąć z obu stron, żeby uwięzić kogoś między drzwiami wejściowymi a windą.

Dobrze wiedzieć.

Ale to jeszcze nie koniec.

Musimy przejść jeszcze jedną kontrolę bezpieczeństwa. Widzimy dwóch facetów w ciemnych garniturach, którzy nie są policjantami i na pewno nie zostali zatrudnieni tymczasowo.

Ci dwaj to wytrawni zawodnicy. Widzę różnicę.

Pierwszy stoi w nieodpowiednim miejscu, za blisko windy. Gdyby za drzwiami windy czaiło się coś złego, miałby kłopoty.

Drugi zajmuje lepszą pozycję. Stoi po drugiej stronie korytarza, plecami do ściany. Ma dobrą pozycję do obserwacji. Ten jest bardziej skupiony. Przygląda się twarzom, rękom, paskom. Prawdziwy zawodowiec.

Jestem pod wrażeniem.

Kiedy go mijamy, kiwa mi głową. Skinienie głowy, uniwersalne powitanie wojskowych i policjantów na całym świecie, gdy rozpoznają jednego ze swoich. Coś we mnie wyczuwa albo podpowiada mu to intuicja. Kiwa głową przedstawicielowi swojego plemienia.

Niewiele brakuje, żebym odpowiedział w ten sam sposób.

To tak mechaniczny odruch, że z trudem udaje mi się go opanować.

Jedno skinienie głowy i byłbym skończony. Jeżeli ten facet jest tak dobry, jak podejrzewam, musiałbym odpowiedzieć na wiele pytań.

Kiedy więc kiwa głową, udaję, że tego nie widzę. Natychmiast odrobinę redukuje swoją energię.

Zawodowiec jest niebezpieczny. Postaram się go unikać.

Jego partner otwiera nam drzwi. Nie kiwa głową.

To wejście do apartamentu burmistrza na ostatnim piętrze.

Spodziewam się zobaczyć przepych godny nowojorskiego miliardera. Ogromny pokój, sufit

dziesięć metrów nad głową, żyrandol wielkości małego samochodu.

Widzę jednak coś innego.

Dom.

Naturalne kolory. Regały pełne książek. Dyskretne światło.

Oczywiście apartament jest ogromny – zajmuje całe piętro budynku. Ale równocześnie jest wygodny. Wyczuwa się, że mieszkają tu prawdziwi ludzie. Niektóre domy po prostu tak mają.

Przekąski.

Słowo samo pojawia mi się w głowie.

Wkrada się nieproszone i wytrąca mnie przez to z równowagi.

Dzieci przychodzą do domu i dostają coś do przegryzienia.

Dlaczego o tym myślę? Przecież to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Widziałem kiedyś coś takiego w serialu.

Nie. To prawdziwe wspomnienie.

Miałem dwanaście lat. Ostatni rok normalnego życia na świecie.

Moja przekąska. Ciastka owsiane z rodzynkami na talerzu.

– Halo, Ziemia do Benjiego – mówi Erica.

Patrzę na nią. Nie mogę pozwolić, żeby dekoncentrowały mnie teraz wspomnienia, gdy mam pięć dni na wykonanie najważniejszego zadania w życiu.

I być może najszybszego.

Wszystko zależy od burmistrza. Czy jest dzisiaj w domu.

– Przepraszam, zamyśliłem się – wyjaśniam Erice.

– Wiem, o czym myślisz – odpowiada. – Myślisz sobie, że to świat nie dla ciebie. Każdy tak myśli, kiedy pierwszy raz przychodzi do domu burmistrza. Niefajnie, Ben. Musisz być *suavecito*.

– Że ma takie mieszkanie? Co z tego? – pytam.

– Właśnie – mówi Erica. – Oto kozak, którego poznałam dzisiaj po południu. Chodź za mną.

W korytarzu rozbrzmiewa muzyka, dobiegająca z innej części mieszkania.

Idziemy w jej kierunku. Korytarz łączy się z dużym salonem. Muzyka dudni. Ciała podskakują.

Erica wpada w entuzjazm, kołysząc ramionami w takt

muzyki.

– Fantastycznie, nie? – krzyczy.

Tańczy przede mną, wykonując biodrami i całym ciałem płynny wężowy ruch.

Oceniam reakcje ludzi w pokoju. Patrzą na nas?

Tak. I wyglądają na zaskoczonych widokiem Eriki w towarzystwie nowego. Ważniejsze jednak, czy Sam też będzie zaskoczona.

– Gdzie ona jest? – pyta Erica jakiejś dziewczyny. Dziewczyna pokazuje.

Erica odwraca się plecami do mnie, kołysząc pupą w rytm muzyki. Ogląda się za siebie, sprawdzając, czy na nią patrzę.

Patrzę.

Prowadzi mnie przez korytarz.

Do Sam.

Zastajemy ją w ogromnej, nowocześnie urządzonej kuchni. Ktoś w tym domu najwyraźniej lubi gotować. Być może Sam. Stoi przy blacie i dużym nożem szefa kuchni kroi warzywa.

– Patrz, co znalazłam – mówi Erica, jak gdyby chciała się mną popisać.

Sam przygląda się nam obojgu.

Patrzy na nas bez widocznej reakcji, a przynajmniej: zauważalnej dla normalnego człowieka.

Ale ja nie jestem normalnym człowiekiem.

Widzę naprężenie ramion, zmianę w układzie mięśni twarzy. Napięcie brwi, którego wcześniej nie było. Dochodzę do wniosku, że uderzyłem we właściwą strunę.

Fachowo kroji ogórek w drobną kostkę.

– Co takiego znalazłaś? – pyta Sam. W jej głosie nie brzmi żadna nuta zdziwienia.

– Zabłąkanego szczeniaka na ulicy – odpowiada Erica. – Nie mogłam się powstrzymać i musiałam go zabrać.

Zarzuca mi ręce na ramiona, jak gdybym był jej nową zabawką.

– Postanowiłeś przyjść – zwraca się do mnie Sam.

– Nie miałem większego wyboru – wyjaśniam, wskazując na Ericę.

– Uważaj – ostrzega Sam. – Ona słynie z tego, że przekarmia swoje zwierzątka.

– Nie martwię się tym – zapewniam ją.

– Powinieneś. Ma kota wielkości balonu z parady Macy’s – mówi Sam.

– Nie obrażaj mojego kiciusia – broni się Erica. – Jest najwyżej troszkę pulchny.

Sam nadyma policzki, a Erica zgina się w pół ze śmiechu.

Sam przenosi wzrok z Eriki na mnie, a jej oczach migocze ledwie dostrzegalny błysk gniewu. Wraca do krojenia.

– Co robisz? – pyta ją Erica.

– Sałatkę izraelską.

– Moją ulubioną! – woła Erica, podkradając kawałek pomidora z miski. – Przypomina salsę *pico de gallo*, tylko z innym akcentem. Przydałoby się coś do popicia.

– Napoje są na stole – mówi Sam. – A zapasik...

– W szufladzie z zapasikiem – kończy Erica. – Jasne.

Podchodzi do kredensu przypominającego wielkością garderobę, otwiera trzecią szufladę od dołu i wyjmuje butelkę oliwy z oliwek. Nalewa jej do szklanki na dwa palce i uzupełnia lemoniadą.

– Będziesz pić oliwę? – pytam. – To coś nowego.

– Tequila – wyjaśnia Erica. – Sztuczka Sam. Niezła,

co? Trunkowe CIA.

– Aż się boję zapytać, co jest w butelce na ocet – mówię.

Sam odwraca się do mnie z nożem w ręku.

– Powiedziałałabym ci – mówi. – Ale potem musiałabym cię zabić.

Patrzę na nóż. Ostrze jest mokre, lśniące i niebezpieczne. Obliczam zasięg broni. Sześć długości płytek na kuchennej podłodze.

Stoję pięć płytek od Sam.

Robię maleńki krok do tyłu.

Większość ludzi nie zauważyłaby mojego ruchu, ale oczy Sam śledzą mnie z uwagą.

– Boisz się noży? – pyta mnie.

– Tylko wtedy, gdy są wycelowane we mnie – odpowiadam.

Odkłada nóż.

– Powinam raczej zapytać, czy boisz się mnie – mówi.

Uśmiecham się.

– Bardziej boję się twojego ojca. Co będzie, jeżeli się dowie, że pijemy w jego domu?

– Czego oczy nie widzą, tego ojcu nie żal – oznajmia Sam.

– Czyli jest w domu? – pytam.

– Gdzieś tu jest. W czasie imprez ucieka i się chowa.

Ale gdzie się chowa?

– W każdym razie procentami się nie przejmuj – radzi Sam. – Policja nie zrobi nam nalotu. Już tu jest.

– Wszystko potrafisz popsuć – oznajmia Erica. Pociąga spory łyk lemoniady z prądem. – *Delizioso!*

Mija nas grupka dziewczyn i Erica wydaje głośny okrzyk.

– Muszę się przywitać z tymi jędzami – mówi z uśmiechem. – Nie odchodź za daleko, szczeniaczku, dobra?

Nie czekając na odpowiedź, szczypie mnie w ucho, po czym z drinkiem w dłoni odpływa w kierunku muzyki.

– Znalazłeś sobie nową przyjaciółkę – mówi Sam.

– Chyba tak.

– Szybko.

Mierzy mnie przeciągłym spojrzeniem.

Chcę wzbudzić w niej trochę zazdrości, ale nie chcę jej stracić. Muszę się z nią teraz obchodzić ostrożnie.

– Nie masz nic przeciwko temu, że z nią przyszedłem? – pytam. – Nie chciałem być nowym samym jak palec.

Sam lekceważąco macha ręką.

– W porządku. Jest impreza. Przecież nie byliśmy na żadnej randce.

– Przynajmniej na razie.

Rozpromienia się w uśmiechu i podaje mi szklankę lemoniady z prądem.

– A jeżeli wejdzie tu twój ojciec i zobaczy, że to piję? Nie chciałbym zrobić złego pierwszego wrażenia.

– Chcesz go poznać, co?

– Może.

– Nie kłam. Tego nie znoszę.

– Chcę go poznać. Czemu miałbym nie chcieć?

Odwraca wzrok, popija ze szklanki swoją lemoniadę.

– Ale wolałbym poznać ciebie – dodaję.

Znów na mnie patrzy.

– Świetna obrona.

– To nie obrona. To prawda.

– Może kiedyś cię przedstawię, Benjamin. Jeżeli ty i ja...

– Jeżeli co?

– Jeżeli bardziej się do siebie zbliżymy.

Zbliżymy. Słowo brzmi dobrze w jej ustach.

Ale ja nie zbliżam się do ludzi. Nie w takim sensie, w jakim ona to rozumie.

Zbliżam się do swojego obiektu.

– Lepiej idź poszukać swojej towarzyszki – radzi Sam.

– Zanim zaczniesz szaleć?

– Niektóre kobiety wściekają się, kiedy nie uda się im postawić na swoim.

– A ty?

– Jestem w połowie Izraelką – mówi. – Powiedzieć, że się wściekam, to za mało.

– Postaram się nie zaleźć ci za skórę – mówię.

I wracam na imprezę.

Ale nie szukam swojej towarzyszki.

BURMISTRZ TU JEST.

Tak powiedziała Sam. Zaszył się gdzieś w głębi mieszkania.

Powoli okrążam cały apartament.

Wyglądam, jak gdybym wypatrywał znajomych, ale w rzeczywistości szukam burmistrza, równocześnie rozpoznając i zapamiętując teren.

Muszę wiedzieć dwie rzeczy:

Jak się tu dostać, a potem wydostać.

Zwracam uwagę na wejścia i wyjścia, drzwi, rogi, ślepe punkty. Jest ładna pogoda, więc okna są otwarte. Wchodzę do pustego pokoju i wystawiam głowę na dwór.

Jesteśmy na jedenastym piętrze. Na dół jest bardzo daleko.

Wzdłuż okien na zewnątrz biegnie betonowy gzyms. Nikt nie miałby ochoty długo na nim stać.

Prostuję się i widzę, że za mną stoi Darius, Kudłaty Wielkolud, patrząc na mnie, jak gdyby coś złego chodziło mu po głowie.

– Zastanawiasz się, czy mnie nie popchnąć? – pytam.

– Liczyłem na to, że masz skłonności samobójcze i nie będę musiał.

– Dzisiaj jest mi trochę smutno.

– Nie broń się przed tym – mówi. – Najpierw jest trochę smutno, a potem bardzo. Zwłaszcza jeżeli podlejesz to alkoholem.

– Słodziak z ciebie. Sam miała rację.

Napina mięśnie ramion.

– Mówiła o mnie? – Przez ułamek sekundy wydaje się zaintrygowany, ale zaraz to ukrywa. – Nie. Nie mówi o mnie. A na pewno nie mówiłaby tobie. Bujać to my.

– Masz rację – przytakuję. – Prawie o tobie nie wspomina.

Drży mu powieka.

Nerwowy facet. Przyszedłem w sprawie burmistrza, więc nie mam ochoty się z nim sprzeczać. Przycisnąłem go już na tyle, żeby zdobyć nad nim przewagę. Pora trochę złagodzić atmosferę. Jeżeli coś się dzisiaj wydarzy, nie chcę, żeby zapytał policji: „A przesłuchaliście już nowego?”.

– Drinka? – pytam, podsuwając mu swoją lemoniadę.

– Naplułeś do niego?

– To numery z podstawówki. Teraz gramy w wyższej lidze. Nasikałem.

Otwiera szeroko oczy.

– Żartuję. Drink jest czyściutki. Po prostu nie piję.

Wyciągam do niego szklanę. Dar na zgodę.

Waha się przez chwilę.

– Jesteś w programie? – pyta.

W Programie.

Przez myśl przebiega mi twarz Matki.

Ale nie mówi o moim programie. Chodzi mu o AA. Anonimowych Alkoholików.

– Czasami do nich chodzę – kłamię. – Ale odstawiłem picie. Nie umiałem sobie poradzić.

– To masz przekichane, nie?

Pociąga łyk lemoniady.

– Ja, zdaje się, nie mam tego problemu – mówi. – Ale uważam. Sam wiesz, jak to jest.

– Pewnie, że wiem – przytakuję.

– Inaczej niż ty – ciągnie. – Ty nie uważasz.

– Co masz na myśli?

– Wbiłeś się na imprezę nieproszony.

– Wcale nie. Zaprosiła mnie twoja dziewczyna –

protestuję.

– To nie jest moja dziewczyna. Jest niezależną dziewczyną... hm... kobietą.

– Zaprosiła mnie twoja kobieta. Nie wiem, co jej mówiłeś po lekcjach, ale nie podziałało.

– Słuchaj, gościu, nic do ciebie nie mam. Przysłała mnie, żebym cię sprawdził. Powiedziałem jej, co myślę.

– Przysłała cię?

– Nie wiem, jak robiliście to w Choate, ale tu mamy swoje zasady. Pilnujemy naszych. Zwłaszcza Sam. Jest jak z królewskiego rodu.

Nieźle go wzięło. Widać na pierwszy rzut oka.

Znow pociąga łyk. Więcej niż łyk. Szklanka jest już w połowie pusta.

– Jak ci się udało tak szybko z nią zakumplować? – pyta.

– Wcale się z nią nie zakumplowałem.

– Jesteś u niej w domu. Trudno się tu dostać.

– Tobie zajęło to więcej czasu, co?

– Nie o to mi chodzi.

Patrzy na mnie. A raczej stara się patrzeć. Jego oczy zaczynają zachodzić mgłą.

Właśnie z tego powodu nie piję. Wraz z obecnością substancji odurzających w organizmie stopniowo zmniejsza się świadomość sytuacji.

Poza tym alkohol ogłupia.

Darius znów pociąga długi łyk. Odwagi w płynie.

– Ty – mówi.

Znowu celuje we mnie palcem. Uwielbia pokazywać palcem. Zaczynam myśleć, że nie zna żadnej innej sztuczki.

– Mam cię na oku – oznajmia.

– Nie musisz mieć mnie na oku – mówię. – Gramy do tej samej bramki.

– Tej samej?

Lekko chwieje się na nogach.

– Nie zamierzam zrobić Sam krzywdy – zapewniam go. – Przyrzekam.

Kiwa głową i opuszcza gardę.

– Dużo przeszła, wiesz? Próbuję ją chronić, ale to nie jest łatwe.

Klepię go po ramieniu. Od ćwiczeń jest twarde jak kamień.

– Rozumiem – mówię, zmierzając w stronę drzwi.

– Chcesz z powrotem swojego drinka? – pyta.

– Jest twój – odpowiadam.

Unosi szklankę w milczącym toaście.

– Do zobaczenia – mówi.

Może nie, myślę.

ERICA ŁAPIE MNIE ZA REKĘ I CIĄGNIĘ KORYTARZEM.

Żadnego „hej”. Ani słowa.

Kiedy widzi, jak wychodzę z pokoju, rzuca się na mnie. Trochę przeszkadza jej w tym sukienka, która jest trochę za krótka, więc stawia opór. Zwłaszcza wokół bioder.

– Muszę kogoś znaleźć – protestuję, próbując się od niej odsunąć.

– Kogoś ważniejszego ode mnie? – pyta.

– Oczywiście, że nie – mówię. – Chcę tylko...

– Dwie sekundy – przerywa mi. – Chcę ci coś pokazać.

Zaciąga mnie do łazienki i zatrzaskuje za nami drzwi.

– Co mi chcesz tu pokazać?

– Przyniosłam ci prezent – informuje mnie.

Mówi z wyraźnym trudem, połykając słowa. Ile lemoniady mogła wypić w ciągu piętnastu minut?

Patrzę jej w oczy.

Za dużo, myślę.

– Gdzie ten prezent? – pytam.

Dotyka palcem warg.

– Nie rozumiem.

– Moje usta – wyjaśnia. – To prezent dla ciebie.

– Twoje usta?

– Umiem nimi robić dużo rzeczy.

– Należysz do grupy dyskusyjnej?

– Cha, cha, boki zrywać – bełkocze.

Szybko się przechyla, przyciskając mnie do umywalki i mocno całując. Na jej wargach czuję smak tequili zmieszanej z cukrem. Jak gdybym całował margaritę.

Pyszną margaritę.

– Widzisz, o co mi chodzi? – pyta. – Umiem nimi całować...

Znów przechyla się w moją stronę i gryzie mnie w ramię.

– Umiem nimi ugryźć...

Zaczyna przede mną klękać.

– Hej – mówię. – Zaczekaj.

Nie chodzi o to, że nigdy się z nikim nie zabawiam podczas zadania. Wziąłbym to pod uwagę, gdyby pomogło mi w integracji z grupą albo zbliżyło do celu pośredniego. Wątpię jednak, czy przyda mi się do

czegoś w tej sytuacji.

Poza tym wyczuwam w Ericie coś, co ukrywa się pod maską hardej dziewczyny i co nakazuje mi postępować z nią ostrożnie.

– Jesteś świętoszkiem, Ben. Benji.

– Nie jestem świętoszkiem. Myślę, że jesteś pijana.

– Trochę mi szumi w głowie. Co z tego?

Przypuszczam, że zawsze jej szumi w głowie, kiedy wybiera sobie partnerów. I jestem się gotów założyć, że nie wychodzi to jej na dobre.

– Nie chcę, żebyś zrobiła coś, czego będziesz żałować – mówię.

– Na przykład? Że ci zrobię dobrze? Dlaczego miałabym tego żałować?

Niektóre części mojego ciała bardzo chętnie dałyby się przekonać temu argumentowi, mimo to stawiam opór.

Łapię ją za ramiona i podnoszę z kłęczek.

– To z powodu Sam? – pyta Erica.

Patrzy mi w oczy.

– Przez nią, prawda? Okłamałeś mnie wcześniej.

– To nie ma nic wspólnego z Sam.

– Coś ci powiem. Myślisz, że jest Małą Supergwiazdą. Zresztą wszyscy tak myślą, ale nie znasz jej tak jak ja. Ma burzliwą przeszłość, Ben.

– Jak każdy, nie?

– Nie ja. Ja mam burzliwą teraźniejszość. To o wiele lepsze. Cały syf na wierzchu.

Mój manewr nie działa. Muszę spróbować innej taktyki.

– Prawda wygląda tak, że w tym momencie nie mogę się z nikim wiązać – mówię.

– Ja też nie – odpowiada. – Pytałeś, czy Sam ma chłopaka, ale nie zapytałeś, czy ja mam. Jeżeli chcesz wiedzieć, ma na imię Geoffrey. Jest starszy. Idzie na Princeton i gdyby tu był, sprzałby cię na kwaśne jabłko. Co o tym myślisz?

Co teraz powinienem powiedzieć?

– To mnie przeraża.

– Ale i podnieca, co? – Erica wyciąga rękę do mojego paska.

Chyba jednak nie powinienem był tego mówić.

Chwytam jej dłonie i ściskam.

– Serio. Nie chcę wchodzić w drogę innemu facetowi.

– A ty co, szlachetny rycerz?

– Nie o to chodzi.

– Bo jeżeli tak, to jesteś jedyny w szkole – mówi. –
Innym jest wszystko jedno.

– Mnie nie.

Przestaje się do mnie kleić, robi duży krok do tyłu.

– Dlaczego?

– Nie lubię wykorzystywać ludzi.

Zaskakują mnie moje własne słowa. Nie dlatego, że
wypowiadam taką okrągłą kwestię, ale wygłaszając ją,
mam wrażenie, że to prawda.

Erica badawczo przygląda się mojej twarzy.

– Chyba rzeczywiście na jakiś pokręcony sposób nie
jest ci wszystko jedno – stwierdza.

Co w tym momencie widzi?

Cała sytuacja wytrąca mnie z równowagi. Myśli, które
krążą mi po głowie, fakt, że głośno je wypowiadam.

Nieodpowiedni moment. *A wszystko zaczęło się od
Sam.*

– Miłość robi z człowiekiem straszne rzeczy –
zauważa Erica.

Podciąga spódniczkę do pasa. Dostrzegam bieliznę

w różowe kwiatki.

– Co ty wyprawiasz?

– Chcę się wysikać – mówi.

– Zostawię cię samą.

– Nie musisz – odpowiada.

Wymykam się z łazienki.

– Możesz uciekać, ale nie uda ci się schować – woła
za mną.

Zdziwiłabyś się, myślę.

W KORYTARZU ROZBRZMIEWA MUZYKA.

Oddalam się – od niej, od Eriki i Dariusa, od Sam w kuchni, od całej imprezy.

I zmierzam w stronę burmistrza.

Kieruję swoją energię w przestrzeń, tak jak mnie uczono. Potem ruszam w głąb mieszkania, idąc za głosem intuicji.

Muzyka cichnie w miarę, jak przesuвам się korytarzem, przechodząc z części publicznej do prywatnej. Przyglądam się sufitowi, szukając charakterystycznych elementów świadczących o zainstalowaniu kamer – sztukaterii i listew maskujących przewody albo różnych odcieni farby, którą zamalowano otwory po montażu. Niczego takiego nie zauważam, co wcale nie znaczy, że kamer nie ma.

Dla własnego bezpieczeństwa poruszam się jak zabłąkany dzieciak. Jeżeli ktoś mnie zatrzyma, mogę powiedzieć, że pierwszy raz jestem w tym mieszkaniu. Nie byłoby nic niezwykłego w tym, że skręcam do niewłaściwego pokoju czy nawet próbuję zwiedzać. W końcu mieszka tu sam burmistrz.

Ale nie zamierzam dać się zatrzymać.

Skrećam za róg i dostrzegam światło padające na korytarz zza drzwi.

Ruszam w ich stronę.

Drzwi są uchylone, więc zaglądam do środka.

To dobrze urządzone gabinet, w którym stoi biurko zasłane papierami i stertami wydruków komputerowych. Włączona lampa na biurku zalewa pokój złotym blaskiem. Nad oparciem wyściełanego fotela ustawionego przodem w stronę okna widać tył głowy mężczyzny z gęstą, brązowo-siwą czupryną.

– Halo? – mówię.

Mężczyzna się nie odwraca.

Staram się, aby mój głos brzmiał skromnie i niewinnie.

– Przepraszam, że pana niepokoję – ciągnę. – Chyba się zgubiłem.

– Znalazłeś jedyne miejsce w mieszkaniu, gdzie nie ma imprezy – odpowiada mężczyzna.

Czas na mój ruch.

– Szczerze mówiąc, właśnie takiego miejsca szukałem.

– A to dlaczego?

– Właściwie nie znam nikogo z ludzi na imprezie.

– W takim razie zapraszam – mówi mężczyzna.

Ten głos. Ta fryzura.

W moim głosie pojawia się ton zaskoczenia.

– O kurczę. Pan jest burmistrzem.

– Podobno.

Sięgam do kieszeni na piersi, dotykam długopisu, który ze sobą przyniosłem.

– Naprawdę mi głupio – mówię. – Chyba skręciłem w złą stronę.

Z drugiego końca korytarza, którym przyszedłem, dobiega gromki śmiech. Mija mnie dwóch chłopaków ze szkoły, rozmawiając głośno i klepiąc się mocno po plecach.

– Zostań, jeżeli masz ochotę – mówi burmistrz.

Lekki akcent. Z Manhattanu, śladowy z New Jersey.

– Może na chwileczkę – odpowiadam. Wyciągam rękę do drzwi. – Zostawić otwarte czy zamknąć?

– Zamknij. Daj odpocząć mojej głowie.

– Doskonale – mówię.

Zamykam drzwi. Wchodząc do pokoju, czuję, jak

podłoga lekko wibruje od dudniącego basu.

– O wiele lepiej – mówi burmistrz.

Obliczam swoje szanse. Prawdopodobieństwo, że nikt nam nie przeszkodzi. Prawdopodobieństwo, że wyjdę z imprezy wcześniej, niezauważony. Prawdopodobieństwo, że burmistrz niespodziewanie umrze podczas imprezy, na której akurat się znalazłem.

Ja, nowy uczeń w szkole. Obcy, który spędził tu niecały jeden dzień.

Możliwe, że podjęcie akcji w tym momencie to błąd. Nie wolno mi dopuścić, aby ktokolwiek powiązał mnie ze śmiercią burmistrza, moje zniknięcie nie może też wzbudzić żadnych podejrzeń.

W swojej pracy muszę stale dokonywać takich ocen. Kiedy udaje mi się dostatecznie zintegrować ze środowiskiem, żeby działać, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi? Czasem kończę szybko i znikam, zanim ktokolwiek się zorientuje, że w ogóle się pojawiłem, czasami czekam na możliwość wykonania ruchu, a innym razem...

Innym razem decyzję za mnie podejmuje los.

Burmistrz odwraca się i po raz pierwszy widzę jego

twarz. Jedną jej połowę oświetla lampa na biurku, a druga tonie w ciemności.

To życzliwa twarz. Znana.

I oczy. Coś w nich jest.

Identyczne ma Sam.

Nieważne. Jesteśmy w tym pokoju sami. Drzwi są zamknięte.

Muszę tylko wykonać zadanie i wrócić na imprezę, zanim ktokolwiek znajdzie ciało.

– Jak sądzisz, ile mieszkań stąd widać?

Odwraca się i spogląda przez okno.

Patrzą na cudowny, otwarty widok na miasto nad dachem Muzeum Historii Naturalnej. Okna w górze i w dole. Życie zamknięte w ramy jasnych kwadratów.

– Chyba tysiące – mówię. Stoję za nim, mniej więcej dwa metry od jego lewego ramienia.

– Rzędu dwunastu tysięcy – precyzuje burmistrz.

– Policzył je pan?

– Nie muszę. Liczę okna, które zajmują całe kwadratowe szyby, mnożę przez całkowitą powierzchnię szyby, a potem dzielę przez liczbę okien przypadającą przeciętnie na jedno mieszkanie.

– Dlatego rządzi pan miastem, a mnie grozi oblanie trygonometrii.

Śmieje się.

Wyjmuję długopis. Nie patrząc, przekręcam go w palcach, znajdując kciukiem mechanizm spustowy.

– Dwanaście tysięcy w jednej maleńkiej części miasta – mówi burmistrz. – Wyobraź s obie, że szukasz mieszkania. Jak mógłbyś wybrać to właściwe, mając tyle do wyboru?

W pamięci staje mi obraz ojca. Ojca w gabinecie na uczelni. Od czasu do czasu zabierał mnie na uniwersytet i sadzał naprzeciw siebie, kiedy oceniał prace pisemne. Czasem unosił wzrok, żeby mi zadać pytanie – na temat życia, relacji międzyludzkich, szkoły – i zaczynaliśmy dyskutować. Już gdy miałem dziesięć lat, uczył mnie myślenia.

Burmistrz znów się odwraca i patrzy na mnie.

– Większość ludzi nie ma wyboru – zauważam. – Bo na ile z tych mieszkań stać przeciętną osobę?

– Słusznie – zgadza się burmistrz.

Znów kieruje wzrok za okno. Pochodzę o krok bliżej.

Muzyka się zmienia. Zwalnia pulsowanie basu.

Łup, łup.

– Twierdzisz więc, że to nie my wybieramy – mówi burmistrz. – Wyboru dokonują za nas nasze ograniczenia.

– Tak mi się wydaje.

Przypominam sobie Sam podczas dyskusji dzisiaj rano. Zauważyłem u niej ten sam rodzaj intelektualnej ciekawości. Teraz wiem, skąd ją ma.

– Ale jeżeli wyboru dokonują nasze ograniczenia, skąd wiedzieć, czego się chce? – pyta burmistrz.

– Może to nie ma znaczenia, czego się chce – odpowiadam.

Robię następny krok, zbliżając się do szyi burmistrza.

Mam go już w zasięgu ręki.

– Mimo to nasze pragnienia nas definiują – stwierdza burmistrz. – Jeżeli nie wiemy, czego chcemy, to skąd można wiedzieć, kim się jest?

Przekręcam skuwkę długopisu w prawo.

Jestem teraz uzbrojony. Jedno pstryknięcie to śmierć, dwa pstryknięcia – chwilowa śpiączka.

– Może masz rację – dodaje.

Pstrykam długopisem i wysuwa się niewielka

śmiercionośna obsadka.

– Przed podjęciem decyzji zawsze przychodzi taka chwila, prawda? – kontynuuje burmistrz. – Chwila, w której sobie uświadamiasz, że twój wybór może mieć wpływ na wiele osób.

– Może w pana przypadku. Nie moim.

– Dlaczego?

– Pan jest burmistrzem. Ja tylko nastolatkiem.

– Wszyscy dokonujemy wyborów. A każdy z nich ma swoje reperkusje.

Wybór.

Mój ojciec dokonał wyboru. Postawił jedną lojalność przed drugą. *Lojalność budzącą wątpliwości*, jak sformułowała to Matka. Jego decyzja na zawsze zmieniła moje życie.

Ja też dokonuję wyborów i zmieniam na zawsze życie innych.

Na przykład życie Sam. I burmistrza.

Zastygam z długopisem w ręku.

Dlaczego o tym teraz myślę?

Wystarczy krok i znajdę się tuż przy szyi burmistrza. Wykonam zadanie. Ruszę dalej, opuszczając miasto, to

mieszkanie, Sam.

Tylko jeden krok.

Nie robię go.

Burmistrz wzdycha. Znów się do mnie odwraca.

– To bardzo miłe z twojej strony, że mnie znosisz – mówi. – Jak widzisz, mam na głowie mnóstwo spraw, a przed sobą ważną decyzję dotyczącą mojej przyszłości. Przepraszam, że cię zanudzam.

– Nie nudzę się – odpowiadam. – Po prostu nie bardzo rozumiem.

– Raczej wątpię – mówi.

Patrzy na moją rękę.

– Po co ci długopis? – pyta.

W tym momencie otwierają się drzwi i do gabinetu wchodzi Sam.

– Co ty tu robisz? – dziwi się.

Gapię się na nią przez sekundę, zaskoczony, że przyłapała mnie z burmistrzem.

Przez chwilę się zawahałem i okazja przepadła.

Przekręcam skuwkę w lewo. Broń zabezpieczona.

Sam czeka na odpowiedź z rękami na biodrach.

– Co robię? – powtarzam. – Właśnie chciałem

narobić sobie wstydu i poprosić twojego ojca o autograf.

– To prywatna część mieszkania. Nie powinieneś tu wchodzić – karci mnie Sam.

– Zaprosiłem go – wyjaśnia burmistrz. – I świetnie się nam rozmawiało, prawda?

– Rzeczywiście – potwierdzam.

Burmistrz puszcza do mnie oko.

– No dobrze. Przepraszam – wycofuje się Sam.

Kiedy burmistrz do niej podchodzi, jego szczupłe ciało wygląda nieco sztywno. Sam czule go obejmuje.

– Moja córka jest bardzo opiekuńcza – informuje mnie burmistrz. – Znasz ją, synu?

Nie jestem twoim synem.

– Mam na imię Benjamin – mówię. – I właśnie zaczynam ją poznawać. Trzeba się przedrzeć przez wiele warstw.

Burmistrz wybucha śmiechem. Serdecznym i naturalnym.

– Rzeczywiście, Benjaminie – przytakuje. – Pod tym względem jest bardzo podobna do matki.

– Słuchajcie, jestem w tym pokoju – przypomina Sam.

– Słyszę wszystko, o czym mówicie.

Zerkam na biurko. Stoi tam zdjęcie ich trojga – Sam, burmistrza i jej matki, kobiety, której fotografię widziałem na profilu Facebooka. Pozują na tle jakiegoś pomnika na Bliskim Wschodzie.

– Może lepiej damy ci spokój, tato – mówi Sam. –
Wiem, że masz dużo pracy.

Zaczyna mnie wypychać z pokoju.

– Chwileczkę – powstrzymuje ją burmistrz.

Podchodzi do mnie. Wyciąga rękę, otwierając dłoń.

– Podaj mi ten długopis – prosi.

Wyjmuję długopis i pstrykam, wysuwając obsadkę.

Kładę go na jego rękę.

Delikatnie.

Nachyla się nad biurkiem i bierze kartkę z burmistrzowskim godłem. Potrząsa długopisem. Potem coś nim pisze. Składa kartkę na pół i mi podaje.

– Miło cię było poznać, Ben – mówi.

– Pana także – odpowiadam.

Podajemy sobie dłonie. Ma suchą i ciepłą rękę.

– Mam nadzieję, że nie widzieliśmy się ostatni raz –
dodaje.

– Na pewno nie.

Robię dwa kroki w kierunku drzwi, ale przystaję.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale mój długopis...

Ogląda się przez ramię, patrząc na biurko. Leży na nim długopis.

– Oczywiście – mówi.

Oddaje mi go.

PRZED DRZWIAMI GABINETU STOI TAMTEN ZAWODOWIEC.

Czeka.

Od jak dawna tu jest?

A gdybym wykonał zadanie i wyszedł stamtąd prosto na niego?

Ale to teraz nie ma znaczenia.

Zawodowiec patrzy na Sam, potem na mnie.

– Nie wolno wchodzić do tej części apartamentu – zwraca się do mnie.

– To mój kolega Benjamin – tłumaczy Sam.

Ochroniarz mówi do Sam, ale nie odrywa wzroku ode mnie.

– Co robiliście w gabinecie pani ojca? – pyta.

– Rozmawialiśmy z ojcem. Prywatnie. – Ostatnie słowo wymawia z naciskiem.

Zawodowiec patrzy na Sam, kiwa głową, po czym uchyla drzwi i zagląda do środka, upewniając się, że burmistrz jest w gabinecie.

– Zadowolony? – pyta Sam.

– Wykonuję po prostu swoją pracę, proszę pani.

Zamyka drzwi i z powrotem upodobnia się do gargulca.

Sam ciągnie mnie w przeciwną stronę.

– Dupek – mruczy pod nosem. – Przepraszam cię za to.

– Chyba mnie nie lubi – zauważam.

– Nikogo nie lubi – mówi Sam – ale ty naprawdę mu się nie podobasz.

– Dziwne, bo jestem bardzo sympatyczny.

– Zdaje się, że mój ojciec też tak sądzi.

– A ty?

– Jeszcze się nie zdecydowałam.

– Nie spiesz się – radzę. – Nigdzie się nie wybieram.

Muszę zostać. Zmarnowałem pierwszą szansę i muszę walczyć o następną. Obiecałem Ojcu, że szybko skończę zadanie i wszystko ułatwię. Tymczasem schrzaniłem sprawę i teraz wszystko się skomplikowało.

Wyczuwam, że poddaję się myślom, które do niczego się nie przydadzą. Żal. Pretensje do siebie. Nauczyłem się nie roztrząsać takich rzeczy.

Zdarza się.

Trzeba się przystosować. Skupić na zadaniu.

– Ojciec zagadał cię na śmierć? – pyta Sam, kiedy idziemy razem korytarzem.

– Faktycznie, ledwie żyję.

– Musi podjąć ważną decyzję i trochę przez to wariuje.

– Zamierza zmienić dzień wywozu śmieci na czwartek?

– Boki zrywać – mówi Sam. – Zastanawia się raczej: co mam zrobić z resztą swojego życia?

– Nie wiedziałem, że burmistrzowie rozmyślają o takich rzeczach.

– Burmistrzowie pod koniec ostatniej kadencji tak – wyjaśnia Sam. – Na tym polega urok ograniczenia kadencji. Wywołują lęki.

– Myślałem, że wróci do prowadzenia swojej firmy.

Firma burmistrza, GRAM. Global Risk Assessment Modeling, czyli modelowanie i ocena zagrożeń globalnych. Zastosowanie skomplikowanych algorytmów eksploracji danych do globalnego bezpieczeństwa. Dzięki niemu profesor stał się biznesmenem, a biznesmen miliarderem. Miliarder został burmistrzem miasta w czasach, gdy świat czuł się

najbardziej zagrożony.

Przynajmniej taka jest wersja oficjalna. Stało się to prawie osiem lat temu. Byłem wtedy w trzeciej klasie.

– Kto wie, co robi – ciągnie Sam. – Mój ojciec ma tendencję do komplikowania prostych rzeczy. Matka zawsze mu to wytykała, ale teraz... – Jej uśmiech blednie. – Teraz jesteśmy zdani na siebie.

Jej matka. Przypominam sobie artykuł o wypadku samochodowym jej matki w Izraelu.

Sam patrzy w podłogę, obrysowując palcami stopy wzór na marmurze.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Wspomnienia – mówi. – Czasem ich nie znoszę.

– Ja też.

– Naprawdę? Co takiego wspominasz?

Wiele rzeczy, same groźne dla mnie.

Zanim mogę odpowiedzieć, przerywa nam jakaś dziewczyna o płomiennorudych włosach, idąca korytarzem.

– Superimpreza! – woła.

– Dzięki, że przyszłaś – mówi do niej Sam.

Ruda mierzy mnie zdumionym spojrzeniem, nie

rozpoznając chłopaka towarzyszącego Sam i spodziewając się, że nowy zostanie jej przedstawiony.

Ale się nie doczeka.

– Dam wam spokój – oznajmia i rusza dalej w głąb korytarza.

– Masz jeszcze jakieś pytania na temat ojca? – zwraca się do mnie Sam.

– Jeszcze dużo – odpowiadam.

Pochmurnieje.

– Chcę o nim więcej wiedzieć, bo chcę wiedzieć więcej o tobie.

– Rozumiem – mówi, przyglądając się badawczo mojej twarzy.

– Zawsze próbujesz zgadnąć, czy mówię prawdę – zauważam.

– Ryzyko zawodowe.

– Jaki zawód masz na myśli?

– Córka znanego człowieka – wyjaśnia.

Zastanawiam się jednak, czy nie chodzi o inną rolę. *Dziewczyna, którą skrzywdził jej były. A może dziewczyna, która straciła matkę i nie ufa światu.*

Tak czy inaczej to skomplikowane.

Po drodze mijamy drzwi wejściowe. Zatrzymuję się przy nich i kładę rękę na klamce.

Nie zamierzam już dzisiaj szukać drugiej okazji z burmistrzem. Najlepszy krok to szybko się stąd wycofać.

– Dokąd się wybierasz? – pyta Sam.

– Wychodzę.

– Prima aprilis?

– Serio.

– Masz w nosie moją imprezę?

– Nie mam jej w nosie. Przyszedłem. A teraz wychodzę.

Nie jest przyzwyczajona do tego, żeby odchodzili od niej chłopcy. Widzę, jak z wyraźnym trudem przyjmuje to do wiadomości. Chce mi zadać następne pytanie, ale rezygnuje.

– W porządku – mówi. – Ale wydaje mi się, że Erica będzie rozczarowana.

– Mam zwyczaj rozczarowywać kobiety – odpowiadam.

Skreca w palcach kosmyk włosów.

– A ja mam zwyczaj rozczarowywać mężczyzn.

Jeszcze jedna rzecz, która nas łączy.

Wychodzę, mijając ochroniarza w garniturze.

Idąc korytarzem, nasłuchuję, odliczając sekundy do zamknięcia drzwi. Kiedy odprowadzasz przyjaciela, możesz je zamknąć natychmiast. Jeżeli to ktoś, kto cię interesuje, być może zaczekasz z zamknięciem kilka sekund. A odprowadzając osobę, w której się zakochujesz...

– Hej, Benjamin! – woła.

Oglądam się za siebie i widzę, że stoi w progu otwartych drzwi z ręką na klamce.

Odprowadzając osobę, w której się zakochujesz, nie wchodzisz do środka. Czekasz i patrzysz, jak odchodzi. Tak jak robi teraz Sam.

– Nie rozczarowałeś mnie – oświadcza.

Otwierają się drzwi windy. Windziarz czeka.

– Jeszcze cię nie rozczarowałem – mówię.

Ale rozczaruję, kiedy zabiję twojego ojca.

Uśmiecha się i macha mi na pożegnanie.

Wchodzę do windy, pozwalając, żeby zasunęły się za mną drzwi.

W HOLU MUSZĘ SIĘ ODMELDOWAĆ.

Odhaczam na liście swoje nazwisko, a gliniarze życzą mi dobrej nocy.

Nierzucający się w oczy chłopak wychodzi z imprezy.

Właśnie tak to ma wyglądać.

Rozglądam się po ulicy. Zachowuję swobodną postawę ciała, ale bardzo uważnie obserwuję otoczenie. Ruszam przed siebie, a potem przystaję, badając reakcje zewnętrznego świata.

Nie ma żadnych.

Czekając na zmianę świateł na rogu ulicy, wydaję z kieszeni kartkę od burmistrza. U góry jest wyłoczona miejska pieczęć Nowego Jorku.

Poniżej burmistrz starannie napisał:

Dla mojego nowego przyjaciela <3

Bardzo się cieszę, że Cię poznałem.

Jonathan Goldberg

Fałszywa poufałość. Polityczna sztuczka, ale niezła.

Normalnego człowieka przekonałaby taka kartka. W każdym razie burmistrz zyskałby dożywotni głos na

siebie.

Jestem za młody, żeby głosować, więc jego umizgi idą na marne.

Prawie na marne.

Zostaje we mnie jakaś cząstka energii burmistrza. Gdy zamykam oczy, widzę pod powiekami jego twarz.

Myślę o nim, a potem myślę o Sam. Przypominam sobie, jak objęła ojca.

Myślę o tym, że straciła matkę. Niebawem straci też jego.

Trudno. Nie ja podjąłem tę decyzję.

Z zamyślenia wyrывa mnie ryk klaksonu. Wracam do rzeczywistości i unosząc wzrok, dostrzegam czarnego sedana, który zajeżdża drogę taksówce. Na dachu taksówki widzę reklamę:

Tam jest dom, gdzie jest <3

Serce przyspiesza i znika w głębi ulicy.

Ruszam w przeciwnym kierunku.

Straciłem dom.

Myśl pojawia się nagle, jak coś obcego.

Odsuwam ją od siebie.

Idę szybciej, czując, jak wiatr rozwiewa mi włosy. Wdycham ruch miasta, ruch świata, który pędzi i wiruje, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

Ja też się poruszam. Poruszam się i nie zatrzymuję, przechodząc od jednego zadania do następnego.

Ta myśl przynosi mi spokój.

Na krótko.

Bo kawałek dalej coś wyczuwam. Zerkam w witrynę sklepu, patrząc na ulicę za sobą.

Czarny sedan. Sunie wolno w moim kierunku, śledząc mnie z odległości dwóch skrzyżowań.

To ten sam, który przed chwilą zajął drogę taksówce? Nie mam pojęcia.

Ale się dowiem.

Dochodzę do Osiemdziesiątej Szóstej i skręcam w lewo w stronę Broadwayu. To ruchliwa, pełna aut ulica. W tej sytuacji nie da się obserwować pieszego z jadącego wolno samochodu.

Czarny sedan nie próbuje tego robić. Przyspiesza i śmiga obok mnie. Ma przyciemnione okna, więc nie widzę kierowcy. Skręca w Broadway i znika.

Może w ogóle nie jechał za mną.

Czekam na światłach, a potem przechodzę na drugą stronę Broadwayu i nie zatrzymując się, idę dalej Osiemdziesiątą Szóstą.

Kieruję uwagę we wszystkie strony.

Ale niczego nie wyczuwam.

Przez całą minutę. Po jej upływie znów pojawia się sedan, tym razem przede mną, i pędzi w moim kierunku.

Kojarzę fakty. Byłem śledzony po spotkaniu z Sam, a teraz po wyjściu z domu burmistrza. To nie jest zbieg okoliczności.

Podczas drogi w drugą stronę zauważyłem kontener na gruz ustawiony przed jakimś remontowanym domem. Jestem w odległości trzech metrów od niego.

Nie czekam, aż czarny sedan wkroczy do akcji. Ostro skręcam w prawo, przeskakuję chodnik i już jestem za kontenerem. Podbiegam do budynku z elewacją z piaskowca i ramieniem napieram na deski na drzwiach wejściowych.

Drewno jęczy pod moim naciskiem, a po chwili rozlega się trzask i kłódka puszcza.

WCHODZĘ DO CIEMNEGO, ZDEMOLOWANEGO SALONU.

Odsłonięte ściany, zerwane podłogi, przewody zwisające z sufitu. Piękny dom, który został wypatroszony przed remontem.

Przytaczam brudne taczki, które obracam kołem do góry, żeby podeprzeć drzwi od wewnątrz.

Na chodniku przed budynkiem słychać kroki. Jest ich dwóch, może więcej.

Mijają wejście, a potem zawracają. Muszę działać szybko.

Po lewej są schody bez poręczy.

Na górę czy w dół?

Istnieje niebezpieczeństwo, że zostanę uwięziony na wyższych piętrach, ale ryzyko jest małe w porównaniu z korzyściami. Wysokością i zaskoczeniem. Dwoma kluczowymi elementami skutecznego odparcia ataku.

Biegnę na schody.

Kiedy udaje mi się wspiać na piętro, słyszę łoskot wyważanych drzwi wejściowych. Dom ma cztery kondygnacje, co oznacza, że na pierwszym piętrze

prawdopodobnie znajdę salonik i jadalnię. Potrzebuję przestrzeni do walki, więc zostanę tutaj albo przeniosę się na dach. Wybieram pierwsze piętro.

Szybko idę korytarzem i po chwili stoję przed drzwiami zasłoniętymi grubą foliową płachtą, która chroni resztę domu przed kurzem. Może przeprowadza się tu odgrzybianie. Może usuwa azbest. W przypadku tych starych budynków nigdy nie wiadomo. Ściany kryją tajemnice.

Odchylam folię od futryny i wchodzę do dużego pokoju dziennego. Na zewnątrz, na wysokości okna, świeci latarnia uliczna, której blask zalewa środek pomieszczenia, dzieląc przestrzeń na ciemną i jasną.

Sekundę później w drzwiach szeleści plastik. Kiedy wchodzi pierwszy, rzucam się za kolumnę. Wyglądam zza niej, obserwując jego poczynania.

Zachowuje się nerwowo. Zagląda do pokoju i obraca głowę we wszystkie strony, szukając mnie. Wstrzymuję oddech, redukuję energię.

Po chwili mężczyzna wypuszcza z płuc powietrze i zaczyna się wycofywać z pokoju.

Zatrzymuje się jednak, kierując wzrok w dół.

Na podłodze leży kurz, oświetlony przez latarnię za oknem. Widać na nim ślady papierowych ochraniaczy na buty używanych przez robotników pracujących w pokoju, których kroki utworzyły dobrze wydeptany szlak.

Przecina go coś innego. Ślady moich butów.

Nie spojrzałem w dół.

Głupio z mojej strony.

Mężczyzna wchodzi do pokoju, idąc moim tropem. Bierze z podłogi łom i zbliża się do mnie.

Czekam, aż znajdzie się przede mną, z drugiej strony kolumny, żebym go mógł zająć od tyłu. Pozwalam mu zrobić jeszcze jeden krok, a potem atakuję, łapiąc go jedną ręką pod ramiona, a drugą zasłaniając mu usta.

Łom z głośnym brzękiem ląduje na podłodze.

Odgłos wywołuje reakcję na parterze pod nami. Na schodach rozlega się tupot kroków drugiej osoby.

Trzymam szamoczącego się mężczyznę. Wirujemy po pokoju w niezdarnym tańcu. Migają mi przed oczami fragmenty drogiej tapety, którą częściowo zerwano podczas remontu.

Wyobrażam sobie to pomieszczenie w pełni

umeblowane, eleganckie i czyste, i szczęśliwą rodzinę, która wchodzi do pokoju i wychodzi, zajmując się codziennymi sprawami.

Ale to były inne czasy.

Teraz króluje przemoc. Toczy się walka.

Mężczyzna szarpie się w moim uścisku, próbując mnie z siebie zrzucić. Zwiększam nacisk na jego ramię, czując, że stożek rotatorów jest napięty do granic możliwości. Nie chcę mu zrobić krzywdy, jeżeli nie będę musiał. Chcę wiedzieć, kim jest, zadać mu kilka pytań.

Za plastikową płachtą przesuwa się cień i idzie dalej korytarzem.

Mężczyzna szamocze się mocniej, stara się uciec, krzyknąć.

Zamykam mu usta i równocześnie zaciskam nos, odcinając mu dopływ powietrza.

Jeżeli drugi wejdzie po schodach wyżej, ogłuszę tego i ruszę za numerem dwa.

Ale drugi mężczyzna nie idzie dalej. Wraca.

Za folią pojawia się sylwetka. Nie zachowuje się tak nerwowo jak człowiek, którego trzymam. Ta sylwetka

jest silna, pewna siebie.

To Niewidzialny. Wrócił.

Ocenia sytuację, nie wchodząc do pokoju. Jego twarz przysłania gruby plastik.

Nagle w ręku obezwładnionego przeze mnie mężczyzny pojawia się nóż. To się dzieje błyskawicznie. Potrząsa ramieniem i nóż wysuwa się z pochwy ukrytej na przedramieniu.

Na oślep dźga do tyłu, mierząc w moją szyję, ale zadowoliliby się barkiem, gdyby go zdołał dosięgnąć.

Szybko obracam głowę i ostrze mija o centymetr moją twarz.

Od pierwszego ciosu udało mi się uchylić, ale drugi raz mogę mieć mniej szczęścia.

Nie zabijam dla rozrywki, tylko kiedy to jest konieczne.

Szybko oceniam opcje.

To jest konieczne.

Błyskawicznie odrywam dłoń od jego ust i łapię go za czoło, przygotowując się do śmiertelnego ciosu.

W ciągu ułamka sekundy, kiedy ma odkryte usta, wydaje okrzyk. Natychmiast gwałtownym ruchem

przekręcam mu na bok głowę. Trzaska kręgosłup i mężczyzna bezwładnie zwisa w moich ramionach.

Jeden zwrot. Tyle zdążył krzyknąć. W obcym języku, ale pamiętam to ze szkolenia.

Ostrzeżenie.

Po arabsku.

Ciało osuwa się na podłogę, a ja rzucam się w stronę Niewidzialnego, zrywając foliową płachtę, która tarasuje mi drogę.

Ale zniknął.

Słyszę tupot kroków u stóp schodów, a potem stukot drewna, gdy Niewidzialny wypada z budynku przez drzwi wejściowe.

Ma za dużą przewagę. Zanim zdołam wyjść na zewnątrz, nie będę miał żadnych szans.

Zawracam do pokoju, oglądając podłogę w korytarzu.

Widzę swoje ślady i ślady mężczyzny w pokoju.

Widzę też trzecie, pozostawione przez Niewidzialnego.

Odciski butów w kurzu. Nowiutkich. Jeszcze nie rozchodzonych.

Wracam do salonu, żeby obejrzeć człowieka, którego

właśnie zabiłem.

Przyciągam zwłoki do smugi światła wpadającego przez okno. Oglądam je od stóp do głów. Nowe ubranie. Sztywny dżersej, spodnie khaki, twarde nowe buty robocze.

Wszystko nowe.

Zawodowcy nie kupują nowych ubrań na akcję. Za trudno je odpowiednio zużyć. Nowe buty będą się ślizgać, jeżeli nie są zdarte. Protektor nowych tenisówek będzie się za bardzo lepić. Wszystko to będzie się rzucać w oczy.

Ci ludzie poruszają się jak żołnierze, ale wyszkoleni zawodowcy nie kupują nowych ubrań. Chyba że muszą, bo się spieszą.

Bo muszą się spieszyć.

Jak ja ze swoim zadaniem.

Myślę o mężczyźnie mówiącym po arabsku.

W czasie zadania nie ma zbiegów okoliczności. Tak uczyła mnie Matka.

Matka Sam była Izraelką. Zginęła na Bliskim Wschodzie.

Ci ludzie mówią po arabsku.

Słaby związek, ale wymaga zbadania.

Pytanie tylko, jak mam go zbadać?

ŚNIA MI SIĘ DOMY.

Ten, w którym się wychowałem, i ten, w którym się szkoliłem. I trzeci. Dom burmistrza.

We śnie jeden staje się drugim. Błąkam się po tych przestrzeniach, próbując odnaleźć drogę. Wykorzystuję wyszkolone umiejętności, znacząc ściany, zapamiętując kolejne zakręty, robiąc wszystko, co należy robić.

Ale nic nie działa. Im bardziej usiłuję się zorientować, gdzie jestem, tym bardziej się gubię.

Budzę się zdyszany, z trudem łapiąc powietrze.

Siadam na łóżku i próbuję zrozumieć, co się dzieje. Podczas zadania nic mi się nie śni, w każdym razie nic takiego.

Śnią mi się plany, strategie, ukończenie zadania.

Ale co może oznaczać ten sen?

Niepowodzenie.

To niemożliwe.

Biegnę do łazienki i ochlapuję twarz wodą. Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze.

Co się ze mną dzieje?

Mój telefon wibruje dwa razy. To sygnał

szyfrowanego połączenia z Ojcem.

Zerkam na zegar.

6.45 rano. Dzień 2.

Odbieram telefon.

– Jak wczorajsza impreza? – pyta Ojciec. Żadnego powitania.

– Było bardzo ciekawie.

Myślę o zwłokach w remontowanym domu. Nie wysłałem ostrzeżenia meteorologicznego, żeby zawiadomić zespół sprzątaczy. Musiałbym się tłumaczyć przed Programem, przyznać, że zostałem zdemaskowany i być może całe moje zadanie wzięło w łeb.

Nigdy nie zawałem zadania i nigdy nie zostałem zdekonspirowany.

Tym razem też się tak nie stanie. Wyjaśnię to i dokończę zadanie.

Jestem tego w stu procentach pewien.

Dlatego nie nadałem sygnału ostrzegawczego i nie będę o tym teraz rozmawiał z Ojcem.

Przypuszczam, że zwłok już tam nie ma. Niewidzialny sprawia wrażenie człowieka z wojskowym

doświadczeniem, a teraz wiem, że nie pracuje sam. Nie zostawiłby ciała, gdyby stanowiło dla niego zagrożenie.

– Udało ci się poznać burmistrza? – pyta Ojciec.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że wie o moim spotkaniu z burmistrzem i że ma w domu informatora?

Niewielkie.

Czy należy sprawdzić tę hipotezę, okłamując go?

Niekoniecznie. Lepiej trzymać się faktów.

– Poznałem go – odpowiadam.

I się zawahałem.

Tego nie dodaję.

– Przeczytam o tym w „Timesie”? – pyta dalej Ojciec.

– Nie.

Chwila milczenia.

– Mam drugi telefon – mówi. – Zaraz oddzwonię.

Rozłącza się.

Mam kłopoty.

Poznałem burmistrza, ale burmistrz żyje. Ojciec chce wiedzieć dlaczego.

Mój telefon odbiera SMS-a.

Cieszę się, że mogliśmy

porozmawiać.

Tato.

To nie jest zwykły SMS. Naciskam tekst palcem i moje dotknięcie włącza przedni aparat fotograficzny. Wpatruję się w telefon, oglądając transmitowany na żywo obraz swojej własnej twarzy.

Transmisję ogląda Ojciec. Widzi mnie, ale ja go nie widzę.

– Wczoraj wieczorem pojawił się jakiś problem? – pyta Ojciec.

– Żaden problem – mówię. – O moim spotkaniu z burmistrzem „Times” nie napisze, tato. Uczniowie często spotykają się z burmistrzem.

– Nie tacy jak ty. Wyjątkowi uczniowie.

– Wyjątkowi, zwykli, przeróżni uczniowie. W apartamencie było wczoraj bardzo dużo ludzi. Trudno było się znaleźć sam na sam z burmistrzem choćby na chwilę.

– Rozumiem.

W słuchawce zapada cisza.

Doskonale wiem dlaczego. Ojciec sprawdza moją

twarz programem analizującym mikroekspresje, który bada ruchy gałek ocznych, subtelne zmiany napięcia mięśni twarzy, liczbę mrugnięć na minutę.

Innymi słowy, wykrywaczem kłamstw.

Dla mnie to zła wiadomość, ponieważ kłamię.

Nigdy dotąd nie okłamałem Ojca. Dlaczego teraz to robię?

Mówił, że to test. Mój najważniejszy test.

Jaki chcę osiągnąć wynik?

Jestem żołnierzem czy chłopakiem, który ma wątpliwości? Który nie umie sobie poradzić z kimś, kto go śledzi? Który zamiast skupić się na zadaniu, pogrąża się we wspomnieniach?

Nie.

Jestem żołnierzem.

A żołnierz doprowadza misję do końca.

Dlatego nie zdradzam Ojcu szczegółów wczorajszego wieczoru. Koncentruję się na tym, aby moja twarz na ekranie wyrażała spokój. Zwalniam oddech. Wyobrażam sobie mięśnie twarzy – rozluźnione i spokojne, pod każdym względem profesjonalne.

– Obawiam się, że spotkanie z burmistrzem zdarza się

raz w życiu – mówi Ojciec.

– Było bardzo szczególne – przyznaję – ale to nie znaczy, że się już nigdy nie powtórzy. Pamiętaj, że teraz chodzę do szkoły z jego córką.

– Twierdzisz, że możesz go znowu spotkać – mówi Ojciec. – Jeżeli będziesz miał szczęście.

– Szczęściu trzeba pomagać – odpowiadam. – Przecież sam mnie tego uczyłeś, prawda?

– Prawda – przytakuje.

Poprawiam się na brzegu łóżka. Czuję zagłębienie wygniecione przez ciało kogoś innego. Przy każdym zadaniu dostaje mi się strasznie zużyty materac. Jak oni to robią? Wyobrażam sobie gigantyczne urządzenie, które bez końca wali w łóżko, w dowolny sposób gnąc i mnąc tkaninę i wypełnienie.

– Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, dasz mi znać?
– pyta Ojciec.

– Oczywiście.

– Potrzebujesz czegoś?

Wyczuwam, że przygląda mi się po drugiej stronie telefonu. Patrzy na moją twarz analizowaną przez komputer.

- Mam wszystko, czego mi potrzeba – oświadczam.
- Brawo, zuch z ciebie – chwali, a potem w słuchawce zapada cisza.

PRACUJĘ NA KOMPUTERZE W SZKOLNEJ BIBLIOTECE.

Surfuję po sieci, siedząc przy stole w długim rzędzie stanowisk komputerowych. Większość uczniów w szkole nosi własne laptopy, netbooki albo iPady. Biblioteka zapewnia jednak komputery wszystkim, którzy ich potrzebują.

Ja oczywiście do nich należę. Mam co prawda swój telefon, który jest zabezpieczony, przynajmniej przed resztą świata, ale może nie być zabezpieczony przed Programem.

Akurat teraz nie chcę, żeby Program wiedział, co robię.

Prowadzę dochodzenie.

W zasadzie nie potrzebuję żadnych dodatkowych informacji, żeby wykonać zadanie. Moja rola nie polega na badaniu sprawy ani rozumieniu ogólnej sytuacji. Dostaję nazwisko, dostaję obiekt i mam odpowiednie wyszkolenie. To powinno wystarczyć.

I w przypadku zwykłego zadania wystarcza. Teraz jednak dzieją się rzeczy niezwykłe.

Niewidzialny. Kim jest i skąd się wziął? Skąd wie, że tu jestem?

Wczoraj wieczorem jego towarzysz mówił do niego po arabsku.

Matka Sam była Izraelką i zginęła w swojej ojczyźnie. Bliski Wschód. Tam się kryje związek.

To mało prawdopodobne. Ale już coś.

Surfując po internecie, koncentruję się przede wszystkim na materiałach o śmierci żony burmistrza. O jej wypadku samochodowym w Izraelu. Czytam kolejne artykuły o tej tragedii. Oglądam zrobione po niej fotografie.

Zwłaszcza jedna przykuwa moją uwagę.

To zdjęcie Sam na pogrzebie. Obok stoi jej ojciec razem z premierem Izraela. Za nimi pręży się na baczność oddział żołnierzy. Patrzą prosto przed siebie.

Wszyscy z wyjątkiem jednego.

Ten patrzy na Sam.

Może to przez kąt ujęcia. Aparat przypadkowo uchwycił taki moment. Może żołnierz kichnął. Rozpoznał jakiegoś przechodnia na ulicy.

A może coś zupełnie innego, co miało związek

z Sam.

Fotografia jest ziarnista i nie widać wyraźnie rysów twarzy żołnierza. Mimo to jest w nim coś znajomego.

– Jak ci się podobało na imprezie? – pyta Howard.

Podchodzi do mojego stanowiska i siada obok. Spokojnie zamykam okno przeglądarki, zanim zdąży je zobaczyć.

– Impreza całkiem fajna – odpowiadam. – Byłeś?

– Byłem zaproszony, ale nie poszedłem.

– Dlaczego?

– Nie chodzę na imprezy.

– Masz jakiś powód?

– Tam są ludzie.

– Co jest nie tak z ludźmi?

– Nie bardzo mi się z nimi układa – wyjaśnia Howard.

– Przynajmniej z tymi, którzy chodzą do tej szkoły.

– Z wyjątkiem Sam – uzupełniam.

– Z wyjątkiem Sam.

Patrzy w ziemię. Zawsze patrzy w ziemię. Widziałem już takie zachowanie. U zwierząt, którym ktoś zrobił krzywdę.

– Nie byłoby warto przecierpieć imprezę, żeby się

znaleźć w domu burmistrza? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Byłem tam parę lat temu – odpowiada. Unosi wzrok i patrzy na mnie. – Widziałeś pokój Sam?

– Dlaczego miałbym go widzieć?

– Nie wiem. Może na przykład oprowadzała cię po mieszkaniu.

Uczeń siedzący na drugim końcu sali głośno ziewa.

Rozglądam się po bibliotece. Czy ktoś nas słucha? Za bardzo zwraca na nas uwagę?

Nie.

– Dlaczego tyle pytasz o tę imprezę, Howard?

– Nigdy nie widziałem, żeby Sam tak szybko polubiła jakiegoś chłopaka.

– Jakie to ma znaczenie, czy mnie lubi, czy nie?

– Boję się, że coś kombinujesz – mówi.

– Co mógłbym kombinować?

– Chcesz ją zdobyć.

– To nie w moim stylu.

Nie jest to do końca prawda. Nie mam żadnego stylu. Robię to, co jest konieczne.

– No więc może co innego – ciągnie Howard. – Co

ma związek z burmistrzem?

Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza rozmowa. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby Howard miał wypadek w toalecie. Ile osób zwróciłoby na to uwagę?

Niewiele.

Nastąpiłoby zamieszanie, policja prawie na pewno zaczęłaby wyjaśniać sprawę.

Dochodzę do wniosku, że lepszy może być wypadek poza szkołą. A jeszcze lepiej będzie mu zapobiec, usuwając przyczynę.

– No dobra, wyczułeś mnie – przyznaję.

– Chodzi o burmistrza? – pyta, nachylając się bliżej.

– O seks.

– Ach. Typowe. – Ma zawiedzioną minę.

– Każdy chce uprawiać seks z córką burmistrza, co?

– Ja nie – oznajmia Howard.

– Nie?

– Uważam, że nie można się z kimś przyjaźnić tylko dlatego, że jest dzieckiem znanego człowieka. W przeciwieństwie do pewnych osób w tej szkole.

– Nigdy nie myślałeś o tym, żeby być z Sam?

Uśmiecha się wstydliwie.

– Jestem zajęty – mówi.

– Masz dziewczynę?

Rozgląda się, sprawdzając, czy nikt nas nie podsłuchuje, a potem daje mi znak, żebym się zbliżył. Otwiera netbooka, a jego palce zaczynają śmigać po klawiszach. W całej szkole jest internet, ale Howard ma chyba do niego najszybszy dostęp.

Po trzech sekundach odwraca ekran w moją stronę.

Patrzy na mnie postać anime. Ma przeogromne oczy. Kiedy mruga, z rzęs unoszą się maleńkie tęczowe gwiazdki.

– Goji – przedstawia ją Howard. – Moja dziewczyna.

– Goji? Jak jagody goji?

– To nick.

– Czy ona... hm... jest postacią z anime? – pytam.

– To tylko jej awatar – tłumaczy jak komuś tępemu. – Jest Japonką, jeżeli chcesz wiedzieć. I istnieje naprawdę. Chcesz zobaczyć mojego awatara?

Nie czeka na odpowiedź. Palce znów zaczynają tańczyć po klawiaturze i zatrzymują się, gdy na ekranie pojawia się awatar Howarda.

Przynajmniej wydaje mi się, że to Howard. Włosy wyglądają znajomo, ale cała reszta jest odmieniona. Widzę Howarda po pięciu latach ćwiczeń na siłowni i radykalnej operacji plastycznej.

Jego postać macha do Goji, wywołując niebieskozielone fale energii, które płyną w jej stronę. Nagle obie postacie na ekranie biegną do siebie, padają sobie w objęcia, a potem unoszą się w powietrzu, niesione strumieniem serc.

– Nazywa mnie Fro-Fro. Przez moje włosy. Bo przypominają afro.

Goji i Fro-Fro. Urocze. Jeżeli ktoś lubi takie rzeczy.

– Jak Goji wygląda naprawdę? – pytam.

Znów spuszcza wzrok.

– Nigdy jej nie widziałem. Mieszka w Osace.

– Może kiedyś tam pojedziesz – mówię.

– Tak, może – odpowiada, jak gdyby w to nie wierzył.

– Byłoby miło.

Myślałem, że Howard może rywalizować ze mną o Sam, przynajmniej w swojej wyobraźni. Widzę jednak, że się myliłem. Ma zadatki na powiernika.

– Sam kogoś ma? – pytam.

– W tym momencie nie.

– A kiedyś miała?

Jego palce znowu śmigają po klawiszach. Obraca ekran monitora w moją stronę. Widzę artykuł z „Daily News” sprzed kilku lat. Parę linijek tekstu upchniętych w głębi gazety.

Zwłoki w Cieśninie Harlemskiej

Policja informuje, że w Cieśninie Harlemskiej odnaleziono zwłoki kilkunastoletniego chłopca, który prawdopodobnie popełnił samobójstwo.

– Co to ma wspólnego z Sam?

– Chłopak w rzece? Chodził do szkoły Bronx Science. Sam mu się podobała.

– I popełnił samobójstwo?

– Tak napisała gazeta. Ale wątpię.

– Nie rozumiem cię, Howard.

Ścisza głos.

– Ten chłopak parę razy spotkał się z Sam, a potem wylądował w rzece.

– Ona go zabiła? – pytam z uśmiechem.

Przecząco kręci głową. Nie uśmiecha się.

– No więc kto? – naciskam.

Rozgląda się po bibliotece.

– Miała już wtedy chłopaka – mówi.

– Masz na myśli tego byłego, który jej namieszał w głowie?

– Zgadza się – potwierdza Howard. – To był związek na odległość. Mieszkał w Izraelu. Nic więcej nie wiem.

– Myślałem, że jesteście blisko z Sam.

– Rozmawiamy o różnych rzeczach, ale bardzo uważa, żeby omijać ten temat.

– Czyli podejrzewasz, że zabił go ten chłopak z Izraela?

– Niczego nie umiem udowodnić. Ale możliwe. To był właśnie taki związek.

– Jaki?

– Głęboki.

– Ten chłopak już zniknął z horyzontu? – pytam dalej.

– Sam twierdzi, że tak, ale nie jestem pewien – odpowiada Howard.

– Dlaczego?

– Zerwali ze sobą, ale Sam ciągle do tego wraca.

– Dzięki za informacje, Howard.

– Nie ma sprawy – mówi. – Nawet fajnie z kimś

pogadać.

Znowu wbija wzrok w podłogę. Emanuje z niego samotność.

Myślę o sobie – o tym, jak czekam w pokojach hotelowych w różnych miejscach kraju, zajmuję sobie czas oglądaniem telewizji albo spacerowaniem po obcych miastach, nigdy nie poznając nikogo w okolicy, kontaktując się tylko przez telefon z ludźmi, których nie widuję osobiście.

– W porządku z ciebie gość, Howard.

– Naprawdę?

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby się zapisać na jakiś kurs samoobrony?

– Nie umiem się bić w realu. Tylko na komputerze.

– Grasz?

Rozgląda się po bibliotece, upewniając się, że nikt go nie słyszy.

– Nie, ale lubię trochę namieszać.

– Mówisz o hakerstwie?

Wzrusza ramionami.

– Parę rzeczy potrafię. Na przykład włamałem się na konto mailowe Justina i zapisałem go na newsletter

o opryszczce.

Śmieję się.

– W realu może i wyglądam jak ostatnia ofiara, ale w sieci jestem ninja.

– Dobrze wiedzieć – mówię.

- MYŚLISZ, ŻE UDAŁO CI SIĘ UCIEC - MÓWI ERICA.

Odwracam się, jak gdyby mnie zaskoczyła, pojawiając się za moimi plecami w szkolnym korytarzu.

– Przestraszyłam cię? – pyta.

– Trochę – przyznaję.

Uśmiecha się, zadowolona z siebie. Nie zdradzam jej, że słyszałem głośny stukot jej obcasów o podłogę z odległości kilkunastu metrów.

– Nie udało ci się uciec – oznajmia. – Nikomu się nie udaje.

– Nikomu?

– Nie przede mną. Jestem myśliwym. Kiedy zobaczę coś, czego chcę, ruszam na polowanie.

– I zawsze to zdobywasz?

– Zawsze.

Przesuwa dłonią jak szponiastą łapą przez chemicznie wyprostowane włosy.

Przechwałki – niedorzeczna wiara we własną seksualność. Mógłbym bez trudu zastopować tę dziewczynę, znaleźć ten czuły punkt i mocno nacisnąć.

Wywołać falę psychicznego bólu.

Dla większości osób psychiczne cierpienie jest gorsze od fizycznego. Nie rozumiem, dlaczego tak jest, ale wiem, jak je wykorzystać.

Mógłbym ją zastopować, ale nic bym z tego nie miał. Muszę wrócić do domu burmistrza, i to jak najszybciej. Erica może mi w tym pomóc.

Zamiast więc ją zaczepiać, mówię:

– Erica?

– Co, Benjamin?

– Twoje włosy ładnie dzisiaj wyglądają.

Przechyla głowę na bok, niepewna moich intencji. Przygląda się badawczo mojej twarzy, opierając jedną rękę o biodro jak modelka.

– Komplementami możesz zdobyć wszystko – oświadcza w końcu.

– Nawet szansę odprowadzenia cię do klasy?

– Nawet.

Wsuwa mi rękę pod ramię. Następna z jej ulubionych sztuczek. Na to właśnie liczyłem.

– Zrobiłam wczoraj z siebie idiotkę? – pyta.

– Oczywiście, że nie.

– Miło, że tak mówisz.

– Widziałem twoją bieliznę.

– I co sobie pomyślałeś?

– W kwiatki.

Śmieje się i przyciąga mnie bliżej siebie.

– Jak często Sam organizuje u siebie imprezy? –
pytam ją.

– Raz na dwa lata. Wszyscy chcą przyjść, bo to dom burmistrza, ale zabawa jest do kitu. Jak można imprezować, kiedy wszędzie są gliniarze.

– Wiem, co masz na myśli.

Gdy dochodzimy do końca korytarza, prowadzę ją w lewo.

– Dlaczego tędy idziemy?

– To skrót – wyjaśniam.

– Wcale nie.

– Dobra, przyłapałaś mnie. Wybrałem dłuższą drogę, żebyśmy mogli być dłużej razem.

– Benjamin, nie dam się na to nabrać.

Może i nie. Mimo to wygląda na zadowoloną z mojego towarzystwa. Dobre i to.

Idziemy korytarzem, mijając salę, gdzie odbywają się

lekcje historii europejskiej.

Mijamy salę Sam.

Właśnie dlatego muszę mieć obok siebie Ericę. Sam siedzi tam gdzie zawsze, w pierwszym rzędzie. Doskonale widać ją przez drzwi.

Zwalniam kroku. Erica zagląda do klasy i napotyka wzrok Sam. Puszczą do niej oko.

Świetnie.

W miejsce poprzedniej bliskości zasiałem ziarno konfliktu między sobą a Sam. Mam za mało czasu, żeby czekać, aż rzecz powoli się rozwinie, a uczono mnie, że związki są najsilniejsze, kiedy muszą pokonać zagrażające im przeszkody. Na przykład Romeo i Julia. Gdyby zabrać zwaśnione rodziny, co by zostało? Weekendowy romans, po którym dwoje dzieciaków nudzi się sobą nawzajem i rozstaje.

Konflikt.

Prowadzi do diametralnej zmiany. Idę o zakład, że w przypadku Sam wywoła coś ciekawego.

Gdy stajemy przed klasą Eriki, dziewczyna mówi:

– Chciałeś, żeby Sam nas zobaczyła, co?

– Może – odpowiadam.

Nie próbuję zaprzeczać. Jest na to zbyt inteligentna.

– Mnie to nie przeszkadza – oświadczam. – A wiesz, dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo Sam jest super, ale wiem, że ja lepiej do ciebie pasuję.

– A to czemu?

– Rozumiesz mnie.

– Może ją też rozumiem.

– Jej nikt nie rozumie. Chyba nawet ona sama. Uwielbiam ją, więc nie mówię tego przez okrucieństwo.

– Zobaczymy, co będzie – mówię.

– Jestem gotowa – rzuca na koniec i wchodzi do klasy.

Wracam na lekcję historii europejskiej. Wychodząc zza rogu, widzę Sam czekającą w korytarzu. Wyszła z sali, żeby stanąć ze mną twarzą w twarz.

Dobry znak.

– Masz ubaw? – pyta.

– Po pachy. – Przewracam oczami.

Nie wygląda na rozbawioną.

– Jesteś z Ericą, potem ze mną, potem znowu z Ericą. Dlaczego mam wrażenie, że obu nam opowiadasz to

samo?

– Wykorzystuję ją – tłumaczę.

– Do czego?

– Żeby się zbliżyć do ciebie.

– I uważasz, że to dla mnie komplement? Grubo się mylisz. Nie cierpię takich gier.

– Ja też.

– Ale sam w nie grasz. Może nic więcej nie potrafisz.

Korytarzem idzie szybko Darius, spóźniony na lekcję. Na nasz widok zwalnia kroku.

– Jakiś problem? – zwraca się do Sam.

Dziewczyna patrzy na mnie.

– Prawdę mówiąc, tak. Benowi trudno powiedzieć prawdę.

– Wiadomość z ostatniej chwili: Ben to palant.

– Myślałem, że wczoraj wieczorem zostaliśmy kumplami – protestuję, udając urażonego kolegę.

– Jeżeli Sam ma z tobą problem, nie ma mowy o kumpelstwie. Ona jest ważniejsza.

Rozlega się drugi gong.

– Idziemy? – zwraca się Darius do Sam, pokazując salę.

Wchodzi do klasy, a Sam rusza za nim.

– Zaczekaj, Sam... – mówię.

Przystaje z wahaniem.

– Przepraszam.

– I co jeszcze?

– Jestem palantem. Darius ma rację.

– Nie trać na niego czasu – radzi Darius.

Zatrzymuje się w drzwiach sali. Sam kładzie mu dłoń na ramieniu.

– W porządku – uspokaja go.

Darius chrząka i wchodzi do klasy. Sam zamyka za nim drzwi.

– Jesteś bardzo tajemniczy, Ben.

– To znaczy? – pytam.

– Nie wiadomo, czego chcesz, kim jesteś.

– Nie jestem skomplikowany – odpowiadam. – Nie mam nic do ukrycia, wszystko widać jak na dłoni.

– Nie widać. Właśnie w tym problem. Zwykle widzę wszystko. Umiem wyczuć prawdę. Ale z tobą jest inaczej. Raz wydaje mi się, że wiem, co widzę, chwilę potem nie jestem już taka pewna.

– Co chcesz wiedzieć?

– Co lubisz, czego nie lubisz. Chcę znać twoje poglądy polityczne.

– Moje poglądy?

– Jestem poważną osobą. Chcę być z poważną osobą.
Być. Co przez to rozumie?

Brzmi ostatni gong na lekcję, ale żadne z nas nie rusza się z miejsca.

Zastanawiam się, jak to rozegrać.

Zagrać poglądami podobnymi do jej. Zbudować więź.

Zagrać odmiennymi poglądami. Przeciwności się przyciągają. *Sprowokować ją do reakcji.*

– Ciągłe kalkulujesz – mówi.

– Nie kalkuluję.

– Przecież widzę. Możesz przecież odpowiedzieć wprost.

Odpowiedzieć wprost.

– Zgoda. Mówiąc wprost, nie mam poglądów politycznych.

– Nie obchodzi cię świat.

– Obchodzi mnie moje miejsce w świecie.

– Typowo amerykańska postawa – uznaje Sam.

– Ty też jesteś Amerykanką.

– Mieszkam w Ameryce. Ale nie czuję się Amerykanką.

– A kim?

– Czuję się... rozdarta.

– Z powodu matki?

Krzywi twarz w grymasie.

– To nie ma nic wspólnego z moją matką – mówi.

Oczywiście, że ma, ale na razie nie muszę tego drażnić.

– Przepraszam, że o tym wspomniałem – mówię.

Klepie się w udo.

– Kurczę, dziwnie się przy tobie zachowuję. Strasznie mi się to nie podoba.

Patrzę na nią, usiłując znaleźć odpowiednie słowa.

Pęknięcie w spizowej fasadzie Potężnej Samary. Pierwsze, które zauważyłem.

Znak, że zaczyna się przede mną otwierać.

– Nie sądzę, żebyś się dziwnie zachowywała – uspokajam ją.

Jej twarz łagodnieje.

– Będę miała okazję zacząć tę rozmowę od początku?
– pyta.

– Pewnie – mówię. – Pod warunkiem, że ja będę miał okazję powtórzyć wczorajszy wieczór.

– Co masz na myśli?

– Co powiesz na kolację u ciebie?

– U mnie?

– Jest dużo czyściej niż u mnie.

Wybucha śmiechem.

– Prawdę mówiąc, jem dzisiaj kolację z ojcem. To wyjątkowy wieczór.

– Świetnie. Twój ojciec mnie lubi – mówię.

– Można tak powiedzieć – przyznaje. – Dzisiaj rano pytał o ciebie.

– O co pytał?

– Czy jest coś między nami.

– I co mu powiedziałaś?

Uśmiecha się i patrzy na drzwi do klasy.

– Lepiej już chodźmy – mówi.

– A kolacja? – nie ustępuję.

Nie odpowiadając, otwiera drzwi i dostojnym gestem zaprasza mnie do środka.

Wchodzę pierwszy. Kiedy ją mijam, szepcze mi do ucha:

- O ósmej. Tym razem nie pokazuj się z Ericą.
- Nie ma mowy – zapewniam ją.

POSTERUNEK POLICJI NA CHODNIKU PRZED DOMEM BURMISTRZA JEST ZAJĘTY.

Mała, ogrzewana budka. Dyżuruje w niej jeden funkcjonariusz.

Wchodzę do holu i poznaję personel, który pracował na dole poprzedniego wieczoru. Konsjerż zgłasza moje przyście przez telefon.

Jadąc windą, myślę o wczorajszym wieczorze.

O tym, jak się zawahałem, będąc sam na sam z burmistrzem.

Uznałem, że to był fuks, „niepowtarzalne zjawisko”. Tak Matka nazywa okazję nadarzącą się raz w życiu. Jestem wyszkolony na wypadek takich zdarzeń, nauczono mnie reagować na okoliczności, dostosować się, zrobić drugie podejście.

To właśnie zamierzam dziś zrobić. Drugie podejście.

Dzień drugi z pięciu. Nie zamierzam wykorzystywać pozostałych trzech.

Jest jeden szkopuł: Niewidzialny.

Moje śledztwo w sieci przyniosło marne wyniki. Nadal nie wiem, dla kogo pracuje Niewidzialny i jego

ludzie ani jakie mają intencje. Czy jeżeli dziś wykonam zadanie, będę musiał stawić im czoło?

Postanawiam, że nie będę się martwił na zapas.

Otwierają się drzwi windy i wchodzę do westybulu apartamentu na ostatnim piętrze.

Czeka tam na mnie Zawodowiec.

Pierwsza przeszkoda.

– Dobry wieczór – mówię.

Zero reakcji.

To nie do końca prawda. Nie reaguje przez sekundę, po czym mówi:

– Proszę się odwrócić i podnieść ręce nad głowę.

– Dlaczego mam się odwrócić? – pytam.

– Bo chcę cię zrewidować – informuje mnie Zawodowiec.

Zastanawiam się, o co chodzi. Czy to standardowa procedura, czy zasłużyłem sobie na szczególne traktowanie, bo ma wobec mnie jakieś podejrzenia?

Nieważne. Muszę reagować jak normalny nastolatek. W tym wypadku buńczucznie.

– Wczoraj mnie pan nie rewidował – zauważam.

– Dzisiaj jest inaczej.

– A moje prawa obywatelskie?

– To nie jest szkolna dyskusja. Odwróć się albo zjedziesz na dół.

– Wszystko mi jedno – mówię.

Odwracam się i podnoszę rękę.

Przewidywałem to, a przynajmniej liczyłem się z taką możliwością. Mam przy sobie portfel z trzydziestoma dolarami i legitymację szkolną. Na rękę zegarek. W kieszeni telefon i długopis.

Nic więcej.

Zawodowiec znajduje wszystkie przedmioty. Znajduje i lekceważy.

– W porządku – mówi.

Ale zostałem zrewidowany. Później będę się musiał szybko ulotnić, żeby zminimalizować straty.

– Jest tu pan cały czas? – pytam.

– Co cię to obchodzi?

Staram się mówić życzliwym tonem.

– Po prostu się zastanawiam, czy ma pan rodzinę.

Ignorując mnie, puka do drzwi mieszkania w moim imieniu.

Czekamy. Zawodowiec zerka na mnie.

– Mam rodzinę, ale rzadko ją widuję.

Chwila na ludzkie uczucia. Mogę ją wykorzystać.

– Nie ma pan dzieci? – drązę.

– Mam syna. Służy w wojsku.

– Tak jak ojciec.

– Dlaczego zadajesz tyle pytań? Chcesz zostać żołnierzem, kiedy dorośniesz?

– Myślałem o tym.

– To nie myśl. Życie w wojsku jest ciężkie. Masz na oku jakiś drugi zawód?

– Prawnika. Można zarobić kupę forsy.

Chichocze. Dobry znak. Niech mnie zapamięta jako zabawnego chłopaka. To ułatwi sprawę.

Drzwi otwiera Sam.

– Witamy z powrotem – mówi.

Ma na sobie prostą wzorzystą sukienkę i kuchenny fartuch. Jest nieumalowana, ale to bez znaczenia. Wygląda fantastycznie.

– Cześć – mówię.

– Wejdz.

Oglądam się na Zawodowca.

– Powodzenia – mówię, ale nie odpowiada.

Sam zamyka za mną drzwi. Ma świeżo umyte włosy. Mijając ją, czuję słodki aromat szamponu.

– Nie wiedziałem, że dzisiaj obowiązują stroje wieczorowe.

Dotyka fartucha.

– Ach, to. Właśnie gotuję.

– Umiesz?

– Nauczyłam się dzisiaj rano. Mam nadzieję, że twój żołądek wytrzyma.

Uśmiecham się, a Sam bierze ode mnie kurtkę. Wcześniej wyjmuję z kieszeni długopis.

– Liczysz na jeszcze jeden autograf? – pyta.

– To mój szczęśliwy długopis. Zawsze mam go przy sobie.

– Potrzebujesz dzisiaj szczęścia?

– Słyszac to, co mówisz o swoim gotowaniu? Być może.

– Nie bój się, nic ci nie będzie. Prawdę mówiąc, lubię gotować. Rodzinny wieczór, nie ma nikogo z personelu. Tylko tato i ja.

– No i posąg z Wyspy Wielkanocnej pod drzwiami.

– Jest nowy – wyjaśnia. – Kilka tygodni temu

wzmocnili tacie ochronę.

– Coś się stało?

– Naprawdę nie mogę o tym mówić.

– To Benjamin? – woła z głębi mieszkania burmistrz.

Ukazuje się w korytarzu zrelaksowany i odrobinę wymięty, w zapinanym swetrze i spodniach w kolorze khaki, i człapie w naszą stronę. Nikt by nie powiedział, że to jeden z najbogatszych ludzi w kraju.

– Witamy z powrotem – mówi.

– Już to powiedziałam, tato.

– Wielkie umysły myślą podobnie.

– Pójdę zobaczyć, co z sosem – oznajmia Sam. –
Możecie przez kilka minut dotrzymać sobie nawzajem towarzystwa?

Kilka minut. Może mi wystarczyć.

– Zabraniam ci wracać do kuchni – mówi burmistrz
i sam kieruje się w tamtą stronę.

– Dokąd to się wybierasz? – strofuje go Sam.

– Chciałem, żebyś spędziła więcej czasu ze swoim
przyjacielem.

– Ale to mój sos! – protestuje Sam.

– Zarządzam miastem – zauważa burmistrz. –

Prawdopodobnie uda mi się przez dziesięć minut dopilnować, żeby sos ci się nie przypalił.

– Nie ma pan zastępców do spraw sosów? – pytam.

Burmistrz parska śmiechem.

– Podoba mi się twój styl – mówi.

– Po prostu cały czas mieszaj, tato.

– Tak jest.

Salutuje i odchodzi w stronę kuchni.

– Zdaje się, że jesteśmy na siebie skazani – mówię.

– Bolesne, ale tak. – Sam rozpromienia się w uśmiechu. – Chodź, oprowadzę cię po całym domu.

– Przecież wczoraj już go widziałem, nie?

– Jak będziesz miły, zabiorę cię tam, gdzie jeszcze nie byłeś – zapowiada.

– Czyli gdzie?

– Nie zadawaj tylu pytań – gani mnie Sam.

A potem prowadzi mnie do swojej sypialni.

NA KOMODZIE STOI KILKA OPRAWIONYCH ZDJEĆ JEJ MATKI.

Jeszcze więcej wisi na ścianie obok łóżka. Na niektórych jest sama matka; na innych pozuje z członkami rodziny.

– Wszędzie jest twoja mama – mówię.

Dlatego mnie tu przyprowadziła? Żeby mi to pokazać?

– Dobrze jest mieć obok siebie jej zdjęcia – odpowiada.

Ludzie trzymają fotografie swoich bliskich, bo ich widok dodaje im otuchy. Wiem o tym, ale tego nie rozumiem. Nie do końca.

– Dlaczego dobrze? – pytam.

– Czuję, jakby jej częśćka była tu ze mną.

– Częstka. To wystarcza?

– Czasami wystarcza. A czasami...

Bierze jedną z fotografii. Ma na niej cztery czy pięć lat i trzyma matkę za rękę.

– Nie masz zdjęć ze swojego dzieciństwa? – pyta mnie Sam.

– Nie mam takich jak ty.

Moją uwagę przyciąga jedno ze zdjęć na komodzie. Sam stoi na pustyni obok młodego mężczyzny w mundurze polowym, który ma na ramieniu uzi.

Nie jest to jakiś przypadkowy młody człowiek.

To ten sam, którego widziałem na ekranie komputera w szkolnej bibliotece, na fotografii zrobionej podczas pogrzebu matki Sam. Żołnierz, który wyglądał, jak gdyby się w nią wpatrywał.

– Kto to jest? – pytam.

– Żołnierz. Mieliśmy sesję zdjęciową, kiedy pojechaliśmy na pustynię Negew.

– Turystycznie, hm?

– Zgadza się. Co to za wycieczka do Izraela bez fajnego zdjęcia żołnierza z bronią?

To nie jest jakiś tam żołnierz. Pojawia się na dwóch zdjęciach z Sam zrobionych w różnym czasie.

Co oznacza, że Sam mnie okłamuje.

Ciekawe, dlaczego.

Biorę do ręki fotografię i natychmiast zauważam, jak wokół jej ust pojawia się napięcie.

Ledwie dostrzegalne, ale widzę.

Sam ma na zdjęciu może trzynaście czy czternaście

lat, ale jej twarz wciąż ma dziecięce rysy. Stojący obok niej żołnierz wygląda srogo. Ma mniej więcej dziewiętnaście lat. Ciemną cerę, kręcone włosy.

Coś w nim wydaje mi się znajome.

Może oczy. Twarde, jak u żołnierza.

– Bardzo cię zainteresowało to zdjęcie – mówi Sam. Denerwuje się. Słyszę to w jej głosie.

– Wyglądasz tu tak młodo.

– Byłam dzieckiem we mgle. Ściślej mówiąc, dzieckiem na pustyni.

– Zauważyłem. Ten żołnierz chyba też.

Nagle nerwowość znika. Sam podchodzi do mnie i wyjmuję mi z rąk fotografię.

– Jesteś zazdrosny, Ben?

– Oczywiście. Żałuję, że cię wtedy nie znałem.

– Ja też – mówi.

Odstawia zdjęcie na miejsce i siada na łóżku. Siadam obok niej.

– Te wszystkie fotografie twojej matki – mówię. – Mogę spytać, jak...

– Nie czytałeś o tym?

– Gazeta i rzeczywistość to dwie różne rzeczy.

Waha się, jak gdyby chciała mi o czymś opowiedzieć, ale się powstrzymywała.

– To był wypadek. Prowadziła samochód i ktoś się z nią zderzył. Kiedy byliśmy w Izraelu.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Takie po prostu jest życie.

– Pełne wypadków?

– niesprawiedliwe – mówi.

Przypominam sobie dzień, kiedy ostatni raz byłem w gabinecie ojca na uczelni. Poszedł na jakieś spotkanie i zostawił mnie tam, żebym był w bezpiecznym miejscu. Siedziałem na kanapie i czytałem, zadowolony, że jestem sam w tym dużym pokoju, otoczony książkami i papierami ojca, wierząc, że niedługo wróci.

Ale nie wrócił.

W kółko odtwarzam w myślach to wspomnienie.

Telefon z informacją o wypadku.

Powrót do domu i widok Mike'a siedzącego przy stole w kuchni i czekającego na mnie.

Moje ciało ogarnia jakieś uczucie. Dziwne. Wywołuje ucisk w piersi i w gardle.

Sam uważnie mnie obserwuje.

– Straciłeś kiedyś kogoś? – pyta.

– Może.

– Trudno ci o tym mówić, prawda?

Nie odpowiadam.

– Gdybyś kiedyś chciał o tym ze mną pogadać, pamiętaj, że dobrze wiem, co to znaczy. Tylko tyle.

– To było dawno temu – mówię.

Sam patrzy na zdjęcie matki trzymającej małe dziecko z różową spinką we włosach.

– Takie przeżycie zmienia człowieka, prawda?

– Tak.

– Dzieci! – woła z kuchni ojciec Sam.

– Ciągle myśli, że jestem dzieckiem – mówi Sam. – Jak mogę być dzieckiem po tym wszystkim, co się stało?

Wciągam do płuc powietrze i wypuszczam. Idzie mi to trudniej, niż powinno.

– Jesteś głodny? – pyta Sam.

– Bardzo.

Kłamię.

PRZEDRAMIĘ JEJ OJCA OPIERA SIĘ O STÓŁ W ODLEGŁOŚCI CZTERDZIESTU PIĘCIU CENTYMETRÓW ODE MNIE.

Porastają je jasnobrązowe włoski. Skórę pokrywają piegi. Jest blada od rzadkiego kontaktu ze słońcem.

Ręka wyciąga się w moją stronę, żeby sięgnąć po sól. Odległość zmniejsza się z czterdziestu pięciu do niecałych trzydziestu centymetrów.

– O czym myślisz, młody człowieku? – pyta burmistrz.

Chcę skończyć i wyjść z tego mieszkania. O tym w tej chwili myślę. Nie podoba mi się, co się ze mną dzieje, gdy jestem z Sam.

– Myślę, że to wspaniale smakuje – odpowiadam. – I jestem zaskoczony, biorąc pod uwagę brak doświadczenia kucharza.

Sam kopie mnie pod stołem.

Ręka burmistrza bierze solniczkę i się cofa. Potrząsa nią nad talerzem i odstawia na środek stołu.

– Bez względu na to, co wygaduje moja córka, Samara bardzo dobrze gotuje – informuje mnie burmistrz.

– U Zabara bardzo dobrze gotują – poprawia go Sam.
– Być może u Zabara zaczęli – zgadza się burmistrz –
ale dokończyli u Samary.

– W takim razie należy mi się część wyrazów uznania
– przyznaje Sam.

Burmistrz wyjmuje z kieszeni aparat fotograficzny.

– Byłbym zapomniał – mówi.

Unosi aparat, a ja dyskretnie odchyłam się do tyłu.
Nie chcę, żeby robiono mi zdjęcia w tym mieszkaniu,
zwłaszcza dzisiaj.

Burmistrz przysuwa sobie bliżej talerz, pochyła się
i fotografuje kolację. W pokoju rozbłyскуje flesz.

– Tato – jęczy Sam.

– Uwiecznia pan nasz posiłek? – dziwię się.

– To do internetu – wyjaśnia. – Piszę posty o swoim
prawdziwym życiu. Co robię, co jem. Ratusz staje się
transparentny.

– Mój tato prowadzi blog – mówi Sam. – Dasz wiarę?

Burmistrz podaje mi aparat.

Oglądam zdjęcie kolacji; brokuły lśnią zielenią
w blasku flesza.

– Kiedy Sam podsunęła mi ten pomysł, uznałem, że

jest okropny – wyznaje burmistrz. – Ale zacząłem to robić i nawet całkiem nieźle się bawię.

– Dzięki temu wydajesz się bardziej człowiekiem – zauważa Sam.

– A nie kim? Potworem, którym jestem w rzeczywistości?

Do pokoju wchodzi Zawodowiec, pełniący straż przed wejściem. Nie zapowiada swojej obecności. Po prostu się pojawia.

Burmistrz zauważa go dwie sekundy później ode mnie.

– Jestem potrzebny? – pyta burmistrz.

– Widziałem flesz – informuje go Zawodowiec.

– Fotografuję kolację – tłumaczy burmistrz.

Oddaję mu aparat.

Zawodowiec kiwa głową.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie burmistrzu.

– Ale ty sobie nie przeszkadzaj – odpowiada burmistrz.

Zawodowiec kontynuuje obchód.

Jestem tu od czterdziestu pięciu minut, a on robi obchód. Przypuszczam, że sprawdza apartament

regularnie co godzinę. Może rzadziej, zwłaszcza że nic się nie dzieje, a między wejściem a ulicą jest potrójna ochrona.

Na wszelki wypadek jednak nastawiam zegar w głowie na godzinę. Pięć minut do zakończenia obchodu, a potem godzina, po której znowu go zobaczę.

– Nie cierpię tej całej ochrony – wyznaje burmistrz.

– Nie przyzwyczał się pan jeszcze? – pytam.

– Do policji tak. Kiedy pojawiają się na różnych publicznych wydarzeniach, zawsze są przy mnie nasi granatowi. Ale ludzie w moim domu? Trudno się do tego przyzwyczać.

– Po co panu dodatkowa ochrona? – pytam.

Sam patrzy na ojca, ale nic nie mówi.

– Tajemnice państwowe – wyjaśnia burmistrz z uśmiechem, po czym zmienia temat. – Jedźmy, zanim wystygnie.

Postanawiam na razie tego nie drążyć.

Zabieramy się do kolacji, a Sam rozmawia z ojcem o tym, co się dzieje w szkole. Opowiada o ocenach, testach i przeróżnych postaciach, z którymi styka się każdego dnia. Przychodzi mi na myśl, że takie rozmowy

prawdopodobnie codziennie toczą się między tysiącami dzieci i rodziców. Przy wspólnym posiłku opowiadają sobie o różnych zdarzeniach, zadają pytania i na nie odpowiadają, innych pytań unikają.

To najbardziej naturalna rzecz na świecie, ale ja jej nie robię. Moje rozmowy to zaszyfrowane komunikaty, wyznaczanie zadań, relacje z ich przebiegu. Związane wyłącznie z pracą.

A to rzeczywistość. Tak wygląda życie ludzi.

Niczego nie tracisz.

Tak sobie powtarzam. Nawet burmistrz rozmawiający z córką jest nudny w porównaniu z moim życiem. Ja żyję w grze wideo, ci ludzie w prawdziwym świecie.

– Obawiam się, że cię zanudzamy – mówi Sam.

– Wcale nie – zapewniam ją.

– Może myślałeś, że kolacja u burmistrza będzie wyjątkowa? – pyta.

– Szczerze mówiąc, spodziewałem się dwudziestu jeden salw armatnich między daniami.

– Dwudziestu jeden salw? – zdumiewa się burmistrz.

– To jest kurczak czy pogrzeb?

Śmieję się.

– Słuchajcie, zostawcie sobie jeszcze miejsce – radzi Sam.

– Po co nam miejsce? – pyta burmistrz.

– Na niespodziankę.

– Przecież obiecałaś... – zaczyna burmistrz.

– Przecież mnie znasz – przerywa mu córka. – Bez przerwy kłamię.

– O co chodzi? – nie rozumiem.

– Dziś jest szczególna okazja – wyjaśnia Sam.

Burmistrz przecząco kręci głową, ale Sam nie zwraca na to uwagi.

– Mój ojciec ma dzisiaj urodziny – zdradza mi Sam.

Burmistrz zasłania rękami twarz.

Błyskawicznie przypominam sobie dane z profilu. Sama data urodzin może nie jest kluczową informacją, ale urodziny przypadające dokładnie w przedziale czasowym mojego zadania? Jak mogłem nie zwrócić na to uwagi?

– To prawda – przyznaje burmistrz. – Kończę dzisiaj sto lat.

– Błagam, tato. – Samara trąca ojca w ramię.

– No dobrze, pięćdziesiąt dwa. Ale to i tak bliżej setki

niż zera.

– Wszystkiego najlepszego – mówię.

– Zostańcie tu i dokończcie – wydaje dyspozycje Sam.

– Za parę minut wrócę.

Całuje ojca w czubek głowy i wychodzi.

Patrzę na burmistrza, siedzącego naprzeciwko mnie.

Parę minut. Czyli prawdopodobnie pięć.

Wyobrażam sobie rozkład mieszkania i lokalizację czworga graczy.

Zawodowiec właśnie skończył kontrolę, więc najprawdopodobniej wrócił już do westybulu. Sam jest w kuchni sześć metrów od nas, za uchylnymi drzwiami, których zawiasy lekko skrzypią.

Zostaje burmistrz. I ja.

Burmistrz wstaje.

– Przerwa na rozprostowanie kości – mówi.

– Dobry pomysł – przytakuję. Też wstaję i przeciągam się, naśladując go. Podczas tego ruchu rozglądam się uważnie po całym pokoju.

Jesteśmy sami.

– Cieszę się, że mamy chwilę dla siebie – mówi burmistrz. – Chciałbym wrócić do naszej wczorajszej

rozmowy.

Podchodzi do mnie, na tyle blisko, że czuję zapach jego płynu po goleniu. To przyjemny zapach. Czysty i ciepły. Tak właśnie powinien pachnieć ojciec.

Mój ojciec.

Zaczyna mi się kręcić w głowie i cały pokój nagle wiruje. Wciskam sobie kciuki do oczu.

– Ben? – słyszę głos burmistrza.

– Słucham.

– Powiedziałem, że potrzebuję twojej pomocy.

– Pomocy?

Odsuwam ręce od oczu.

– Porozmawiajmy tutaj – mówi burmistrz, konspiracyjnym gestem pokazując na salon.

Puszczam go przodem i wychylam duży łyk wody.

Głęboko oddycham. Skupiam myśli.

Oglądam siebie jak gdyby z góry, widząc swoją pozycję w pokoju, mieszkanie, budynek. Później wytyczam drogę od swojego punktu do burmistrza, do miejsca na skórze, które zaatakuję, a potem się wycofam.

Opuszczę apartament, dzielnicę i miasto.

Trwa to wszystko zaledwie sekundę. Gdy mam już w głowie naszkicowaną mapę, ruszam za burmistrzem do salonu.

Przyjął swoją ulubioną pozę, patrząc przez okno, pogrążony w myślach. Sięga do kieszeni i wyjmuje małe, srebrne pudełeczko. Wyciąga z niego papierosa i obraca w palcach.

– Podczas ostatniej kampanii wyborczej rzekomo rzuciłem palenie – mówi. – Jeżeli prasa się o tym dowie, dobierze mi się do tyłka. A kiedy skończą, dostanie się jeszcze mojej córce.

– Nie zdradzę pana tajemnicy – uspokajam go.

Uchyła okno, zapala papierosa i głęboko się zaciąga.

– Martwię się o Sam – mówi.

– Martwi się pan?

– Nadchodzą wielkie zmiany. Źle je znosi.

Patrzy na mnie przez parę sekund, po czym sadowi się w fotelu. Otwiera dolną szufladę mahoniowej szafki i wyjmuje popielniczkę.

– Usiądź, Ben.

Spełniam polecenie. Siadam na rogu kanapy obok niego. Nasze nogi, tworzące kąt czterdziestu pięciu

stopni, są około pół metra od siebie. Kiedy sięga po popielniczkę, wyciąga rękę w moją stronę.

– Wiem, że Sam ci ufa – mówi burmistrz.

Mógłbym mu przyznać rację, zgodzić się ze wszystkim, co powie. Ale to inteligentny człowiek. Muszę o tym pamiętać.

Najlepiej jest trzymać się prawdy.

Na ogół prawdy.

– Szczerze mówiąc, dopiero się poznaliśmy – odpowiadam. – Nie znam jej zbyt dobrze.

– Ale nie da się ukryć, że tu jesteś. Nigdy wcześniej nikogo nie zapraszała na rodzinne kolacje.

– Właściwie to sam się wprosiłem.

Burmistrz chichocze.

– Tak sądzisz?

– Co ma pan na myśli?

– Dzisiaj rano spytała mnie, czy może cię zaprosić.

– Naprawdę?

– To chytra sztuka, Ben. Będzie cię krótko trzymać.

Przypominam sobie tamtą chwilę w korytarzu, gdy zaproponowałem Sam, żeby mnie zaprosiła na kolację. Czyżby wszystko wyreżyserowała?

Jak mogłem się nie zorientować?

– Wiesz, że za kilka miesięcy kończy mi się ostatnia kadencja – mówi burmistrz.

– Czytałem o tym.

Zerkam w stronę kuchni. Nie dostrzegam żadnego ruchu.

– Dostałem pewną propozycję – ciągnie burmistrz. – Powiedzmy, że mam wypłynąć na znacznie szersze wody.

– Nowa praca?

– W pewnym sensie. Jeżeli ją przyjmę, będzie to oznaczało wielkie zmiany. Zwłaszcza dla Sam.

Nowa praca. Nowa ochrona.

To wszystko oznacza coś ważnego, co musi mieć jakiś związek z moim zadaniem. Ale to nie ma znaczenia, kiedy jego zakończenie jest tak bliskie.

– Zmiany dla Sam – mówię. – Co to ma wspólnego ze mną?

– Chcę, żebyś się nią zajął.

– Wiele osób się nią zajmuje.

– Wiem, że ma przyjaciół – zgadza się burmistrz. – Mówię o czymś innym.

W tym momencie rozlega się głośny trzask i w pokoju gaśnie światło.

– Co się dzieje? – pyta burmistrz.

Poruszam się w ciemności, a moje ciało przygotowuje się na zagrożenie.

– Wszystkiego najlepszego! – woła Sam z jadalni. Skrzypią zawiasy kuchennych drzwi.

– No i masz – mówi burmistrz. – Wstyd podany na tacy.

Zrywa się z fotela i gasi papierosa. Popielniczkę z niedopałkiem chowa z powrotem w szufladzie.

Burmistrz stoi w ciemnościach w zasięgu mojej ręki. Wyczuwam jego bliskość, słyszę oddech.

Wyciąga rękę i dotyka mojego ramienia. Szepcze mi do ucha:

– Pogadamy o tym później. Ale na razie niech to zostanie między nami.

Wchodzi Sam w aureoli drgających płomyków świeczek, niosąc tort.

– Co za wspaniała niespodzianka! – mówi burmistrz.

W naszej części pokoju jest ciemno. Druga strona jest oświetlona blaskiem świeczek. Pośrodku zalegają cienie.

Sam zaczyna śpiewać.

Burmistrz prowadzi mnie w jej stronę, mimochodem kładąc mi rękę na barkach. Jesteśmy tak blisko siebie, że mógłbym go otoczyć ramieniem.

I robię to.

Skończ. Skończ to teraz.

Kładę mu na plecach lewą rękę. Tę, na której noszę zegarek. Mógłbym pstryknąć przyciskiem z boku tarczy, a potem przycisnąć tylną część klamry do delikatnej skóry na jego szyi.

Jesteśmy piętnaście kroków od Sam.

Chcę, żebyś się nią zajął, powiedział burmistrz.

Ale to nie moje zadanie.

Właściwie to przeciwieństwo mojego zadania.

Burmistrz ma grubą sweter, ale wyżej zupełnie odsłoniętą szyję. Moja ręka spoczywa na swetrze. Mógłbym sięgnąć wyżej. Wystarczyłoby kilkanaście centymetrów.

I zrobione, a ja mógłbym być daleko stąd. Daleko od tej rodziny i jej rozmów przy kolacji, od pytań o zaufanie, opiekę i całą resztę.

Mógłbym skończyć i się ulotnić.

Dziesięć kroków do Sam.

Burmistrz śpiewa, ja też.

Idziemy pod rękę, kołysząc się tam i z powrotem i śpiewając.

Mógłbym sięgnąć wyżej. Obrócić nadgarstek.

Potknąłby się. Podtrzymałbym go. Stałelibyśmy nad nim razem z Sam i jedno z nas wezwałoby pomoc. Nadeszłaby szybko, ale i tak za późno.

Pięć kroków do Sam.

Burmistrz mocno mnie obejmuje. Muszę tylko przesunąć ramię...

Ale tego nie robię.

Tylko śpiewam. I uśmiecham się, tak jak oni.

Naśladuję.

Ani się obejrzałem, a piosenka się kończy i burmistrz opuszcza rękę.

Robię to samo.

Podchodzi do tortu, a płomienie świeczek oświetlają jego twarz. Widzę, jak patrzy na córkę. Widzę, jak się do niej uśmiecha, a ona uśmiecha się do niego.

Jego uśmiech nie powinien mnie obchodzić.

Mężczyźni uśmiechają się, gdy kłamią.

Ojciec Jacka uśmiechał się i zdradził swój kraj.
Mój ojciec uśmiechał się, a potem zjawił się Mike.
Teraz uśmiecha się burmistrz i jestem u niego.
Nikt nie jest niewinny. Tego mnie nauczono.
Nauczono mnie też, że moje zadania są proste.
Skończyć.

Tylko tyle muszę zrobić.

Burmistrz wyciąga aparat i robi zdjęcie tortu do bloga. Pokazuje mi fotografię. Lukier na zdjęciu lśni trupią bielą.

Skończyć.

Tylko tyle – ale nie potrafię tego zrobić.

Burmistrz zdmuchuje świece, a Sam i ja bijemy brawo.

– Zróbmy sobie razem zdjęcie – proponuje. –
Wszyscy troje. Chcę zapamiętać ten wieczór.

Wyciąga do mnie rękę, ale od razu się od niego odsuwam. Nie chcę go więcej dotykać. Nie chcę czuć tego zapachu. Nie chcę widzieć, jak patrzy na Sam.

– Muszę iść do toalety – mówię.

WCHODZĘ DO ŁAZIENKI W KORYTARZU.

Zamykam za sobą drzwi i ochlapuję twarz wodą. Patrzę na swoje odbicie w lustrze.

Coś jest nie tak.

Własny umysł płata mi figle. Myślę o winie i niewinności, choć w ogóle nie powinienem sobie tym zaprzętać głowy.

Czuję wibracje telefonu – dwie, sygnalizujące prośbę od Ojca o szyfrowane połączenie.

To on powinien myśleć o takich rzeczach. Moje zadanie jest znacznie prostsze.

Skończyć. Wtedy będzie po wszystkim. Zdasz test.

Druga wibracja.

Nie odbieram. Wyłączam telefon.

Układam plan.

Zaproponuję, że pomogę Sam pozmywać, a kiedy będzie zajęta w kuchni, znajdę jakiś pretekst, żeby wrócić do pokoju i zostać sam na sam z burmistrzem.

Wystarczą mi dwie minuty, w których będzie rozluźniony i zupełnie nieprzygotowany.

Mam jeszcze czas. Do wejścia Zawodowca zostanie

jeszcze dziesięć minut. Wystarczy.

Skończę, a potem zadzwonię do Ojca i dam mu znać, że już gotowe.

Zakręcam wodę. Przygotowuję się do wyjścia.

Rozlega się pukanie do drzwi łazienki.

– Benjamin – słyszę głos Sam. – Wpuść mnie.

Nie wpuszczaj jej.

Wycieram twarz ręcznikiem.

– Benjamin.

Nie wpuszczaj jej.

Otwieram i Sam wchodzi. Zamyka za sobą drzwi.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Dziwnie się zachowujesz.

– Nic mi nie jest.

– To dlaczego tak niewyraźnie wyglądasz?

– Bo jesteśmy w łazience.

– Za grosz nie potrafisz kłamać – oświadcza.

Opiera się plecami o drzwi. Wzbiera we mnie gniew. Na to, że dałem się złapać w pułapkę, że dałem się wziąć pod lupę tej dziewczynie.

– To nie ja kłamię – protestuję.

– O czym ty mówisz?

– Pytałaś ojca, czy możesz mnie dzisiaj zaprosić na kolację.

Mówię za szybko, bez zastanowienia. Nie planując następnego ruchu.

– Ojciec tak ci mówił?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie miałam okazji, Ben. Zapytałeś mnie pierwszy, nie pamiętasz? Przecież to nie kłamstwo.

Po namyśle stwierdzam, że ma rację. Nie skłamała.

– Dlaczego w ogóle chciałaś, żebym tu przychodził?
– pytam.

Robi krok w moją stronę. Próbuje zwolnić własne tętno, ale nie potrafię.

– Mam powiedzieć prawdę?

– Tak.

– Z powodu Eriki. Macie się ku sobie. Przecież to widać.

– I co z tego? – pytam.

Zdejmuje z sukienki jakąś nitkę.

– Może zaczynam coś do ciebie czuć – mówi.

Patrzę jej w oczy. Mówi prawdę.

Nagle przenoszę się do innego miejsca i czasu. Mam

dziesięć lat, schodzę po schodach w naszym domu w Rochester. Słyszę dobiegający z kuchni brzęk talerzy. Kiedy wchodzę, widzę matkę i ojca, którzy siedzą już przy stole i jedzą śniadanie. Pusty talerz czeka na mnie przy moim miejscu.

Moim miejscu.

Zawsze siadałem na krześle naprzeciwko okna wychodzącego na ogród za domem. To było moje specjalne miejsce.

– A ty? – mówi Sam.

– Co ja?

– Czujesz coś do mnie?

Głęboko nabieram powietrza.

– Czy ja... – usiłuję coś powiedzieć, ale nie mogę.

– Czemu musisz grać takiego twardziela? – pyta.

Grozi mi niebezpieczeństwo.

Ta myśl przebija się na plan pierwszy. Mnie i mojemu zadaniu grozi niebezpieczeństwo.

– Rzecz w tym, Ben, że to bardzo niedobry moment.

– Dlaczego?

– Sprawy właśnie się trochę skomplikowały. Z moim byłem.

– Jeżeli to były, dlaczego się skomplikowały?

– Ten związek raz jest, a raz go nie ma. Ciągłe ze sobą zrywamy, a potem wracamy do siebie. To trwa od paru lat.

– A teraz jesteście po zerwaniu czy przed zerwaniem?

– W fazie przejściowej.

– Rzeczywiście skomplikowane.

– Nie wiedziałam, że cię poznam – mówi. – A nawet kiedy się spotkaliśmy, pomyślałam, że guzik cię obchodzę.

– Dlaczego?

– Bo bardzo trudno cię rozgryźć.

– Chyba całkiem nieźle ci to idzie.

– Nie wydaje mi się.

Kiedy wyciąga do mnie rękę, wzdrygam się. Nieznacznie, prawie niedostrzegalnie, ale wystarcza. Sam zauważa to i lekko się uśmiecha.

– Myślę, że jesteś twardy na zewnątrz, ale miękki w środku – mówi.

– A ty?

– Ja jestem wszędzie miękka – odpowiada.

Jej twarz jest kilkanaście centymetrów od mojej.

Strefa zagrożenia. Jeżeli ktoś znajdzie się tak blisko twojej twarzy, może ci zrobić krzywdę. Z takiej odległości nie zobaczysz jego rąk, które mogą robić wszystko, przygotowywać się do czegokolwiek, cokolwiek trzymać.

– Mięknę, kiedy komuś ufam – dodaje Sam. – To powinnam powiedzieć.

– A mnie ufasz? – pytam.

– Zaczynam.

Zwykle taka chwila w trakcie zadania oznacza, że jego powodzenie jest pewne. Buduję zaufanie u celu pośredniego, dopóki go nie pozyskam. Potem mogę działać z większą pewnością siebie.

Teraz jednak jest inaczej. Dzieje się coś, czego nie planowałem.

– Chyba coś ze mną nie tak – mówię.

Bo w mojej głowie kłębią się nieodpowiednie myśli. Powinienem myśleć o zakończeniu zadania, a myślę o delikatnym wygięciu szyi Sam, o kąciku jej ust, o piersiach wypełniających tkaninę sukienki. Myślę o tym, jak się śmieje, gdy jesteśmy razem.

– Nic nie jest z tobą nie tak – odpowiada. – Wręcz

przeciwnie.

Nachyla się bliżej i jej usta znajdują się blisko moich warg, tak blisko, że czuję na twarzy jej oddech.

– Twój tato będzie się zastanawiał, co się z nami stało – mówię.

– Niech się zastanawia.

Szybko cofam się o krok.

– Serio. Powinniśmy wracać – upieram się i przeciskam się obok niej, wychodząc z łazienki.

OKŁAMUJĘ ICH.

Nie czuję się dobrze – mówię.

– To przez moją kuchnię? – pyta Sam. Próbuje się roześmiać, ale widzę, że się martwi.

Zbywam jej zaniepokojenie. Nie zgadzam się, kiedy burmistrz proponuje mi odwiezienie do domu.

Używam kiepskich wymówek, ale to wystarcza.

Wpuszczają mnie.

Zwalniają.

Na ulicę. Na świeże powietrze.

Drugi dzień za mną, razem z okazją zakończenia zadania, ale za jej zmarnowanie mogę winić tylko siebie. Nie wykorzystałem jej, chociaż nie przepuszczam okazji. Moje szkolenie tego nie przewiduje.

Moje szkolenie.

Powinienem zmierzać do celu swojego zadania, a ja się od niego oddalam.

Właśnie przyglądam się sobie, jak mijam portierów, przechodzę przez hol i idę ulicą. Mijam sprzątaczy i skręcam za róg, znikając z pola widzenia funkcjonariusza w policyjnej budce.

Powtarzam sobie, że muszę wrócić, ale idę przed siebie, oddalając się od tego mieszkania, tych ludzi i myśli, które mącą mi w głowie.

Zatrzymuję się na środku chodnika i ogarnia mnie dziwne uczucie.

Dreńczyło mnie to przez cały wieczór, ale dopiero teraz uderza z całą siłą.

Znajomy zapach.

Przypominający...

Mojego ojca

który był serdecznym człowiekiem,

który był życzliwy,

który był profesorem.

Ojciec trzymał mnie na kolanach, gdy pracował przy swoim biurku. Pamiętam skrzypienie skórzanego krzesła, kółka, które toczyły się głośno po drewnianej podłodze.

Czasem po lekcjach zakradałem się do jego gabinetu i klękałem na krześle, chociaż matka mi tego zabraniała. Odpychałem się od biurka i kręciłem się na krześle ojca, otoczony jego zapachem, który przesycał drewno i skórę.

Pamiętam to uczucie, gdy trzymał mnie w ramionach, jego wibrujący w piersi głos, kiedy do mnie mówił, a ja przyciskałem do niego głowę.

Czuję go teraz, czuję tę ciepłą, czystą woń wody po goleniu.

Czuję go, ale go nie ma.

Jej cząstka, powiedziała Sam, kiedy rozmawialiśmy o jej matce. *To wystarcza*.

Jest teraz przy mnie cząstka mojego ojca.

Ale to nie wystarcza.

Nie mam innego wyjścia, jak tylko...

– PUŚĆ! – KRZYCZY JAKAŚ KOBIETA.

Jaka kobieta?

Kobieta na ulicy.

Kobieta w pikowanej kamizelce, z brązową torebką na ramieniu, sto osiemdziesiąt stopni za mną, przed budką z warzywami przy koreańskim barze.

Kobieta, której nie widziałem.

Potrąca ją ciemnowłosa mężczyzna w nylonowej wiatrówce.

Mężczyzny też nie widziałem.

Wyprostowanymi rękami odpycha ją na bok, wytrącając jej z rąk pojemniczki, z którego wysypuje się na chodnik kaskada borówek.

Mężczyzna rozdeptuje je, idąc naprzód.

W moją stronę.

Dopiero teraz widzę, jaką trasą się porusza, zdaję sobie sprawę, że nie zauważyłem, jak nadchodzi z tyłu.

Nieważne.

Wybór:

Wracać pod dom burmistrza, w stronę policyjnej budki, która może zneutralizować zagrożenie?

Iść naprzód w stronę nieznanego, w stronę niebezpieczeństwa i możliwości odkrycia prawdziwej natury mojego prześladowcy?

Mam sekundę na zastanowienie, zanim odetnie mi drogę ucieczki.

Nie potrzebuję całej sekundy. Ruszam naprzód. Właściwie moje ciało samo rusza.

Idę Columbus Avenue, kierując się na południe.

O tej porze ulica jest prawie pusta, nie mam więc żadnej osłony. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko iść dalej, nigdzie się nie zatrzymując.

Wybrał nietypową strategię. Jeżeli mnie tu dogoni, co zrobi w miejscu publicznym, na ulicy?

Nie zamierzam się o tym przekonywać. W każdym razie nie na jego warunkach.

Chcę dotrzeć do Broadwayu, gdzie jest większy ruch i mogę mieć większe pole manewru. Kiedy dochodzę do skrzyżowania z Siedemdziesiątą Dziewiątą, skręcam na zachód i kieruję się w stronę Broadwayu.

Wtedy to wyczuwam.

Obecność Niewidzialnego, tego samego co wczoraj.

Niewidzialny jest gdzieś przede mną, a za sobą mam

mężczyznę w nylonowej kurtce. To znaczy, że jest ich dwóch.

Nagle z uliczki, którą mijam, wychodzi następny mężczyzna i dołącza do tego, który idzie za mną.

Już trzech.

Może skręt w Siedemdziesiątą Dziewiątą był błędem. Rzadko popełniam błędy, ale być może mój ruch był zbyt przewidywalny. Nie mam czasu tego analizować.

Zmieniam tempo i zaczynam kluczyć, a oni dotrzymują mi kroku, poruszając się zygzakiem razem ze mną.

Trzech na jednego. Mają większe szanse.

Pod stopami czuję delikatne dudnienie jadącego przede mną pociągu linii numer jeden. Sprawdźmy, jak sobie poradzą w metrze.

W DÓŁ.

W ciemność. Wilgotne betonowe schody i mrugające światło padające z dołu. Dwaj mężczyźni i Niewidzialny.

Schodzę na peron i oddycham z ulgą, widząc całkiem pełną stację.

Ludzie wracają z barów na Amsterdam Avenue i jakiejś imprezy w muzeum. Inni wybierają się na późną kolację na środkowym Manhattanie.

Wyczuwalne pod stopami dudnienie zmienia się w podmuch wiatru z tunelu, a po chwili na stację wpada rozpędzona kolejka jadąca na południe.

Wślizguję się w tłum, niezauważony przez nikogo.

Nie do końca. Zauważa mnie jedna osoba.

– Śledzisz mnie? – pyta Erica.

Stoi na peronie, chwiejąc się na nogach, ma wyraźnie ciężkie powieki.

Cholera. Tylko tego mi było trzeba.

– Skąd wracasz? – pytam.

– Imprezowałam ze znajomymi.

Zerkam na zegarek.

– Impreza wcześniej się skończyła – zauważam.

Przyglądam się jej. Zaczerwienione policzki, potargane włosy.

To podstęp? Element pułapki?

– Impreza skończyła się wcześniej, bo się urwałam – wyjaśnia. – Jeden z chłopaków próbował mnie zgwałcić.

– Nic ci się nie stało?

– Daj spokój – mówi. – Umiem sobie poradzić. Sukinsyn będzie musiał przez kilka dni trzymać podwozie w lodzie.

– Bardzo dobrze – mówię.

Jej tłumaczenie brzmi wiarygodnie. Zgadzą się miejsce i jej wygląd.

To nie podstęp. To zbieg okoliczności.

Pociąg metra zatrzymuje się na peronie. Za plecami wyczuwam ruch. Niewidzialny i dwaj mężczyźni schodzą po schodach. Nie widzę ich, ale czuję, że się zbliżają.

– Odprowadzisz mnie do domu, Ben? Strasznie mnie boli głowa.

Opiera się o mnie.

Wybór.

Mógłbym ją tu zostawić, ale czy będzie bezpieczna?

Jeżeli szybko się jej pozbędę, śledzącym mnie ludziom może się wydać, że natknąłem się na pijaną nieznajomą. Gdybym spędził z nią sekundę więcej, pomyśleliby, że to przypadkowo spotkana koleżanka. Jeszcze dłużej – uznaliby ją za ważną osobę, którą mogliby wykorzystać, żeby mnie dopaść.

– Benji, Ben-ben – mruczy i całuje mnie w szyję.

Dokonała wyboru za nas oboje.

Nie mogę jej już teraz puścić.

Otwierają się drzwi wagonu i ludzie ruszają w ich stronę, a peron szybko pustoszeje.

Kątem oka dostrzegam, że mój ogon też wykonuje ruch.

Pociąg dzwoni, ostrzegając, że zaraz odjeżdża.

– Proszę się odsunąć od drzwi – warczy jakiś głos.

Czekam.

Chcę, żeby ścigający mnie ludzie podeszli bliżej. Muszą się zastanawiać, w którą stronę pójdę.

Zachowuję się, jak gdybym nie wiedział o ich obecności, jak gdybym przypuszczał, że zgubiłem ich, dając nura do metra. Waham się, kołysząc ciałem, nie mogąc się zdecydować. Chcę ich zdezorientować, żeby

nie byli pewni moich umiejętności. Może i potrafię się zorientować, że są na peronie, ale umiem za mało, żeby wiedzieć, co z tym począć.

To właśnie ma im powiedzieć moje ciało.

– Nie zdążymy wsiąść – jęczy Erica.

– Zdążymy – uspokajam ją. – Na pewno.

W ostatniej sekundzie otaczam ją ramieniem i wciągam do wagonu, a drzwi zamykają się za nami.

Sekundę później z szybą zderza się twarz mężczyzny, któremu drzwi przycinają palce.

Ryczą głośniki. Konduktor krzyczy na faceta.

Jego palce wciąż tkwią między skrzydłami drzwi.

Patrzę na niego zza ramienia Eriki. Odnotowuję w pamięci szczegóły.

Oliwkowa cera. Nieogolony. Przekrzywiony kołnierz wiatrówki.

Myślę o mężczyźnie, który mówił po arabsku. O nowych rzeczach, w które był ubrany. Ten człowiek jest podobny, ale to nie jest Niewidzialny.

Konduktor nie chce mu otworzyć drzwi. Czasem tak się zdarza. Uparty pasażer. Jeszcze bardziej uparty konduktor. Sytuacja bez wyjścia.

Zwykle pasażer ustępuje. Przecież nie chce stracić ręki.

Ale nie mogą go też wlec przez tunel.

Walka trwa dziesięć sekund – na tyle długo, że inni pasażerowie zaczynają narzekać.

Próbuję zrozumieć to, co widzę. Facet w wiatrówce jest w publicznym miejscu pełnym świadków, a mimo to naciera na mnie, nie zważając na tłum.

W końcu konduktor daje za wygraną. Rozlega się dzwonek i drzwi się otwierają.

– Powiedz mi coś – prosi Erica.

– Słucham – mówię.

Wiatrówka wchodzi do naszego wagonu, drzwi zamykają się za nim.

– Gdybyś miał wybierać między mną a Sam, to którą byś wybrał?

– Do czego miałbym cię wybierać?

– Przecież wiesz – mówi.

Wiatrówka odwraca się w moją stronę.

Ciągnę Ericę w głąb wagonu.

– Dokąd idziemy? Chcę już usiąść – skarży się.

– Zaraz usiądziemy.

Wiatrówka przesuwa się bliżej. Ale porusza się powoli, zupełnie nie jak ktoś, kto chce nas złapać.

Ciekawe.

Jeżeli nie próbuje nas złapać, to co robi?

Zagania nas.

Już poznaję. Trzej mężczyźni działają wspólnie. To ich taktyka, odmiana manewru okrążającego. Pozorowany atak od frontu maskujący natarcie na flanki.

Taktyka militarna.

Oznacza to, że prawdziwe zagrożenie nie jest przede mną, ale z tyłu. W wagonie połączonym z naszym.

Kiedy Wiatrówka się zbliża, w naturalnym odruchu chcesz się wycofać i przejść do następnego wagonu. Myślisz, że uciekasz przed niebezpieczeństwem, a w rzeczywistości wchodzisz prosto w paszczę lwa.

Jaki jest nienaturalny odruch?

Ruszyć w jego stronę.

– Widzę miejsce po drugiej stronie – mówię.

Zabieram Ericę i idę w kierunku Wiatrówki. Przymruża oczy. Zachowuję się niezgodnie z jego planem.

Pociąg oddala się od stacji i przyspiesza, kołysząc się

na boki.

Kieruję się prosto na Wiatrówkę, jedną ręką obejmując Ericę.

Wiatrówka sięga do kieszeni.

Najwyższe zagrożenie za pięć sekund.

– Jerry! – wołam do niego. To pierwsze imię, które mi przychodzi do głowy.

Rzucam się naprzód, trzymając mocno Ericę. Wyciągam rękę, jak gdybym chciał objąć przyjaciela. Zanim zdążył zareagować, łapię go w żelaznym uścisku, który przygniata mu ramiona do boków, uniemożliwiając wyjęcie ręki z kieszeni.

Kiedy pociąg gwałtownie szarpie i piszczą hamulce, walę jego głową w metalową rurę. Odgłos hamulców zagłusza trzask czaszki o poręcz. Tym samym ruchem okręcam mężczyznę wokół siebie i sadzam na wolnym miejscu.

Potem odwracam się i rozsuwam drzwi między wagonami metra, ani na chwilę nie puszczając Eriki.

Słyszając zgrzyt hamulców i czując silny podmuch, wychodzimy na odsłonięte metalowe platformy kołyszące się między wagonami, pokonujemy je

i otwieramy drugie drzwi, chroniąc się w sąsiednim wagonie.

– Co to było? – dziwi się Erica. – Znasz tego faceta?

– Tak mi się zdawało. Ale się pomyliłem.

Dostrzegam wolne miejsce przy drzwiach.

– Chcesz usiąść? – pytam.

– Jeżeli już nie będziesz mnie więcej ciągnął po metrze.

– Nie będę. Obiecuję.

– Jestem skonana – jęczy. – Powinnam trochę mniej imprezować.

Opada na siedzenie, trzymając się za głowę.

Wyczuwam jakiś ruch w wagonie, z którego przed chwilą wyszliśmy. Wiatrówka jest wyłączony z gry, do akcji wkracza więc numer dwa. Ma na sobie jasną wiosenną kurtkę i śnieżnobiałe, nieskazitelnie czyste adidas. Zbyt czyste.

– Posiedzisz sama przez sekundę? – pytam Eriki.

Pociąg kiwa się na szynach. Maszynista to prawdziwy kowboj. Pomaga mi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Dokąd idziesz? – mamrocze, przysypiając.

– Zapomniałem czegoś – odpowiadam.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie o mnie i Sam – przypomina mi.

– Muszę się nad tym zastanowić – mówię.

– Nie powinieneś się zastanawiać nad takim pytaniem.

Obserwuję nadchodzącego Adidasa. Wyciąga rękę do drzwi w wagonie sąsiadującym z naszym. Lewa dłoń na klamce, prawa wsuwa się do kieszeni kurtki.

Czekam, aż otworzy drzwi po swojej stronie, i wtedy otwieram swoje.

Spotykamy się w przejściu.

Huk wiatru. Ciemność.

Grad ciosów. Większość ześlizguje się po moim boku. Jest niezły. I szybki.

Ja jestem szybszy.

Cztery ciosy w korpus, od pasa do głowy.

Pociąg z hukiem pokonuje zakręt. Siła odśrodkowa ciągnie go do tyłu, a mnie pcha naprzód. Wykorzystuję inercję, żeby wymierzyć potężny prosty w klatkę piersiową. Facet zatacza się do tyłu na maleńkim podeście. Pęka łańcuch ochronny i mężczyzna przechyla się w ciemność.

Piszczą hamulce.

Wyciągam do niego rękę.

Balansuje na jednej nodze, starając się mnie dosięgnąć i uchronić się przed upadkiem. Chwytam róg jego kurtki i usiłuję wciągnąć go z powrotem. Materiał ślizga się między palcami, zaciskam je więc mocniej.

Ten człowiek nie musi jeszcze umierać. Muszę go tylko unieszkodliwić. Muszę mu zadać kilka pytań.

W tunelu wzrasta się hałas. Po drugim torze mknie pociąg w przeciwną stronę.

Liczy się czas.

Wciągnąć go jednym mocnym szarpnięciem. Powinno się udać.

Nie udaje się.

Wysuwa się z kurtki, jego oczy szeroko otwierają się w przerażeniu, palce sięgają mojej twarzy...

A potem spada. Jego ciało obija się o pociągi jak bezwładna lalka, po czym zostaje wciągnięte pod rozpędzony metal na sąsiednim torze.

Stoję sam między wagonami z jego kurtką w rękach. Z wagonu nie dobiegają żadne krzyki, nikt nie pociąga za hamulec bezpieczeństwa.

Zupełnie nic.

Wszystko rozegrało się za szybko.

Adidas zszedł ze sceny, pozostaje więc tylko jeden człowiek.

Niewidzialny.

Oglądam się przez ramię, żeby spojrzeć na Ericę. Drzemie na ławce ze zwieszoną brodą. Zostawiam ją i przechodzę do drugiego wagonu.

W stronę Niewidzialnego.

Biegnę przez wagon. Ludzie unoszą wzrok, a potem szybko się odwracają. Jestem w nowojorskim metrze. Tu każdy wszystko zauważa, ale nikt niczego nie widzi.

Kiedy zbliżamy się do stacji przy Siedemdziesiątej Drugiej, docieram na koniec wagonu.

I dostrzegam ruch w następnym wagonie. Niewidzialny.

Patrzy na mnie. Przelotnie, ale wystarcza.

Po raz pierwszy widzę jego twarz.

Ciemna cera, kręcone czarne włosy i starannie przycięta broda.

Już go widziałem.

Twarze przemykają mi w myślach jak talia kart.

Migają coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zatrzymują się na...

Apple Store.

Widziałem tego człowieka w Apple Store mojego pierwszego dnia w Nowym Jorku, kiedy kupowałem telefon. Co oznacza, że to on szedł potem za mną.

Śledził mnie od początku, niemal od chwili, gdy pojawiłem się w mieście.

To niezbyt dokładne. Być może śledził mnie, kiedy przyjechałem, ale zobaczyłem go dopiero później. Kiedy wszedłem do szkoły.

Kiedy poznałem Sam.

To mało przekonujący związek, może nawet przypadkowy. Poznałem Sam, a potem zaczął mnie śledzić.

Obecność Niewidzialnego może wynikać z innych scenariuszy, ale nie poznam ich bez dodatkowych informacji.

Najszybciej je zdobędę, jeżeli go złapię.

I zamierzam to zrobić.

Teraz.

Kiedy pociąg zatrzymuje się na stacji, biegnę

naprzód, kierując się prosto na Niewidzialnego.

Otwierają się drzwi i wyskakuje z wagonu, uciekając przede mną i przepychając się między ludźmi blokującymi mu drogę. Ja też wypadam ze swojego wagonu na zatłoczony peron.

Rozglądam się wszędzie, próbując go odnaleźć, ale nie potrafię.

Niewidzialny zniknął, rozpułnął się w tłumie. A razem z nim moja okazja.

Wolno idę peronem i wracam do wagonu, w którym śpi Erica.

Do pociągu wlewa się fala pasażerów. Wciskam się na ławkę obok dziewczyny.

Wzdryga się.

– Zimno mi, Benjamin.

Łapie kurtkę, którą mam w rękach. Tę, która należała do Adidasa. Przykrywam nią Ericę.

– Mm. Milutko – mruczy.

Przetrząsam kieszenie, szukając broni. Zniknęła.

– Rewidujesz mnie? – mamrocze Erica.

– Szukam sztyftu do ust – wyjaśniam.

– Szukaj dalej. To bardzo przyjemne.

Przestaję szukać.

Wzdycha, sięga do kieszeni na piersi i wyciąga metkę.

– Nie ma sztyftu. Przykro mi.

Podaje mi metkę.

Nowiutką, z Gap. Tak jak u mężczyzny, którego zabiłem w remontowanym domu.

Ludzie z wojskowym wyszkoleniem przyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych, spieszą się i chcą się wtopić w otoczenie. Co robią?

– Dziwne – mówi Erica. – Nie jesteś typem faceta, który ubiera się w Gap.

– Jestem wieloma typami – odpowiadam.

Przebierają się, udając kogoś innego.

Tak jak ja.

To nie może być zbieg okoliczności. Zmierzamy do tej samej mety, ale mamy różne cele. Mnie chodzi o burmistrza, im chodzi o mnie.

Dlaczego?

Pięć dni, z których dwa już są za mną. Zostają trzy.

Co się stanie za trzy dni?

Erica otula się ciaśniej kurtką. Kładzie głowę na moim ramieniu, a jej miękkie włosy muskają mnie

w policzek.

– Przy tobie czuję się bezpieczna – mówi.

I zapada w sen.

Dopilnowuję, żeby szczęśliwie wróciła do domu,
a potem sam szczęśliwie wracam.

– ZABIJESZ MNIE – BEŁKOCZE HOWARD.

Piątek rano. Dzień trzeci. Szkolny korytarz.

Głos Howarda jest piskliwy, ledwie da się zrozumieć słowa. Ale je rozpoznaję, bo nieraz słyszałem podobne. To słowa osoby błagającej o darowanie życia.

Wkrótce dostrzegam Howarda, którego znów przydybali w kącie korytarza Justin i jego kumpel o tłustej cerze. Justin przypiera Howarda do ściany, przygniatając mu twarz siedziskiem z kulkowym wypełnieniem.

Howard jest w potrzasku.

Na tę myśl czuję jakiś nieprzyjemny skurcz w środku.

– Nie mogę oddychać – krztusi się Howard.

Znów spoglądam w jego stronę. Justin nie zamierza zabijać Howarda, chce mu tylko zmienić życie w piekło, dopóki sam nie postanowi ze sobą skończyć.

Nie mam z tym nic wspólnego. Tak sobie powtarzam.

Chłopaki podobne do Howarda mają po prostu takie życie. Muszą dźwigać to brzemie. Nie mają szans zdecydować o swoim miejscu w świecie. Wybór za nich został już dokonany, może w momencie narodzin, może

skutkiem splotu nieszczęśliwych okoliczności. Kto wie?

Muszą się po prostu pogodzić z konsekwencjami. Albo wymyślić nowego Facebooka i się zemścić.

Tak czy inaczej, to nie moja sprawa. Idę więc dalej.

Justin odsuwa się, jak gdyby zamierzał puścić Howarda, a potem rzuca się całym ciężarem ciała na siedzisko. Howard z łomotem wali głową w ścianę.

W pobliżu nie ma Sam. Nie ma nikogo.

Oprócz mnie.

Niech to szlag.

Odwracam się i ruszam w ich stronę.

– Co jest? – pytam na tyle głośno, żeby słyszano mnie w całym korytarzu.

Justin obraca do mnie głowę, ale nie przestaje przygniatać Howarda. Jego kumpel o tłustej cerze robi krok naprzód, zastępując mi drogę.

– Pilnuj swojego nosa – radzi.

– Pewnie powinienem – mówię. – Pewnie tak. Ale nie zamierzam.

Tłusty chichocze. Z jego warg odrywa się kropelka śliny.

Za mniej więcej minutę może się stać coś, po czym

przez sześć tygodni będzie musiał pić przez słomkę.

Ale nie chcę nikomu robić krzywdy. Jeżeli nie muszę.

Wybór.

Próbuję wystąpić w roli rozjemcy. Zacząć od mniej agresywnej postawy.

– Wystarczy, chłopaki. Co wy na to?

– Co wy na to? – przedrzeźnia mnie Tłusty.

Zły ruch.

– Słomka czy kule? – pytam go.

– Co to znaczy?

– Będziesz tego używał przez najbliższe sześć tygodni. Daję ci wybór.

Wybucha śmiechem.

– A słomka do czego? – pyta.

– Nieważne.

Łamię mu kostkę.

Właściwie nie łamię. Powoduję zwichnięcie.

Robię to jednym ruchem. Opuszczam obcas pod określonym kątem, a resztę robi za mnie ciężar ciała i siła grawitacji. Tłusty pada na podłogę jak zburzony budynek i wybucha płaczem.

– Co jest, do... – mówi Justin.

Nie udaje mu się dokończyć, bo zadaję mu cios z boku, odrywając go od Howarda i przewracając na ziemię.

Powstaje przekładaniec. Na samym dole podłoga, na niej siedzisko z poduchy, potem Justin i ja z kolanem wbitym w jego plecy.

– Zostawicie Howarda w spokoju – mówię.

– Akurat – protestuje Justin. – To świr. Nie znasz tej historii.

– Jaki sport uprawiasz? – pytam.

– Gram w piłkę nożną.

W przypiływie wielkoduszności oszczędzam jego stopy.

Łamię mu nadgarstek.

Właściwie nie łamię. Przeprostowuję.

– Kuuuurwa...! – krzyczy i przewraca się na bok, ściskając uszkodzoną łapę.

Howard przygląda się temu z ustami otwartymi ze zdumienia.

– Idziemy – mówię do niego.

– A co z tymi? – pyta.

– Rozrabiali i posunęli się za daleko. Zgadza się,

chłopaki?

Justin jęczy i kiwa głową. Tłusty ciągle płacze.

– Nie przejmujcie się – uspokajam ich. – Poskładają was na oddziale ratunkowym.

Ich obrażenia mogą być skutkiem walki zapaśniczej, która wymknęła się spod kontroli. Zadbalem o to.

Zabieram stąd Howarda.

– Dlaczego mi pomogłeś? – pyta.

Zastanawiam się nad tym samym. Po co postanowiłem się w ten sposób narażać? Po co w ogóle się narażałem?

Zrobiłem głupstwo. Cholerne głupstwo. Ale jednocześnie towarzyszyło temu miłe uczucie. Przede wszystkim tego nie potrafię zrozumieć.

– Nie wiem – wyznaję Howardowi.

I to prawda. Ostatnio zdarza się wiele podobnych rzeczy. Robię coś, nie wiedząc dlaczego, z powodów, których nie do końca pojmuję.

– Wszystko jedno, i tak jestem twoim dłużnikiem.

Skręcamy do głównego korytarza. Widzę, jak uczniowie rozstępują się na nasz widok, nie chcąc podchodzić za blisko Howarda. Cały czas ma wokół siebie strefę zamkniętą o promieniu około pół metra.

- Masz wielu wrogów – zauważam.
- Całą szkołę – przyznaje.
- Co takiego zrobiłeś?
- Jestem dziwny.
- Wielu ludzi jest dziwnych, ale nie nienawidzi ich przez to cała szkoła. Co to za historia, o której mówił Justin?
- Przyłapano mnie na czymś... – mówi Howard i głos mu zamiera.
- Co zrobiłeś, Howard?
- No dobra, bawiłem się małym. W bibliotece. Jeszcze w dziewiątej klasie.
- Patrzy w ziemię.
- Faktycznie żenująca sytuacja – zgadzam się. – Ale chyba nie jesteś pierwszym, który szukał happy endu w bibliotece.
- Jeżeli opowiem ci wszystko, może już nigdy nie będziesz się chciał do mnie odezwać.
- Przecież wyrzucono mnie z Choate, pamiętasz?
- Howard kiwa głową.
- Kiedy mnie przyłapali, miałem książkę – mówi.
- Czytałeś?

– Nie, pocierałem się nią. *Wściekłością i wrzaskiem.*

– Brandzlowałeś się Faulknerem?

– Uwielbiam klasykę.

Z trudem powstrzymuję śmiech.

– Potem przejrzeni wszystkie półki. Większość lektur starszych klas miała sklezione kartki.

– Dziwię się, że ciągle chodzisz do tej szkoły.

– Zostałem zawieszony. Opinia psychologiczna i tak dalej. Lekarz stwierdził, że w ten sposób okazałem pogardę wobec systemu edukacji.

– A ty co twierdzisz?

– Twierdzą, że starsze klasy to gnoje. W każdym razie administracja pozwoliła mi wrócić, pod warunkiem stałej, obowiązkowej kontroli psychologa. W papierach napisali, że przeszedłem załamanie nerwowe jako ofiara przemocy, bo się nade mną znęcano. Dzisiaj wystarczy wspomnieć o „znęcaniu się”, a możesz robić prawie wszystko, czego sobie życzysz.

– Czyli zostałeś w szkole.

– To był największy błąd, który w życiu popełniłem – oznajmia, wskazując korytarze. – Myślałem, że ludzie w końcu zapomną, ale nie zapomnieli.

– Niektóre błędy takie właśnie są – mówię.

– Jakie? – nie rozumie Howard.

Myślę o swoim pierwszym dniu spędzonym na szkoleniu i o wzroku Matki patrzącej na mnie zza biurka.

– Trwałe – wyjaśniam.

Howard przystaje.

– Skoro rozmawiamy szczerze, mogę ci coś powiedzieć? – pyta.

Przytakuję skinieniem głowy. Podchodzi bliżej i zniża głos do szeptu.

– Wiem, że nie jesteś uczniem – mówi.

– Nie jestem?

Przyglądam się twarzy Howarda. Wygląda na przestraszonego.

– Nie takim jak reszta – dodaje.

Kładę mu rękę na piersi i wpycham go w drzwi męskiej toalety.

TOALETA JEST PUSTA.

Pcham Howarda, dopóki nie przypieram go do ściany. Przytrzymuję go za materiał koszuli.

– Co ty wygadujesz, Howard?

– Nie sądzę, żebyś chodził do Choate – mówi. – A jeżeli chodziłeś, to nie po to, żeby się uczyć.

– Co innego miałbym tam robić?

– Zabijać ludzi.

Mogę to skończyć w piętnaście sekund. Wystarczy nacisnąć tętnicę szyjną Howarda, nie zostawiając na niej nawet sińców.

– Po co miałbym zabijać ludzi? – pytam.

– Bo jesteś wampirem – wyjaśnia Howard.

Nieruchomieję i puszczam jego koszulę.

– Wampirem?

– Obserwuję cię – mówi Howard. – Jesteś cichy. Masz w sobie dziwną energię. Czasami jakby znikasz. I jesteś silniejszy niż ktokolwiek inny. Dowaliłeś tym dwóm, jak gdyby to była dla ciebie bułka z masłem.

Wiedziałem, że to błąd.

– Nie istnieje coś takiego jak wampiry – tłumaczę.

– Mnie to nie przeszkadza, ale proszę, zrób ze mnie wampira, Ben. Będę słabym wampirem. Nie szkodzi. Wystarczy mi, że będę silniejszy od tych gnojków, żebym się mógł bronić.

– Rozmowa skończona – informuję go.

Zawracam do drzwi toalety.

– Nie zostawiaj mnie w tej szkole! – woła.

Zatrzymuję się i w zdenerwowaniu pocieram czoło.

– Przecież wiesz, co się stanie – ciągnie. – Tamci zaczekają, aż wyjdiesz ze szkoły, a potem z zemsty mnie zabiją. Nie będzie cię już, więc mnie nie obronisz.

– Nic na to nie poradzę – mówię.

– Możesz mnie wziąć ze sobą.

Właśnie dlatego unikam wszelkich związków z ludźmi. Są skomplikowani. Chcą ode mnie rzeczy, których nie mogę im dać.

– Nienawidzę tej szkoły – mówi Howard. – Tu nie ma dla mnie życia.

– Będzie coraz lepiej – sprzeciwiam się. – Nie widziałeś tych klipów w sieci ¹?

Naprawdę będzie coraz lepiej? Dla Howarda? Dla mnie?

Nie jestem pewien.

– Mogę ci się przydać – zapewnia mnie Howard. –
Potrzebujesz pieniędzy?

– Mam mnóstwo pieniędzy.

– Mogę się postarać, żebyś miał same piątki.

– Nie chcę piątek. Howard, jak potrafisz to wszystko
zrobić?

– Mówiłem ci, znam się na komputerach.

Przypominam sobie Howarda siedzącego wczoraj
przed komputerem, jego palce śmigające z zawrotną
prędkością po klawiaturze. Pomyślałem, że to po prostu
samotny chłopak z talentem do komputerów. Ale jest
kimś więcej.

– Naprawdę jesteś hakerem.

Kiwa głową.

– Umiem włamywać się na strony. Umiem wykasować
ci tożsamość i stworzyć nową.

Ta wiadomość mnie niepokoi. Nie wiem, jak
skomplikowana jest moja przykrywka w sieci. Na pewno
jest odporna na zwykłe przeszukanie, ale czy wytrzyma
poważną analizę przeprowadzoną przez maniakalnego
hakera obdarzonego nieprzeciętnymi umiejętnościami?

Howard jest dla mnie niebezpieczny.

Albo pożyteczny.

Myślę o wczorajszym wieczorze, o swojej bierności wobec burmistrza, o swoich rozważaniach na temat winy i niewinności.

A jeżeli mógłbym udowodnić, że burmistrz jest winny?

Zrozumiałbym wtedy, po co mnie tu przysłano, a to, co się dzieje z Sam, nie miałoby takiego znaczenia. Rozwiąłoby to moje wątpliwości.

Problem: nie wolno mi pytać, dlaczego mnie przysyłają.

Nie mogę się zwrócić do Programu z prośbą o informacje tego rodzaju. Jedyne sposoby to zbuntować się i znaleźć informacje na własną rękę.

Ale w ten sposób zdradziłbym wszystkie zasady wpojone mi podczas szkolenia.

Nie zrobię tego.

Wibracja mojego telefonu sygnalizuje nadejście zaszyfrowanej wiadomości od Ojca. Trzy znaki:

Wygląda to tak, jak gdyby ktoś przypadkowo nacisnął

za dużo razy klawisz, ale w rzeczywistości to kod. Polecenie natychmiastowego i koniecznego kontaktu.

Wczoraj wieczorem nie dzwoniłem, ponieważ chciałem zyskać na czasie. Przypuszczałem, że dzisiaj już będzie po wszystkim i będę miał dobre wiadomości.

Niestety stało się inaczej.

– Musimy o tym pogadać innym razem – mówię do Howarda.

Prowadzę go do wyjścia.

– Pomyślisz o tym, żeby mnie zabrać ze sobą? – pyta.

– Pomyślę.

Powiem i zrobię wszystko, żeby go stąd wyprowadzić.

– Jestem twoim dłużnikiem, Ben. Nie zapomnę o tym.

Wypycham go z toalety i zamykam za nim drzwi.

Potem dzwonię do Ojca i czekam, aż się odezwie.

– Nie oddzwoniłeś wczoraj wieczorem – mówi.

– Byłem zajęty, tato. Przepraszam.

– Zajęty w dobrym czy złym znaczeniu?

– Jestem teraz w szkole, więc nie mogę się wdawać w szczegóły.

– Wiem, gdzie jesteś – odpowiada.

Skąd wie?

Zerkam na drzwi kabiny. Nie ma za nimi nikogo. Patrę na sufit i listwy, szukając śladów wiercenia i otworków, za którymi mogą się kryć kamery.

– Wiem, gdzie teraz jesteś – ciągnie Ojciec – i wiem, gdzie byłeś wczoraj wieczorem. Bawiłeś się, chociaż powinieneś odrabiać zadanie.

– Było inaczej.

– W takim razie powiedz, co ci przeszkodziło w odrobieniu zadania.

– Komplikacje.

Komplikacją jest Sam.

Nie, wszystko komplikuje moja reakcja na Sam. I moja reakcja na jej ojca.

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu – mówię.

– Skoro o tym mowa: nastąpiła pewna zmiana. Musisz oddać zadanie do jutra.

Do jutra?

Oznacza to, że mam cztery dni zamiast pięciu.

– Nie rozumiem.

– Sprawa nie podlega dyskusji – ucina Ojciec. – Dostałem wiadomość i przekazuję ci ją. Rozumiemy się?

– Oczywiście.

– Mam się spodziewać następnych komplikacji?

W cyfrowej przestrzeni między nami zapada cisza.

Nadaję głosowi chłodny, profesjonalny ton.

– Żadnych – oświadczam.

– Właśnie to chciałem usłyszeć – mówi i kończy rozmowę.

Jutro.

Czyli został mi tylko jeden dzień, żeby dostać się do burmistrza i skończyć zadanie.

Niepokojąca myśl, ale przychodzi po niej jeszcze bardziej niepokojąca:

Jeden dzień do zakończenia zadania oznacza, że został mi tylko jeden dzień z Sam.

1. „It Gets Better” (będzie coraz lepiej) to tytuł i przesłanie internetowej kampanii społecznej adresowanej do młodych ludzi, którzy padają ofiarą przemocy z powodu swojej orientacji seksualnej czy tożsamości płciowej [przyp. tłum.]. [↵](#)

SZYBKO BIEGNE.

Na wuefie mamy zajęcia z lekkoatletyki i kilkoro uczniów przekonało nauczycielkę, żeby pozwoliła nam biegać na zewnątrz. Sam i Erica są przede mną, na czele całej grupy. Erica biegnie jako pierwsza, mocno pracując nogami, które są krótkie i silne jak u gimnastyczki. Tuż za nią widzę smukłą i piękną sylwetkę Sam. Biegnie dłuższym krokiem, a jej włosy związane w koński ogon podskakują na ramionach.

Jeszcze tylko jeden dzień z Sam.

Ogląda się, patrząc w moją stronę, ale unikam jej wzroku.

Od wczorajszego wieczoru, gdy uciekłem z apartamentu burmistrza, jeszcze nie rozmawialiśmy. Zauważyłem, że stronię od niej w klasie, patrząc w przeciwnym kierunku, kiedy się do mnie odwraca. Nawet teraz wbijam wzrok w ziemię, żeby nie napotkać jej spojrzenia.

Nie znam tego człowieka, który unika dziewczyny, bo nie wie, co jej powiedzieć. Nie znam tego rozkojarzonego chłopaka, który się gryzie, który

niepotrzebnie podejmuje ryzyko.

Biegając na czele, Sam znów ogląda się za siebie.

Ma parę pytań. To jasne.

Ja też mam pytania. Różne.

Na razie biegnę przez Central Park, ciesząc się, że jestem w ruchu. Gdybym mógł, pobiegłbym szybciej, wyprzedzając tych wszystkich ludzi, uciekając od wszystkich wątpliwości, żeby zostawić je daleko w tyle i znów poczuć się sobą.

– Myślisz, że w tym roku znowu wygrasz mistrzostwa dupków na dziesięć kilometrów?

To Darius. Galopuje ciężkim krokiem obok mnie, tłukąc podeszwami adidasów w betonową ścieżkę.

– Przestań – mówię.

– Nie, nie przestanę. Myślisz, że jak poczęstujesz mnie drinkiem na imprezie, to dostaniesz pozwolenie, żeby się uganiać za naszymi kobietami?

Patrzy na Sam i Erikę daleko przed nami.

– Co z tobą, Darius? Czepiasz się mnie od pierwszego dnia.

– Wiesz, ilu widziałem chłopaków, którzy próbowali się przystawiać do Sam?

– Może wstąpisz do tego klubu i sam spróbujesz?
Będziesz miał większy szacunek do siebie.

Twarz mu czerwienieje.

– Gdyby ci na niej zależało, dałbyś jej spokój.

Patrzę na niego. Mówi serio.

– Dlaczego powinienem jej dać spokój?

– Nie powiem.

– Zdradź mi coś. Pomóż mi zrozumieć.

Udaję, że jestem po jego stronie i próbuję razem z nim znaleźć rozwiązanie.

– Komplikujesz jej życie, chociaż już jest skomplikowane.

– Dlaczego jest skomplikowane?

– Z powodu tego izraelskiego dupka.

– O czym rozmawiacie, chłopaki? – pyta Sam.

Zwolniła, żeby się z nami zrównać.

Zerkam na Dariusza. Ostrzega mnie ledwie zauważalnym ruchem głowy.

– O tym, o czym zawsze rozmawiają chłopaki – odpowiada.

– Czyli o sporcie – domyśla się. – I o swoich rozporkach.

– Trafiony, zatopiony – mówię.

Erica zauważa nas i też zwalnia kroku.

– Byliście już przesłuchani przez administrację? –
pyta.

– Po co? – dziwię się.

– Nie słyszeliście? Justin i jego kumpel zaczęli się
dzisiaj bić w korytarzu i mocno się poturbowali.
W szkole pytają, czy ktoś coś widział.

– Ja wszystko widziałem – oznajmiam.

– Naprawdę? – dziwi się Erica.

– Nawet więcej niż widziałem. To ja dosunąłem im
obu.

Dziewczyny wybuchają śmiechem.

– Akurat – mówi Darius.

Zbliża się do mojego boku i w biegu uderza mnie
biodrem. Nie za mocno. Tylko po to, żeby pokazać, o co
mu chodzi.

Potykam się, jak gdybym od ciosu stracił równowagę.

– Faktycznie, twarazel z ciebie – mówi.

Śmieje się i wybiega do przodu. Erica patrzy na Sam,
a potem na mnie.

– Zaczekaj, Darius – woła i rusza, żeby go dogonić.

Teraz tylko Sam i ja biegniemy blisko końca grupy.

– Mogę biec koło ciebie czy dalej się do mnie nie odzywasz? – pyta Sam.

– A umiesz biec cicho?

Uśmiecha się.

– Co ci się wczoraj stało, Ben?

– Źle się poczułem. Chyba coś mi zaszkodziło.

Miałem nadzieję, że ją rozbawię, ale sztuczka nie działa.

– Nie wierzę – mówi. – Myślę, że uciekłeś.

– Dlaczego miałbym uciekać?

– Właśnie to próbuję zrozumieć.

Mija nas nauczycielka.

– Trzymajcie się grupy, dobrze? – prosi. – Nie chcę nikogo zgubić w parku.

Machamy do niej, a ona zostawia nas w tyle.

– Jestem już zmęczona – mówi Sam.

Patrzę na jej nogi, gibkie od regularnej gimnastyki. Nie ma mowy, żeby zmęczyła ją taka lekka przebieżka. Kiedy zwalnia, robię to samo, żeby dotrzymać jej kroku. Biegniemy teraz na szarym końcu stawki.

– Mam chyba jakiś skurcz...

Zaczyna kuleć, a potem się zatrzymuje. Reszta grupy biegnie dalej.

– Mogę coś zrobić? – pytam.

– Spróbuj mnie dogonić – odpowiada i rusza pędem boczną ścieżką, znikając mi po chwili z oczu.

Skurcz. Akurat.

Gnam za nią.

Z OBU STRON PRZEMYKAJĄ ROZMAZANE KONTURY DRZEW.

Sam jest szybka, znacznie szybsza, niż się spodziewałem. Z bocznej ścieżki skręca w wydeptaną dróżkę, a potem między drzewa, nie sygnalizując żadnego ze swoich manewrów. Ledwie mogę za nią nadążyć.

Nie chodzi o to, że biega szybciej ode mnie. Po prostu lepiej zna to miejsce. Można powiedzieć, że ma przewagę własnego boiska. Nieoczekiwanie zmienia kierunek, skręcając w ścieżki, których nie widzę, dopóki nie podbiegnę bliżej. Między drzewami miga mi tylko jej sylwetka.

Miga, a potem przestaje.

Bo zniknęła.

Zatrzymuję się i nasłuchuję jej kroków oddalających się w głębi parku, usiłując zdecydować, w którą stronę mam biec. Jakiś dźwięk dobiega z lewej, gdzie drzewa rosną tak gęsto, że nie dociera tam słońce.

Waham się przez chwilę, po czym schodzę ze ścieżki.

Kluczę między drzewami, przystając co kilka kroków,

żeby usłyszeć Sam.

Nie dochodzi do mnie żaden odgłos oprócz odległego szumu samochodów za parkiem.

Zatrzymuję się i rozglądam.

Zgubiłem się.

Zastanawiam się, czy nie zawrócić, zostaję jednak tam, gdzie jestem. Kieruję energię na zewnątrz.

Wyczuwam jej obecność daleko z lewej.

Ruszam w tę stronę, przedzieram się przez gęstwinę i wychodzę na polankę. Przede mną stoi pomnik, gigantyczny kamienny obelisk zakończony szpicem u góry.

Sam czeka obok niego, uśmiechnięta i zdyszana.

– Znalazłeś mnie – mówi. – Jestem pod wrażeniem.

– Co to miało być?

– Przez cały dzień przede mną uciekasz – wyjaśnia. – Chciałam odwrócić sytuację.

– Dlaczego?

– Daj spokój, Ben. Co się naprawdę wczoraj stało?

– Trochę się pogubiłem.

– W czym?

Myślę o mnie i Sam w łazience wczoraj wieczorem,

o jej ustach parę centymetrów od moich.

– W swoich uczuciach.

Uśmiecha się.

– Czyli coś do mnie czujesz.

Odwracam się od niej. Okrążam pusty plac, oglądając pomnik i chcąc trochę odetchnąć.

– Co to za miejsce? – pytam.

– Nazywa się Iglica Kleopatry – odpowiada.

Patrzę na pomnik za jej plecami, zielonoczarny kamienny obelisk wznoszący się ku niebu.

– Najstarszy pomnik w parku – dodaje. – I chyba najstarszy w Nowym Jorku.

– Co jest na nim napisane?

– Egipskie hieroglify. Nazywa się Iglica Kleopatry, ale z Kleopatą nie ma nic wspólnego. Powstała tysiąc lat przed jej panowaniem. Czasem tu przychodzę, kiedy chcę pomyśleć. To moje prywatne miejsce.

– Teraz o nim wiem.

– Znasz moje wszystkie prywatne miejsca – mówi z szerokim uśmiechem.

– Jeszcze nie.

Obchodzę obelisk dookoła. Kamień się kruszy,

wystawione na działanie żywiołów hieroglify blakną.

– Mam podwójne obywatelstwo, wiedziałeś o tym? – pyta Sam. – Może dlatego lubię ten pomnik. Coś obcego wepchniętego w sam środek miasta. Trochę jak ja.

Niebo pociemniało i zaczyna wiać. Sam podchodzi i staje obok mnie.

– Zastanawiasz się czasem, gdzie jest twoje miejsce? – pyta. – Jak gdyby los popełnił błąd i rzucił cię tam, gdzie nie powinno cię być?

Myślę o swoich prawdziwych rodzicach. O swoim pierwszym życiu.

– Czasami o tym myślę – potwierdzam.

Między zadaniami. Nigdy podczas zadania.

I nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem.

Sam w zamyśleniu patrzy na iglicę.

– Przez chwilę bałam się, że ty i Erica pasujecie do siebie, ale im lepiej cię poznaję, tym mniej się tego obawiam.

Chcę ją zapytać o więcej, ale się powstrzymuję. Został mi tylko jeden dzień, a wciąż daję się wciągać w te rozmowy.

Muszę zaskoczyć teraz Sam, zmienić temat. Wrócić

do jej ojca. Do przyszłości.

W powietrzu wisi coś ważnego i muszę wiedzieć, co to jest.

– Twój ojciec wszystko mi powiedział – wypalam.

Sam zatrzymuje się i ogląda na mnie.

Blefuję, ale ona o tym nie wie.

– Dlaczego miałby ci powiedzieć? – pyta.

– Bo martwi się o ciebie.

To akurat prawda. Nie wiem, dlaczego się martwi, domyślam się jednak, że Sam wie.

– Zaproponowano mu, żeby został specjalnym wysłannikiem prezydenta na Bliski Wschód – mówi.

Siada na ziemi u stóp obelisku.

Myślę o Niewidzialnym, o jego człowieku, który mówił po arabsku. Czy to możliwe, że burmistrz jakoś z nimi współpracuje? Dlatego mnie tropią?

– Zgodził się? – pytam.

– Jeszcze nie. Rozważa możliwości. Radziłam mu, żeby wrócił do firmy, ale twierdzi, że tego, co w życiu zarobił, starczyłoby na dziesięć razy dłuższe życie. Chce zostać w służbie publicznej.

– Zdaje się, że będzie mógł to zrobić na stanowisku

wysłannika.

– A to mi zrujnuje życie.

– Dlaczego ma ci to zrujnować życie?

– W Izraelu zdarzyło się dużo złego, Ben. Nie chcę tam wracać.

Na czoło spada mi kropla deszczu.

– Zaczyna padać – zauważa Sam. – Lepiej wracajmy do szkoły.

Patrzy w niebo. Jest już zachmurzone i coraz mocniej wieje.

– A może... gdzie mieszkasz? – pyta.

– Na Dziewięćdziesiątej Ósmej.

– Szkoła jest bliżej.

– Fakt – mówię, gdy pojedyncze krople przechodzą w mżawkę. – Ale tak czy inaczej zmokniemy.

– Zapraszasz mnie do siebie?

– Na to wygląda – mówię i ruszam przed siebie.

Przez sekundę niepokoję się, że nie pobiegnie za mną. Wkrótce jednak słyszę za sobą tupot jej stóp na mokrej ziemi. Sam dogania mnie chwilę później.

– Tym razem nie uciekniesz – informuje mnie.

– Nawet nie próbowałem uciekać – odpowiadam.

Biegniemy razem przez deszcz, zmierzając na północ,
przeskakując kałuże i klucząc między samochodami.

W MOIM SALONIE SAM WYCIERA WŁOSY RĘCZNIKIEM.

Przemokłam do suchej nitki – skarży się. – Masz jakiś szlafrok czy coś w tym rodzaju?

Stoję i patrzę na jej mokre ubranie, które klei się do ciała.

– Hej? – ponagla mnie.

– Przepraszam. Zaraz ci coś znajdę.

Nie wiem, czy mam szlafrok, ale przeglądam zawartość szafy w sypialni i znajduję go na wieszaku na ścianie. Program myśli o wszystkim.

Nie o wszystkim. Zostawiając mi szlafrok, nie pomyśleli o tej sytuacji.

Wracam do salonu i widzę, że pali się ogień w gazowym kominku. Sam suszy się, stojąc przed nim.

– Strasznie zmarzłam – mówi.

Wyrywa mi z rąk szlafrok.

– Odwróć się – rozkazuje.

– Łazienka jest zaraz za...

– Nie potrzebuję łazienki – przerywa mi.

Gestem palca każe mi się odwrócić.

Odwracam się do ściany, a Sam rozbiera się za moimi plecami.

– Myślałem o lekcji historii europejskiej mojego pierwszego dnia – mówię przez ramię.

– To było dawno.

– Ledwie trzy dni temu.

– A wydaje się, jakby dziesięć lat.

Słyszę, jak mokre rzeczy spadają na podłogę.

– O czym właściwie myślałeś? – pyta Sam.

– Zastanawiałem się, dlaczego tamtego dnia odezwałaś się do mnie po lekcji.

– Coś w sobie miałaś. Chciałam wiedzieć, kim jesteś.

– Chcesz wiedzieć, kim są wszyscy nowi uczniowie?

– Tylko ci fajni – mówi. – Możesz się już odwrócić.

Odwracam się, a Sam przybiera pozę modelki. Odrzuciła włosy do tyłu, mocno ścisnęła szlafrok w pasie i ma gołe nogi.

– I co o tym myślisz? – pyta.

– Myślę, że częściej powinnaś nosić szlafrok.

Parska śmiechem. Jej stopy oświetlają drgające płomienie.

Chodzi po pokoju. Dotyka jednego ze zdjęć

ustawionych na stoliku obok kanapy.

– Mówiłeś, że masz niewiele zdjęć – mówi.

– Parę mam.

– To twoi rodzice? – pyta.

– Podobno. Nigdy ich nie widuję.

– Szczęściarz.

– Myślałem, że masz prorodzicielskie poglądy.

– Nabrałam cię.

– Przecież masz fantastyczne relacje z ojcem.

– Mam. Oficjalnie.

– Prywatnie też. Widziałem was.

– Jeżeli nas widziałeś, to nie była sytuacja prywatna, nie? Myślisz, że jeżeli znajdziesz się w domu polityka, to widzisz prawdziwą osobę? To dość naiwne, Ben.

– Wydaje mi się, że jesteś zła.

– No... mam swoje powody.

Przywołuje na twarz uśmiech, ale wygląda to tak, jakby wkładała maskę. Widziałem to nieraz u ludzi występujących publicznie. Prawdziwe emocje są szybko ukrywane pod fałszywymi.

Widziałem to też u siebie. Ćwiczyłem tę umiejętność podczas szkolenia.

Ostatni raz dotyka zdjęcia moich rodziców, a potem zwiedza dalej.

– Twój dom prawie nie wygląda na zamieszkania – mówi.

– Mamy świetną firmę sprzątającą. Poza tym spędzam tu mało czasu.

– Biedny Benjamin. To pewnie trudne być samotnie uwięzionym w dużym mieszkaniu.

– Nie jestem uwięziony – nie zgadzam się.

– Oboje jesteśmy więźniami życia, którego nie wybieraliśmy.

– Mów za siebie.

Przyglądam się jej, jak chodzi po pokoju, oglądając wszystko.

Nie podoba mi się, że poświęca mieszkaniu tyle uwagi, jak gdyby prowadziła śledztwo. Czy tak to wygląda, kiedy dziewczyna przychodzi do ciebie pierwszy raz?

– Wiem wszystko o twoim życiu – mówi.

– Co takiego wiesz?

Obserwuję jej twarz w migotliwym blasku kominka, szukając w niej oznak jakichś groźnych zamiarów.

– Wiem, że jesteś więźniem systemu – ciągnie. –
Więźniem tego kraju i swojego myślenia o nim. Jesteś
nastolatkiem i to też cię ogranicza. Nie poznałam twoich
rodziców, ale jeżeli wysłali cię do takiej szkoły jak
nasza, to znaczy, że jesteś więźniem ich oczekiwań
wobec ciebie.

– To nieprawda – protestuję.

– Powiedz mi o jednej rzeczy, którą zrobiłeś, o jednej
decyzji, którą podjąłeś samodzielnie.

W przeciwieństwie do zwykłych nastolatków, sam
podejmuję wszystkie decyzje. Nikt mi nie mówi, co mam
jeść, kiedy chodzić spać, co mogę i czego nie mogę
robić w weekend. Nie mam rodziny, której musiałbym
się opowiadać, nie mam młodszych braci, którymi
musiałbym się opiekować, nie mam krewnych, do
których musiałbym dzwonić w urodziny. Nie muszę się
przejmować stopniami, nie martwię się, czy mnie
przyjmą do college’u ani co będę robił, kiedy będę
starszy. Co dzień cieszę się całkowitą wolnością.

W większej skali jednak wszystko, co robię, jest
zadaniem. Moim życiem rządzi Program.

Im więcej o tym myślę, tym bardziej to, co uważam za

wolność, w rzeczywistości wydaje się jej przeciwieństwem. Moje życie nigdy nie należało do mnie, w każdym razie nie od dnia, gdy w szkole pojawił się Mike.

– Widzę, że się zastanawiasz i już wiesz, że mam rację, prawda? – mówi Sam. – Nigdy sam nie podjąłeś żadnej decyzji.

Nagle mnie oświeca.

– Jest jedna decyzja, którą podjąłem samodzielnie – mówię.

– Jaka?

– Decyzja, żeby cię pocałować.

Milknie. Ale tylko na sekundę.

– Kiedy o tym zdecydowałeś?

– Właśnie teraz.

– Och, doprawdy? Mam prawo do głosu w tej sprawie?

– Zagłosowałaś za – mówię i podchodzę bliżej. Nasz pierwszy pocałunek, długi i leniwy, sprawia, że dreszcze przebiegają mi po skórze.

– Rany – mówi Sam. – Jeżeli tak rozumiesz demokrację, to popieram.

Przyciąga mnie i całuje mnie znowu, bardziej namiętnie niż za pierwszym razem.

Przerywamy, żeby nabrać powietrza, ale nasze ciała nie odrywają się od siebie.

Patrzę w oczy Sam i nagle przypomina mi się pierwsza dziewczyna, ta ze sklepiku. Ta o niebieskich oczach.

Potem będziesz myślał, że mnie kochasz, powiedziała. Ale będziesz się mylił.

– Benjamin.

Sam szepcze imię. Przez chwilę nie wiem, do kogo się zwraca, ale zaraz sobie przypominam.

To moje imię. Na to zadanie.

Trzymam Sam w ramionach, czując ciepło jej ciała i ust, tak bliskich, że nasze oddechy się mieszają.

– Na moment gdzieś odleciałeś – mówi.

– Boję się do ciebie zbliżyć.

Wyrzucam z siebie tę myśl, której nigdy bym nikomu nie ujawnił.

Sam przeciąga palcami po moich włosach.

– Cieszę się, że mi to powiedziałeś – mówi. – Ja też się boję.

– Dlaczego się boisz?

– Ty pierwszy.

– Nie wiesz o mnie wielu rzeczy – odpowiadam. – Nie wiesz, kim jestem. Po co przyjechałem do Nowego Jorku.

– Wiem więcej, niż ci się wydaje.

– Co wiesz?

Dotyka mojej piersi.

– Wiem, co tu jest – mówi. – Może nic więcej nie ma znaczenia.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Chciałbym, żeby to była prawda, ale chyba tak nie jest.

– A ty? – pytam. – Dlaczego się boisz?

– Nie chcę cię skrzywdzić.

– Jak mogłabyś mnie skrzywdzić?

– Kiedyś już mi się to zdarzyło.

Myślę o nagłówku z „Daily News”, który pokazał mi Howard.

– Skrzywdziłaś kogoś? – pytam.

Potakująco kiwa głową.

– Celowo?

– Nie.

- W takim razie może to się nie liczy.
- Dzisiaj nic się nie liczy. Tak się mówi?
- Chyba tak.

Dotyka mojej twarzy, delikatnie przesuwałec palec po wargach.

- Kiedy wracają twoi rodzice? – pyta.
- Nie ma ich w mieście.
- To się świetnie składa.
- Prawda?

Rozchyła szlafrok i w jednej chwili zapominam o swoich wątpliwościach wobec niej i o niepokojach związanych z burmistrzem, zadaniem, Programem.

Sam ma rację. Dzisiaj nic się nie liczy.
Tylko my.

BURZA JUŻ PRAWIE PRZESZŁA.

Pada lekka mżawka, w której odbijają się światła ulicy.

Sam i ja trzymamy się za ręce. Idziemy blisko siebie, osłaniając się jednym parasolem.

Na całej ulicy trąbią klaksony i rozlega się pisk hamulców.

Z jakiegoś budynku wychodzi portier, trzymając już w ustach niezapalonego papierosa.

Przez kałużę przejeżdża rozpędzona taksówka i odskakujemy, żeby nas nie obryzgała wodą. Na dachu taksówki:

Tam jest dom, gdzie jest <3

Myślę o domu.

Nie o jakimś dalekim domu. Nie o domu z przeszłości ani o domu z wyimaginowanej przyszłości.

Nie o domu, który dał mi Program.

Myślę o tu i teraz. O Sam.

Z Sam czuję się jak w domu.

Z zamyślenia wyrывa mnie nagły błysk światła.

Sam trzyma telefon. Właśnie zrobiła mi nim zdjęcie.

– Co ty robisz? – pytam.

Staram się panować nad głosem, ale słyszę, że się podnosi.

– Tak bardzo nie lubisz zdjęć? – dziwi się.

– Nie jestem fotogeniczny.

Patrzy na ekran telefonu.

– Faktycznie, wyglądasz tragicznie – stwierdza. – Jakbyś przed chwilą wstał z łóżka.

Mógłbym jej wyrwać telefon z ręki. Mógłbym zażądać, żeby skasowała zdjęcie. Mógłbym jej powiedzieć, że to mi naprawdę przeszkadza, że moja była dziewczyna zrobiła mnie w balona i nie chcę, żeby to się powtórzyło.

Mógłbym wysunąć mnóstwo argumentów, ale zabrzmiałoby to dziwnie.

– Po co ci moje zdjęcie? – pytam.

– Zamierzam myśleć o tobie całą noc. Chciałam przy tym na coś patrzeć. Nie masz nic przeciwko temu?

– Chyba nie.

– Chcesz moje zdjęcie? Zgodnie z zasadą wzajemności?

– Nie.

– Nie chcesz zdjęcia? – pyta i posepnieje.

– Mam zdjęcie – mówię i pokazuję na swoją głowę. –
Tutaj. Nie usuniesz go żadnym przyciskiem.

– Ten romantyzm do ciebie nie pasuje.

– Czasem mi się zdarza.

Chowa telefon.

– Widziałam twoją bliznę – mówi. – Przedtem, gdy
zdjąłeś koszulę.

Odruchowo dotykam piersi.

Rana od noża. Myślę o Mike’u i ogarnia mnie złość,
że w takiej chwili pojawia mi się w pamięci twarz
człowieka, który na zawsze odcisnął piętno na mojej
skórze.

– To nic takiego – mówię.

– Jak to się stało?

Przez jej twarz przemyka cień strachu. Jest tylko
ciekawa, czy chodzi o coś innego? Wyczuwam, że
odrobinę się ode mnie odsuwa.

– W dzieciństwie miałem wypadek samochodowy –
wyjaśniam. – Przeszedłem operację.

– Na sercu?

– Nie, serce nie zostało uszkodzone. Chociaż niewiele

brakowało.

– Boli?

– Już nie.

Kładzie mi dłoń na piersi w miejscu blizny, ale tego nie czuję. Skóra jest tam martwa.

– Biedny Benjamin – mówi i przysuwa się bliżej.

Całujemy się w podcieniu budynku kilka skrzyżowań od mieszkania burmistrza.

W jej torebce wibruje telefon. Sam odrywa usta od moich warg.

– Naprawdę muszę to szybko sprawdzić.

Patrzy na ekran i wyraz jej twarzy się zmienia. Nagle poważnieje.

– Robi się późno – mówi. – Powinnam wracać do domu.

Natychmiast wraca myśl o zadaniu.

Jeden dzień. To wszystko, co mi zostało.

– Co robisz jutro? – pytam.

– Muszę pomóc w czymś tacie – odpowiada. – Czeka mnie naprawdę pracowity weekend. Pewnie będziemy się mogli zobaczyć dopiero w poniedziałek.

Będę wracał pamięcią do tej chwili w nadchodzących

dniach, będę widział, jak mówiąc to, patrzy ponad moim ramieniem zamiast spojrzeć mi w oczy.

Będę się zastanawiał, czy powinienem się wtedy sprzeciwić, spróbować ją zmusić do zmiany decyzji.

Teraz jednak nie robię niczego takiego.

– Rozumiem – mówię.

– Zadzwoń, jak będę mogła – dodaje.

Gładzę jej włosy, czując, jak wyślizgują się spod moich palców, gdy Sam odwraca się i rusza do domu.

Kiedy jest już dziesięć metrów ode mnie, wibruje mój telefon.

Dwie wibracje, które powtarzają się dwa razy.

Aplikacja Poker. Karty zostają rozdane.

To Matka.

Zagrywam i mam połączenie.

– Idź do domu – mówi Matka.

I w słuchawce zapada cisza.

MATKA NIGDY NIE DZWONI W TRAKCIE ZADANIA.

Nigdy dotąd tego nie zrobiła.

Popełniłem straszliwy błąd.

Spałem z Sam, odkryłem przed nią całe swoje życie. Odsłoniłem się pod każdym względem.

Popełniłem straszliwy błąd i zostałem przyłapany.

Taka myśl mnie dręczy, gdy pospiesznie wracam do domu. A wraz z nią inna:

Ile Matka wie?

Mógłbym wysunąć argument, że spałem z Sam, żeby się bardziej zbliżyć do burmistrza. Że to był sposób na dotarcie do obiektu. Mogę to wytłumaczyć Matce. Trafić jej do przekonania.

Może opowiem Matce o wszystkim, co się dzieje. O swoich wahaniach. O Niewidzialnym i ludziach, którzy mówili po arabsku. Wspólnie rozwiążemy zagadkę i znajdziemy najlepszy sposób zakończenia zadania.

W momencie, gdy wchodzę do mieszkania, w moim telefonie wyświetla się powiadomienie z Game Center.

Wezwanie od Matki.

Nie ma nic bardziej bezpiecznego od połączenia zabezpieczoną linią. Jest jednak pewien problem. Nadawca i odbiorca to pojedyncze punkty. Bez względu na stopień zaszyfrowania i liczbę serwerów, przez które przechodzi elektroniczny sygnał, każde połączenie pochodzi z jednego punktu.

Dlatego komunikacja z moimi przełożonymi zawsze polega na graniu ról.

Istnieje jednak alternatywna procedura. Korzystają z niej co dzień dzieciaki na całym świecie.

Gry MMORPG. Miejsca spotkań mnóstwa graczy w wirtualnym świecie.

Dziesiątki tysięcy głosów mówiących w tym samym czasie. Tam możemy rozmawiać swobodniej, ale tylko w sytuacjach awaryjnych.

Powiadomienie z Game Center jest dla Matki rodzajem przycisku alarmowego i właśnie go wcisnęła.

Odkładam iPhone'a.

Siadam przed ekranem telewizora w salonie i włączam znajdującą się tam konsolę.

Nakładam słuchawki z mikrofonem. Trzymam

kontroler w pogotowiu.

Otwieram strzelankę „Zombie Crushed Dead!”.

Poziom szósty. Mapa czwarta. „Łowca staje się ofiarą”.

Wybór postaci: kapral marines.

Wybór broni: karabinek szturmowy M4.

Start.

Głos Matki.

– Co ty wyprawiasz? – pyta.

Jest zła.

Nigdy nie słyszałem, żeby Matka straciła zimną krew, i wątpię, by teraz przestała nad sobą panować. To prawdopodobnie sprytny ruch na otwarcie, który ma mnie zaszokować.

Udaje się jej. Mój oddech staje się nierówny, a ściskające kontroler dłonie zaczynają się pocić.

W grze jestem łowcą zombie. Maszeruję przez płonące miasto, mijając opustoszałe budynki, a wokół mnie czają się nieumarli.

– Odpowiedz – żąda Matka.

Jest tylko głosem. Nie wciela się w żadną postać.

Boży głos.

– Nie zakończyłem zadania – mówię. W tym momencie poruszają się usta mojej postaci. – Chciałem powiedzieć, że jeszcze nie zakończyłem.

– Dwa razy byłeś w mieszkaniu burmistrza – zauważa Matka.

– Nie miałem okazji być z nim sam na sam – bronię się. – Scenariusz na to nie pozwolił.

Chwila ciszy.

– Szukasz wymówek? – pyta Matka.

– To realia.

– Wcześniej nic nie mogło ci przeszkodzić.

– Tym razem jest inaczej.

Skrećam za róg ulicy i opróżniam magazynek, strzelając do nacierającej na mnie hordy zombie. Jedna z istot umiera w męczarniach. Rzęzi: „Dlaczego? Dlaczego?”.

– To nie jest zwykłe zadanie – dodaję. – Sama to powiedziałaś. Przekazałaś mi wiadomość, żebym był ostrożny i że tym razem w grę wchodzi nowe czynniki.

Otoczają mnie inne głosy, inni gracze. Gracze z całego świata. Dokuczają sobie nawzajem. Przechwalają się. Blefują. Szukają okazji na seks

z zombie.

– Twierdzisz więc, że to moja wina – mówi Matka. – Dałam ci tak trudną misję, że nie potrafisz sobie z nią poradzić?

– Absolutnie nie – protestuję.

– Co w takim razie przeszkadza ci w zakończeniu zadania?

Nie odpowiadam.

– Twoje zachowanie budzi wątpliwości – oświadcza Matka.

Budzi wątpliwości. Wzdrygam się na dźwięk tych słów.

Jęk zombie odbija się echem od wzgórz otaczających miasto.

– Wiedzieliśmy, że prędzej czy później to się musi stać – mówi Matka.

– To?

– Dziewczyna.

– Nie mam dziewczyny – zapewniam ją.

Horda zombie biegnie prosto na mnie. Robię unik w lewo i potykam się o pień drzewa. Za moment przygniecie mnie ten motłoch.

W ostatniej sekundzie udaje mi się podnieść na nogi.

– Spodziewaliśmy się tego – ciągnie Matka. –
Próbowaliśmy cię nawet na to przygotować. Pamiętasz?

Pierwsza dziewczyna.

Tamtej nocy spaliśmy w jej domu. Pierwszy raz znalazłem się z dala od Programu. Myślałem, że zakochaliśmy się w sobie. Sądziłem, że to normalne, nawet gdyby miało trwać tylko jedną noc.

Nie wiedziałem, że wszystko zaaranżowała Matka.

– Pamiętam – mówię.

– Ale to się stało teraz, podczas tego zadania. Masz dobry gust, ale za grosz wyczucia czasu.

– Nie mam gustu.

– Wydaje ci się, że nie masz, ale masz. Sama cię szkoliłam. Znam cię lepiej niż ty sam.

Jeden z zombie nie jest jeszcze całkiem martwy. Chociaż został przecięty na pół, z niesłabnącym głodem ciągle pełźnie w moją stronę.

Pakuje mu kulę w czaszkę.

– Chciałbym wrócić do domu – mówię.

Nie zamierzałem tego powiedzieć. Słowa padają jakby z ust innego chłopaka. Tego, którego niezbyt

dobrze znam.

– Do domu? – powtarza Matka.

Słyszę zdziwienie w jej głosie.

– Tylko na trochę – mówię. – Żeby was zobaczyć.

Minęły dwa lata, odkąd widziałem kobietę, z którą właśnie rozmawiam. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. W domu, gdzie przeszedłem szkolenie? W innym miejscu? Nawet teraz, gdy szukam jej w świecie zombie, nie mogę jej odnaleźć. Mówię do siebie, do powietrza, do pustego szarego nieba.

– Chcesz nas zobaczyć? – pyta.

– To takie dziwne, że się chce zobaczyć rodziców?

– Nigdy dotąd o to nie prosiłeś.

Rozglądam się po płonącym krajobrazie.

Pusto. Wszędzie pusto.

– Może teraz jest inaczej – mówię.

Na długą chwilę zapada milczenie. Słysząc stukanie okiennicy w oknie pustego domu.

– Martwię się o ciebie – mówi Matka. – Zaczynasz się gubić. To cię mogło przerosnąć. Może powinniśmy cię zabrać ze szkoły.

Przeholowałem. Z tymi pytaniami, z tą

nieprofesjonalną prośbą.

Odkryłem się i grozi mi niebezpieczeństwo.

– Nie – sprzeciwiam się szybko.

Zwalniam oddech, staram się, żeby mój głos brzmiał mocno.

– Chcę zakończyć zadanie – ciągnę. – Tak jak zawsze.

– Rozumiem.

– Powiedziałaś wcześniej, że mnie znasz. Wiesz, do czego jestem zdolny.

Cisza.

– Zadanie się zmieniło – mówi Matka. – Skorygowano obiekt.

– W jaki sposób?

Korygują obiekt w trakcie zadania. To się nigdy dotąd nie zdarzyło.

– Córka. Ona jest twoim nowym obiektem.

– Sam?

– Tak.

– A co z burmistrzem?

– Wypada z gry.

W głowie eksploduje mi gniew. Koniec z uciekaniem. Zamieniam broń na karabin wyborowy M40A5.

– Poradzisz sobie? – pyta Matka.

Myśli kłębią mi się w głowie. Przygryzam mocno wargę, aż czuję w ustach smak krwi. Ból pomaga mi skupić myśli w wąską wiązkę lasera.

– Ze wszystkim sobie poradzę – odpowiadam.

Tam. Na wzgórzach za opuszczonym szpitalem. Jakiś błysk.

Lśniące zielone oczy jak u kota w nocy.

– Odłóż na bok wątpliwości – radzi Matka. –
Wszystkie pytania, które ci przeszkadzają.

Przełączam widok na celownik snajperski.

– Nie masz już czasu – ciągnie Matka. – Weź telefon i zadzwoń do tej dziewczyny.

– Mamo... – mówię, ale urywam. I tak za dużo już powiedziałem.

Szukam jej przez obiektyw snajperskiej lunety.

– Skończ, a wtedy porozmawiamy o twojej wizycie w domu – mówi Matka.

Rozlega się cichy trzask.

– Wierzę w ciebie. – Jej głos powoli cichnie.

Obracam karabin, celując w miejsce, gdzie widziałem zielone oczy.

Zniknęły.

PRÓBUJĘ SIĘ DODZWONIĆ DO SAM.

Włącza się poczta głosowa. Raz, dwa, trzy razy.

Test. Tak Ojciec nazwał to zadanie.

Przypuszczałem, że ma na myśli test moich umiejętności, teraz jednak zastanawiam się, czy nie chodziło o coś innego.

Test mojej lojalności.

Ale to nie ma sensu. Udowodniłem, że jestem lojalny, podczas szkolenia i wykonywania sześciu zadań.

Chyba że...

Chyba że są wobec mnie jakieś wątpliwości.

Czy to właśnie robi Matka – zmienia obiekt zadania, żeby poddać próbie moją wierność?

Nigdy nie miała wobec mnie złych zamiarów. Czasem dopuszczała się okrutnych rzeczy, ale wszystkie służyły tylko temu, żebym stał się silniejszy. Musiała mi dać lekcje, które mi były potrzebne.

Brzytwa Ockhama. Najprostsze rozwiązania są najbardziej prawdopodobne.

Najprostsze rozwiązanie: nie chodzi o test wierności.

To jest zadanie. Koniec i kropka.

Co by oznaczało, że Sam jest winna.

Ale to nie może być prawda. Co takiego mogła zrobić Sam, że znalazła się na celowniku Programu? Misja Programu polega na odnajdowaniu i eliminowaniu wrogów Stanów Zjednoczonych. Nie dziewczyn, które straciły matki, które z powodu decyzji swoich ojców znalazły się w środku jakiegoś politycznego zamieszania.

Burmistrz. To on był pierwotnym obiektem.

Jeżeli uda mi się udowodnić jego winę, to będzie oznaczało, że Sam jest niewinna. I moim obiektem znów stanie się burmistrz.

Jeszcze raz wstukuję numer Sam i po raz czwarty słyszę pocztę głosową. Tym razem zostawiam wiadomość:

– Musimy pogadać. Zadzwoń, jak tylko odsłuchasz.

Jedenasta wieczorem.

Chodzę po salonie, usiłując spojrzeć szerzej na sytuację w tym zadaniu. Jak mam udowodnić, kto jest winny, skoro nawet nie znam zarzutów?

Sam powiedziała, że jutro musi pomóc w czymś ojcu.

Jutro. Ostatniego dnia.

Tu leży klucz. Cokolwiek się dzieje, właśnie przez to skrócono mi limit czasu.

Jak się dowiedzieć, co to jest?

Jest jedenasta wieczorem, piątek. Nie mogę iść o tej porze do domu burmistrza. Sam nie odbiera telefonu. Nie mogę porozmawiać o tym z jej ojcem.

Jestem w kropce.

Ale nagle sobie przypominam.

Nie jestem w kropce. Mam Howarda.

– POTRZEBUJĘ TWOJEJ POMOCY.

Mówię to Howardowi, kiedy dzwonię do niego z koreańskiego sklepiku na rogu. Kupuję dwie jednorazowe komórki i z jednej z nich dzwonię do Howarda. Nie mogę ryzykować i korzystać z iPhone'a, bo Program prawdopodobnie mógłby przechwycić rozmowę.

Gdyby Matka wiedziała, że łamię procedury i zwracam się do kogoś o pomoc w wykonaniu zadania...

Wszyscy znaleźlibyśmy się w niebezpieczeństwie.

W każdym razie Howard nie posiada się z radości, że się do niego odzywam.

Dziesięć minut później jestem w jego pokoju. Na podłodze kłębią się kable komputerowe. Mrugają światełka i szumią wentylatory. Sypialnia ma zapach potu i prądu.

Nie żartowałam, mówiąc, że jest hakerem.

– O co chodzi? – pyta.

– Muszę ci coś powiedzieć i proszę, żebyś posłuchał uważnie i dobrze to przemyślał. Możesz to zrobić?

Twarz mu poważnieje.

– Jasne.

Przez chwilę milczę, myśląc o tym, co zamierzam właśnie zrobić. W trakcie tego zadania przekroczyłem wszelkie granice, ale nigdy nie posunąłem się do czegoś takiego.

Nigdy tak ewidentnie nie złamałem procedur.

To działanie bez precedensu. I bez możliwości odwrotu.

Waham się, zastanawiając się, czy istnieje inny sposób, który być może przeoczyłem.

A potem myślę o Sam. I o swoim limicie czasu.

– Dzisiaj w szkole – zaczynam – powiedziałaś mi, że twoim zdaniem jestem inny. Miałaś rację.

– Wiem – mówi Howard.

– Mam szczególną pracę. Nikt na świecie o tym nie wie.

– Co to za praca?

Jak mam to sformułować?

– Jestem żołnierzem.

– Takim jak w armii?

– Nie w armii. Działam sam.

– Jednoosobowa armia – mówi. – Chcę ci pomóc.

Robię krok w jego stronę.

– Jeżeli mi pomożesz, Howard, to może być dla ciebie bardzo niebezpieczne.

– Jak idę korytarzem w szkole, to też jest dla mnie niebezpieczne.

Tu ma rację.

– Mówię o niebezpieczeństwie w innej skali – tłumaczę. – Wszystko, co dla mnie zrobisz, musisz zachować w tajemnicy. Nikt nie może o tym wiedzieć. Ani Sam, ani Goji.

– Zapowiada się ciekawe – oznajmia z szerokim uśmiechem.

Przypominam sobie początki swojego szkolenia w Programie. Pierwsze zajęcia ze znajomości broni. Pierwsze zajęcia ze sztuki walki.

Też wydawały się ciekawe.

A potem stały się rzeczywistością.

– Stawką jest życie – mówię.

– Czyje życie?

– Sam.

Uśmiech gaśnie mu na ustach. Zza okna dobiega

wycie syreny jadącego ulicą radiowożu.

– Co mam zrobić? – pyta.

– Muszę znać jutrzejszy plan zajęć burmistrza.

– Z tym sobie poradzę.

Wciąż słychać syrenę, której dźwięk powoli zanika w ciemnościach.

Howard łapie klawiaturę i zaczyna w nią stukać.

– Skąd wiesz, gdzie szukać? – pytam.

– Przeglądałem kiedyś informacje z ratusza.

Patrzę na niego.

– Kiedyś bujałem się trochę w Sam – wyjaśnia. – Ale zanim poznałem Goji. Przysięgam.

– Wierzę.

Znowu stuka w klawisze.

– To nie jest takie proste, jak powinno – mruczy pod nosem.

– Co masz na myśli?

– Sprawdziłem oficjalne informacje, a teraz przechodzę do zasobów wewnętrznych – ale jest blokada informacji o terminarzu burmistrza.

– Dlaczego?

– Muszę tylko wejść... ach, wszystko jasne – mówi. –

W mieście będzie premier Izraela. Najpierw jest w Waszyngtonie, gdzie rozmawia o nowej inicjatywie pokojowej, a potem przyjeżdża tutaj na prywatne spotkanie z burmistrzem. Trochę dziwne, co?

Rzeczywiście, wydawałoby to się dziwne, ale premier nie spotyka się z burmistrzem. Spotyka się z następnym specjalnym wysłannikiem. A może będzie próbował przekonać burmistrza, żeby przyjął to stanowisko.

Howard nie musi o tym jednak wiedzieć.

– Wygląda na to, że początkowo planowano spotkanie na niedzielę – mówi Howard – ale w ostatniej chwili zostało przełożone o jeden dzień.

Bingo.

– Dlaczego zostało przełożone?

– Nie bardzo wiadomo. Ale przełożono też przyjęcie – dodaje Howard.

– Przyjęcie?

– Wstęp tylko za zaproszeniami. Jutro wieczorem w Gracie Mansion.

Najwyraźniej termin mojego zadania został przesunięty ze względu na tę zmianę w terminarzu.

Ale dlaczego?

Czemu Program chciał uniemożliwić burmistrzowi spotkanie z premierem?

– To są informacje, o które ci chodziło? – pyta Howard.

Przytakuję skinieniem głowy.

– Dobra robota – dziękuję mu.

Howard jest z siebie wyraźnie dumny.

– Nie było tak źle – mówi.

– Być może będziesz musiał zrobić dla mnie coś innego, trudniejszego.

– Zgoda.

Wyjmuję drugi telefon na kartę.

– Jeżeli będziemy musieli się skontaktować, skorzystamy z tego.

Ruszam w stronę drzwi, ale przystaję.

– Jeszcze jedno – mówię.

Wpisuję nazwisko burmistrza do wyszukiwarki i przeglądam linki, szukając zarchiwizowanego artykułu na temat śmierci jego żony. Znajduję zdjęcie, które oglądałem w bibliotece, to zrobione na pogrzebie matki Sam.

– Pamiętam to zdjęcie – mówi Howard i wzdycha.

– Popatrz na tło za plecami Sam.

Pokazuję żołnierza – tego, który spogląda w stronę Sam, podczas gdy reszta patrzy prosto przed siebie. Tego samego żołnierza, którego widziałem na fotografii w jej sypialni.

– Chcę wiedzieć, kim jest ten żołnierz. Możesz to sprawdzić?

– Do tego nie trzeba być hakerem – odpowiada Howard.

– Co masz na myśli?

– Wiem, kto to jest. To chłopak Sam, Gideon. Służył w Armii Obrony Izraela.

NIE ŚPIĘ.

Leżę w łóżku przez parę godzin, starając się ustalić, jakie mam pole manewru. Którąkolwiek drogę wybiorę, zabrnę w ślepią uliczkę.

Wyszkolono mnie, żebym zbliżył się do obiektu i uzyskał do niego dostęp. Ale nie jestem detektywem. Ta rola wymaga zupełnie innych umiejętności.

Może jednak nie. Może da się w jakiś sposób zastosować do tego moje umiejętności.

Zamiast próbować rozwiązać równanie, rozluźniam się i pozwalam działać swojej intuicji.

Robię to, co zwykle podczas zadania. Kieruję uwagę na zbiór danych i szukam rys w całości, elementów, które nie pasują do reszty.

Blog burmistrza.

Coś z nim chyba nie gra.

Jest prawie druga nad ranem, ale wstaję z łóżka i dzwonię do Howarda. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Nie śpisz – mówię.

– Żartujesz? Nie mogę spać po tym... po tym wszystkim, co mi powiedziałeś.

Dobrze, że Howard się waha. Wie, że nie należy mówić za dużo przez telefon, nawet jeżeli to jest telefon na kartę.

– Burmistrz prowadzi nowy blog – informuję go.

– Sam mi o tym mówiła, kiedy zaczął. Nic ciekawego.

– Widziałem, jak wczoraj robił do niego zdjęcia.

Możesz otworzyć ten blog w swoim komputerze?

Słyszę stukot klawiszy, a sekundę później głos Howarda:

– Widzę tort urodzinowy.

– Coś w nim wygląda dziwnie?

– Różowy lukier. Można by się spodziewać, że burmistrz będzie miał coś trochę bardziej męskiego.

– Lukier był biały – upieram się. – Byłem przy tym.

– Jest jakieś przekłamanie kolorów. Być może to wina mojego monitora.

Następuje chwila ciszy, gdy Howard coś reguluje.

– Ciągłe się nie zgadza – mówi.

– Przyjrzyj się lepiej, dobrze? Coś z blogiem mi nie gra.

– Sprawdzę – odpowiada.

– Jeżeli coś znajdziesz, zadzwoń.

Wracam do łóżka i patrzę na zegar, który pokazuje trzecią, potem czwartą. Każda godzina przybliża mnie do ostatniego dnia.

I do mojego nowego zadania.

Sam.

Wydaje mi się, że nie zasnąłem, ale chyba w końcu musiało do tego dojść, bo budzi mnie łomotanie do drzwi.

Z początku myślę, że to sen, ale gdy otwieram oczy, przez rolety do pokoju sączy się światło.

A łomot nie ustaje.

Natychmiast staczam się z łóżka i ląduję na podłodze, gotów się bronić. Moje ciało robi to odruchowo. Szybka zmiana pozycji, odwrócenie uwagi, podjęcie inicjatywy.

Znów pukanie do drzwi. Natarczywe.

Tylko jedna osoba wie, gdzie mieszkam. Jedna osoba i Program.

Ale Program nie puka.

Podchodzę do drzwi, spodziewając się, że stoi za nimi Sam.

– Ben! – woła czyjś głos.

To Darius.

Otwieram drzwi. Widzę Dariusza, który ciężko dyszy.

– Jak się tu dostałeś?

– Wpuścił mnie twój sąsiad. Sam ma kłopoty. Musisz się z nią zaraz zobaczyć.

– Ona cię przysłała?

– A skąd bym wiedział, gdzie mieszkasz?

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniła?

– Nie wiem. Powiedziała, że tylko mnie może zaufać i wysłała mnie po ciebie.

– Gdzie ona teraz jest? – pytam.

– Zaraz za rogiem. Na placu zabaw w Riverside Park.

Patrę na Dariusza, przyglądając się jego minie, pozycji ciała, palcom, które zaciska tak mocno, że bieleją.

Martwi się.

Łapię iPhone'a i telefon na kartę, wrzucam resztę swoich narzędzi do plecaka. Długopis wsuwam do kieszeni kurtki.

– Chodźmy – mówię.

Obrzucam mieszkanie ostatnim spojrzeniem. Mój adres został ujawniony, mieszkanie jest spalone. Będę musiał nadać ostrzeżenie meteorologiczne, żeby je

wyczyszczono.

Wszystko, co tu przeżyłem z Sam. To już tylko wspomnienie.

Zamykam drzwi i słyszę stuk zatraskującego się zamka.

Kiedy wychodzimy z budynku, Darius skręca w przeciwną stronę, odwracając się od parku.

– Nie idę z tobą – mówi.

– Dlaczego?

– Sam powiedziała, żebym nie szedł.

Rusza przed siebie, ale po chwili zawraca. Dotyka mojego ramienia.

– Zaopiekuj się nią, Ben.

Mówi serio.

DZIECI KRZYCZA.

Biegają po placu zabaw, śmiejąc się, bijąc ze sobą i przewracając jedno na drugie.

Sobota rano. Ostatni dzień.

Idę przez plac zabaw, rozglądając się za Sam. Rodzice obrzucają mnie przelotnym spojrzeniem, szukając członków swojego plemienia. Kiedy widzą, że do niego nie należę, ignorują mnie.

Minutę później nadbiega Sam. Ma na sobie legginsy do biegania i nasuniętą na oczy czapkę bejsbolową. Związane w koński ogon włosy wysunęła przez otwór z tyłu czapki. Prosty strój, który błyskawicznie staje się przebraniem. Wystarczą dwa elementy garderoby i nie różni się od czterdziestu procent kobiet w Nowym Jorku.

Sam rozgląda się uważnie. Zauważa mnie i podchodzi.

– Co się dzieje? – pytam.

Jej oczy niespokojnie przebiegają po parku. Sam zaczyna iść, dając mi znak, żebym ruszył za nią. Okrąża plac zabaw i zatrzymuje się przy głównej ścieżce za kępą krzaków.

– Dlaczego przysłałaś do mnie Dariusa?

– Nie wiedziałam, co zrobić – mówi Sam. – Nie mogłam przyjść.

Moja świadomość rejestruje jakiś sygnał. Niedostrzegalny, na granicy skali odbieranych bodźców.

– Pamiętasz, co opowiadałam o swoim byłym?

– Pamiętam.

Już to czuję. Niewidzialny.

– Wrócił – informuje mnie Sam.

Myślę o zdjęciu Sam z izraelskim żołnierzem.

Gideon. Tak według słów Howarda miał na imię.

– Twój były jest w Nowym Jorku?

– Od jakiegoś czasu. Nie powiedziałam ci o tym.

– Dlaczego?

– Bo próbowałam wymyślić, jak mam sobie z tym poradzić.

– Z czym chcesz sobie poradzić?

– Nie krzycz na mnie, Ben.

– Nie krzyczę.

Ale mój głos brzmi zbyt donośnie. Mówię szybko, urywanymi słowami. Słucham siebie. Staram się skupić na tym, co mówi do mnie Sam, a równocześnie wytropić

Niewidzialnego, ale nie potrafię. Zamiast słuchać Sam, kieruję energię w głąb parku, próbując zlokalizować Niewidzialnego. Gdzieś tu jest, przemyka między drzewami okalającymi park.

Sam wciąż mówi. Z jej ust padają słowa, które jednak nie mają żadnego znaczenia.

Skupiam na niej uwagę.

– Za dużo razem przeszliśmy – ciągnie. – Wiele mu zawdzięczam i mam mętlik w głowie.

– Wczoraj wieczorem raczej nie miałaś mętliku w głowie.

Przygryzam wewnętrzną stronę ust. Miękką, tuż pod wargą.

– Wczoraj było wspaniale.

– Tak wspaniale, że chcesz wrócić do swojego byłego?

– Nie rozumiesz mnie, Ben. On wie o tobie.

– Skąd wie?

– Ja mu powiedziałam. Jeszcze przedtem, zanim coś do ciebie poczułam.

– Czyli wie o mnie. Co z tego?

– Nie jest zwykłym człowiekiem.

Wybucham śmiechem. Przesuwam językiem po wewnętrznej stronie wargi. Czuję znajomy smak krwi.

– Nie boję się twojego zazdrosnego chłopaka – oświadczam.

– Nie jest zazdrosny – mówi.

– To jaki jest?

– Chodzi o coś więcej. Coś, czego nie możesz zobaczyć.

– To pomóż mi zobaczyć.

Rozgląda się po parku.

– Nie mogę – mówi.

– To znaczy, że nie chcesz.

– Nie utrudniaj mi tego.

Słyszałem już te słowa. Ale nie od żadnego człowieka. Muszę się zastanowić, gdzie je słyszałem.

W filmie.

Tak. Takie rzeczy mówią dziewczyny w filmach.

Mówią je, kiedy z kimś zrywają.

Sam patrzy na mnie, ale coś się zmieniło. Nie patrzy na mnie tak jak wczoraj wieczorem.

Staram się skupić na zadaniu.

Wszystkie pytania, które cisnęły mi się na usta.

Powody tych pytań.

Wszystkie są już daleko.

Sięgam do kieszeni. Przez skórę kurtki czuję twardy kształt długopisu.

Masz nowy obiekt. Tak powiedziała mi Matka.

Mój obiekt stoi przede mną.

Nagle doznaję jakiegoś wrażenia. Czuję ucisk za oczami i w gardle.

Co to za wrażenie?

OGARNEŁO MNIE, GDY MIAŁEM DWANAŚCIE LAT.

To wrażenie.

Mike pierwszy raz zaprowadził mnie do specjalnego domu. Weszliśmy po długich drewnianych schodach, które nie skrzypiały, z poręczą, która się nie chwiała. Szedłem po podłodze, która się nie ugiwała.

Prawdziwe domy są pełne dźwięków. Trzeszczą pod naporem wiatru i skrzypią, kiedy się po nich chodzi. Reagują na zamieszkujących je ludzi.

Ale nie ten dom.

Z każdej strony wyglądał jak dom, był jednak czymś innym.

Czymś martwym.

Mike zaprowadził mnie do drzwi, ale ich nie otworzył.

Musiałem to zrobić sam. To była pierwsza z wielu decyzji, jakie miałem podjąć w następnych dniach.

Drzwi uchyliły się bezszelestnie.

To był gabinet do pracy. Ciemne drewno, książki, na półkach fotografie w srebrnych ramkach. Duże okno

wychodzące na odległą linię drzew. Do środka wlewało się słońce, malując jasne plamy na dużym mahoniowym biurku.

Za biurkiem siedziała kobieta.

Matka.

– Witaj – powiedziała.

I się uśmiechnęła.

Miałem dwanaście lat. Mój ojciec nie żył. Moja matka odeszła.

Znalazłem się w dziwnym miejscu, w dziwnym domu, naprzeciw dziwnej kobiety, która się do mnie uśmiechała.

Wiedziałem, że jestem w pułapce i grozi mi niebezpieczeństwo, ale moja głowa nie chciała w to uwierzyć. Uśmiechnąłem się więc do kobiety, która się do mnie uśmiechała. Do kobiety, którą miałem odtąd nazywać Matką.

Pamiętam ten dzień. Tę chwilę. Ten uśmiech.

Wtedy to poczułem.

To samo wrażenie.

Nie, teraz uświadamiam sobie, że to nie było wrażenie.

Uczucie.

STRACH.

Ogarnia mnie, gdy Sam patrzy na mnie w parku, jak gdyby mnie nie zauważała.

– Proszę cię, trzymaj się ode mnie z daleka – mówi. – Jesteś w niebezpieczeństwie.

Wyciąga rękę i dotyka mojego ramienia.

– Nie chcę, żeby stało ci się coś złego. Naprawdę.

Odwraca się i odchodzi.

Serce mi wali, chociaż nie ruszam się z miejsca.

Jestem w Riverside Park. Po placu zabaw biegają dzieci, skręcają, biegną w przeciwną stronę. Zbijają się w grupki i rozdzielają jak stado ptaków.

Ptaki krzyczą.

Jestem w niebezpieczeństwie?

Matki nie reagują na krzyki. Mają niewzruszone miny, zmęczone oczy i sztuczne uśmiechy na twarzach.

Dzieci krzyczą.

Idę. Kiedy zacząłem iść?

Ziemia zachowuje się dziwnie pod moimi stopami. Na czole czuję chłodny wiatr.

Dlaczego chłodny?

Pocę się. Dlatego wiatr wydaje się chłodny.

Uważaj.

Słyszę kroki za sobą.

Niewidzialny.

Odwracam się, żeby stanąć z nim oko w oko.

Ale to nie jest Niewidzialny. Energia napływa z innego kierunku.

Znów się odwracam.

To Sam, myślę. Wraca, żeby porozmawiać. Zmieniła zdanie, znajdziemy sposób, żeby wszystko się jakoś ułożyło.

Ale nie widzę też Sam.

– Zach – mówi ktoś.

Dobrze znam ten głos.

Woła mnie mój najlepszy przyjaciel. Woła mnie po imieniu, którego nie słyszałem od lat. To imię, które pogrzebałem dawno temu.

Moje imię.

– Zach – mówi znów ten głos.

Mike.

Odwracam się do niego.

To błąd.

W OCZY ŚWIECI MI ŚWIATŁO.

Odzyskuję przytomność przywiązany do krzesła – ręce mam przymocowane do oparcia, nogi do nóg. Miłosny uścisk zabezpieczony taśmą izolacyjną.

Jak długo byłem nieprzytomny? Nie dowiem się, nie ma tu okien, żeby sprawdzić porę dnia.

Próbuję poruszyć głową, żeby się rozejrzeć, ale też została unieruchomiona.

Przede mną na tle ostrego światła rysuje się czyjaś sylwetka.

Miałem rację.

To Mike.

Jest starszy. Jego włosy wyglądają inaczej, a rysy twarzy się wyostrzyły, ale nie ma wątpliwości, że to on.

– Słyszysz mnie, stary? – pyta.

Pstryka palcami, dopóki nie zatrzymam na nim oczu.

– Zach-arach. Obudź się.

Ten głos. Przez chwilę mam wrażenie, że siedzimy po lekcjach w barze z hamburgerami w Rochester. Jestem w swoim poprzednim życiu i czas w ogóle nie upłynął.

Ale to nie jest przeszłość. To się dzieje teraz.

Obserwuję Mike'a, który mi się przygląda, chodząc tam i z powrotem.

– Pozwoliłeś odejść jego córce – mówi.

Nie mogę się odezwać. Mam zakneblowane usta.

– Chcę myśleć, że masz jakiś plan – ciągnie Mike – że nie mogłeś skończyć tego w parku, bo masz lepszy plan. Mam rację?

Zadawanie pytań komuś, kto nie może odpowiedzieć, wydaje się absurdalne. To technika przesłuchiwania, która ma na celu doprowadzenie umysłu do szału. Nie możesz nic powiedzieć, nie możesz protestować ani się bronić. Pytania kłębią ci się w głowie, aż wreszcie przestają działać wszystkie mechanizmy obronne i mówisz prawdę tylko po to, żeby to się wreszcie skończyło.

Uczono mnie tej samej techniki. Potrafię się przed nią bronić.

– Prawdę mówiąc, nie wierzę, żebyś miał plan – oznajmia Mike. – Myślę, że wdepnąłeś w niezłe bagno.

Patrzę na niego.

– Kochasz ją, Zach? O to chodzi?

Nie ruszam się, nie mrugam oczami. Nie reaguję

w żaden sposób.

Kręci głową.

– Takie coś nie istnieje. Myślałem, że cię tego nauczyliśmy.

Sprawdzam taśmę krępującą nadgarstki. To wytrzymała taśma izolacyjna. Nie da się z niej wyswobodzić.

– Zresztą mniejsza o twoją motywację, ale wkurzyłeś mnóstwo ludzi. Oczywiście nie mnie. Ja się nie wściekam. Ale ona tak.

Matka.

– *W nocy prawie nie mogę spać.* Tak mi powiedziała, kiedy rozmawialiśmy o tobie. Będę szczery: nie jestem pewien, czy ta kobieta w ogóle śpi.

Mike parska śmiechem. Potem przeciąga się, spacerując tam i z powrotem, pokonując krótką, stałą trasę.

Stały schemat.

Odnotowuję to w pamięci. Kiedy Mike myśli, porusza się według schematu. To nieświadome. To jego słabość.

Ta informacja może mi się później przydać.

Jeżeli będzie jakieś „później”.

– Przysłali mnie tutaj – mówi. – Sprzeciwiałem się temu, przekonywałem ich, że to nie powinienem być ja, ale się uparli. Dużo razem przeżyliście, powiedzieli. Uznali, że to może być ważne.

Kiwa głową, jak gdyby rozumiał, co mieli na myśli.

– Jeżeli chcesz wiedzieć, stanąłem w twojej obronie. Teraz to nie ma znaczenia, ale myślę, że powinienem ci o tym powiedzieć. Niektórzy naciskali, żeby całkiem cię odsunąć.

Starannie oddziela słowa. *Całkiem. Cię. Odsunąć.*

Matka odsuwa ludzi od zadań?

Ilu nas jest? Ilu takich jak ja jeszcze działa?

– Nie zgadzałem się z tym, Zach. Powiedziałem, że powinni pozwolić ci skończyć zadanie. Wszyscy się czasem potykamy. Nawet mnie to się raz zdarzyło.

Głęboko nabiera powietrza.

– Raz.

Sięga do kieszeni, wyjmuje etui na okulary. Wyciąga z niego małe śrubokręt, jakim poprawia się śrubki w oprawkach okularów.

Nie widziałem jeszcze takiej wersji. Ale wiem, co to jest.

Wstrzykiwacz.

– Dyskusja toczyła się bardzo długo, Zach. Chwilami stawała się nawet gorąca. Padły pytania o twoją lojalność. Ktoś wspomniał o przeszłości twojej rodziny. Oczywiście nie ja.

Na moment wzbiera we mnie jakaś fala. Myślę o Matce otoczonej przez tłum anonimowych postaci, które dyskutują o moim zachowaniu. Czy to właśnie zdarzyło się z moim ojcem? Zebrali się ludzie, żeby omówić jego zachowanie? Podjęto decyzję.

A potem zjawił się Mike.

– Matka wysłuchiwała wszystkich stron – kontynuuje Mike. – I postanowiła, że będziesz mógł dokończyć zadanie, aczkolwiek nie bez środków bezpieczeństwa.

Podchodzi bliżej, trzymając wstrzykiwacz blisko ciała. To rozsądne z jego strony. Gdyby z jakiegoś powodu udało mi się uwolnić, nie mógłbym wytrącić mu go z ręki.

– Środek bezpieczeństwa. To ja. Jeżeli nawalisz, mam dopilnować, żeby Program pozostał bezpieczny.

Ogląda taśmę krępującą moje stopy i ręce. Z daleka.

– I nawaliłeś. Wielki Zach Abram nawalił. Nie da się

inaczej tego powiedzieć.

Wzdrygam się na dźwięk mojego nazwiska. Myślę o ojcu. Josephie Abramie.

Profesorze Josephie Abramie.

Mike okrąża mnie, stając z tyłu.

Tak to się skończy. Cicho i od tyłu.

– Myślałeś kiedyś o tej chwili? – pyta.

Koniec.

Nie wiedziałem, że nadejdzie koniec. Mój koniec.

Myślałem o innej chwili. Gdy znów spotkam Mike'a. Ale zupełnie inaczej to sobie wyobrażałem.

– Sam o tym myślałem – mówi Mike. – Jakie to będzie uczucie siedzieć na tym krześle. Nie wiedziałem, czy będzie beznadziejnie, czy...

Powoli wypuszcza z płuc powietrze.

– Czy poczuję ulgę. Że z tym wszystkim już koniec.

Pociera twarz.

– Pewnie jeszcze nie zastanawiałeś się nad takimi rzeczami. Tobie jeszcze się podoba, co? Bieganie i zabawa w żołnierza. No tak, jestem trochę starszy.

Ile lat ma teraz Mike? Może trochę ponad dwadzieścia. Trudno powiedzieć. Jego twarz wygląda

różnie, w zależności od kąta, pod jakim się patrzy. Raz wygląda jak chłopiec, raz jak starzec.

– Cholera – mówi. – Przykro mi, że muszę to zrobić.

Znów bierze głęboki oddech, tak jak nas szkolono.

Następuje moment niewiadomego, po którym czuję na skórze szyi nacisk palców Mike'a.

Dotyk jego ciepłej dłoni w tym wrażliwym miejscu daje złudzenie bliskości. Wiem, że trzyma w niej wstrzykiwacz. Kiedy go naciśnie, w kilka chwil będzie po mnie.

Nie będę błagał ani płakał. Nie dam mu tej satysfakcji i nie krzyknę do niego ani do Boga, którego ledwie znam. Nie zwrócę się tam, gdzie zwracają się przerażeni ludzie.

Wciągam i wypuszczam powietrze, zwalniając oddech.

Ostatnia myśl.

Nienawiść do Mike'a? Do Matki?

Nie. Wybiorę coś innego.

Wspomnienie rodziców. Moich prawdziwych rodziców.

Widzę ich. Nie ostatniego dnia ani nawet w tych

ostatnich miesiącach, kiedy życie w naszym domu nabrało ciemnych barw.

Wracam pamięcią do dawniejszej chwili.

Mój ojciec się uśmiecha; trzyma w objęciach moją matkę. Stoją w kuchni w naszym domu w Rochester i się śmieją.

Wchodzę do kuchni. Zauważają mnie i wyciągają do mnie ręce, zapraszając mnie do kręgu.

Obejmujemy się wszyscy troje.

To będzie moja ostatnia myśl.

– Matka nie wie, co się właśnie stało w parku – mówi Mike.

Szepcze mi do ucha.

– Nie wie, bo jej nie powiedziałem.

Palce jednej ręki zostają na mojej szyi, a druga dotyka mojej dłoni. Mike kładzie mi coś zimnego i płaskiego na kciuku, a potem zgina mój palec wskazujący, żeby przytrzymał nim ten przedmiot.

Jego ręka odrywa się od mojej szyi.

– Chyba jestem ci coś winien, Zach.

Wychodzi zza moich pleców i znów staje przede mną. Patrzymy na siebie.

– Dokończ zadanie i wszystko będzie znów tak jak dawniej.

Nie poruszam się, nawet nie mrugam oczami. Nie zdradzam absolutnie niczego.

– Jeżeli nie chcesz tego zrobić dla Programu – dodaje – zrób to dla swojego ojca.

Co on ma na myśli? Przecież mój ojciec nie żyje.

To kłamstwo. Podstęp.

Uważnie obserwuję Mike'a. Szukam sygnału, który ujawniłby jego intencje, ale niczego nie widzę.

Wychodzi poza moje pole widzenia, stając się tylko głosem.

– Bardzo mi go przypominasz. Pod pewnymi względami.

Jego kroki oddalają się w ciemności.

– On żyje, Zach. Twój ojciec. Rozumiesz, co mówię?

Słyszę odgłos otwieranych drzwi gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku.

– Dokończ – mówi.

I wychodzi.

Zaciskam palce, żeby poczuć, co mi do nich włożył. To kawałek metalu wielkości znaczka pocztowego. Jest

prawie całkiem tępy, ale udaje mi się wyczuć jedną
w miarę ostrą krawędź.

Akurat na tyle ostrą, by przeciąć taśmę.

KIEDY WYCHODZĘ NA ULICĘ, JEST CIEMNO.

To jakaś dzielnica magazynów, której nie poznaję. Puste rampy przeładunkowe i graffiti na ceglanych murach. Na tabliczce napis MESEROLE STREET.

Mój ojciec.

Nie mogę myśleć o niczym innym.

Kierując się dźwiękiem klaksonów, docieram w końcu do głównej ulicy. Bushwick Avenue. Jestem na Brooklynie. Ruszam na północ w stronę Grand Street, a potem wsiadam do kolejki linii L, żeby się dostać na Manhattan.

Znajduję wolne miejsce i pozwalam myślom płynąć w takt kołysania wagonu.

Mój ojciec.

Widzę go przywiązanego taśmą do krzesła w salonie, z pochyloną głową, dotykającego brodą klatki piersiowej. Jego koszula była zaplamiona krwią. Czuję obejmujące mnie ramię Mike'a, jakby to było dziś. Byłem nafaszerowany chemią, ledwie mogłem ustać na nogach. Zataszczył mnie do pokoju i pokazał ojcu.

Ojciec jeszcze wtedy żył.

A potem?

Nigdy więcej go nie widziałem.

Mój ojciec nie żyje od lat. Tak sądziłem.

Ale nie widziałem, jak umiera.

Widziałem go na tym krześle, skrupowanego, cierpiącego, zakrwawionego, ale nie widziałem, co się potem stało.

Powiedziano mi, że nie żyje. To co innego, niż mieć dowód.

Ale na pewno nie żyje.

Świadczy o tym czas. Ile lat minęło? Prawie pięć. Gdyby mój ojciec żył, przyszedłby po mnie.

Chyba że nie wie, że żyję.

Mike dał mi drugą szansę. Ostatnią szansę.

Jeżeli chcę się dowiedzieć, co się stało z ojcem, muszę skończyć to zadanie.

Pociąg wjeżdża na Manhattan i zatrzymuje się na stacji.

Ósma wieczorem. Mój ostatni wieczór. Muszę się dostać do Gracie Mansion.

Najpierw jednak muszę się skontaktować z Howardem. Wybiegam z podziemnej stacji, żeby

odzyskać zasięg.

Ekran telefonu na kartę wyświetla SMS-y od Howarda. Osiem identycznych wiadomości.

Każda brzmi: *Zadzwoń natychmiast.*

- DZWONIŁEM DO CIEBIE CHYBA Z TYSIĄC RAZY – MÓWI HOWARD.

Miałem kłopoty – wyjaśniam.

– Nie wiedziałem, co zrobić. Nie wiedziałem, czy coś się stało...

Mike miał rację. Wdepnąłem w niezłe bagno. W desperacji złamałem procedury, a teraz mam człowieka, który pracuje dla mnie bez żadnych środków bezpieczeństwa ani planów awaryjnych. Nic mnie nie chroni. Howarda też.

Pora to zakończyć.

– Zapomnij o całej sprawie, Howard. Daj sobie z tym spokój.

– Ale miałeś rację z blogiem burmistrza.

– Jak to miałem rację?

– Ktoś majstrował przy zdjęciach na blogu. To taka subtelna robota, że z początku nic nie zauważyłem. Zdjęcia wyglądają dziwnie, bo ktoś zmienił wartość barwy wszystkich czerwonych pikseli w obrazie JPEG, żeby odpowiadała bajtowi dokumentu rtf.

– Chcesz powiedzieć, że w fotografiach na blogu są

ukryte dokumenty?

– Nie jakieś tam zwykłe dokumenty. Papiery z wysokiego szczebla. Notatki wysłane z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego do urzędu burmistrza. Raporty z inwigilacji podejrzanych komórek terrorystycznych na terenie Nowego Jorku.

Chciałem zdobyć dowód winy burmistrza. Teraz go mam.

Ale jeżeli burmistrz jest winny, dlaczego Matka wskazała Sam jako nowy obiekt?

– Po co burmistrzowi tajne dokumenty na blogu? – pyta Howard.

– Bo je komuś przesyła. Możesz sprawdzić, kto je odbiera?

– Na tym właśnie polega genialność tego pomysłu – mówi Howard. – Nie da się tego ustalić. Dane są publicznie dostępne, ale rozłożone na milion pikseli. Nie można tego odczytać, jeżeli nie masz programu filtrującego, który to wszystko poskłada z powrotem.

Jeszcze raz analizuję fakty.

Burmistrz ujawnia komuś tajemnice Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Powód być może nie ma

znaczenia. Staram się ocalić Sam i teraz mam dowód winy jej ojca.

– Muszę się dostać do Gracie Mansion – informuję Howarda.

– Zaraz, Ben. Musisz wiedzieć coś jeszcze. Ostatni post na blogu. Są w nim plany dzisiejszego spotkania. Szczegóły procedur bezpieczeństwa. Wszystko.

– Czyli ktoś wie, że burmistrz spotyka się dzisiaj z premierem Izraela.

– Tylko kto? – pyta Howard.

JADĘ POSPIESZNA LINIĄ METRA NA OSIEMDZIESIĄTĄ SZÓSTĄ.

Wysiadam na stacji i biegnę.

Skrećam w East End Avenue i natychmiast zatrzymuje mnie krąg migających świateł. Policja utworzyła kordon bezpieczeństwa szerokości dwóch kwartałów wokół Gracie Mansion i widzę morze granatowych mundurów gęsto przetykanych ciemnymi garniturami.

Koncentryczne koła. Tak to sobie wyobrażam.

Policja odwała czarną robotę na obrzeżach strefy. Pośrodku pracuje izraelska ochrona i agenci służby dyplomatycznej.

Do rezydencji burmistrza wchodzi już goście, dowożeni jedyną otwartą drogą. To nie jest prywatka dla dzieciaków ze szkoły średniej. Nikt tu nie podchodzi do drzwi i nie usiłuje się wprosić, a ja nie mam Eriki, żeby wykorzystać ją jako przepustkę.

W prawie każdych innych okolicznościach mógłbym się zakraść niepostrzeżenie na jakąś imprezę. Ale nie tu, gdzie służbę pełnią zawodowcy, którzy aktywnie szukają w otoczeniu wszystkiego, co wydaje się podejrzane.

Szukają czegoś podejrzanego, więc muszę się postarać wyglądać znajomo.

Mam na sobie T-shirt i koszulę. Wyciągam koszulę na wierzch, żeby luźno wisiała wokół bioder. Wyjmuję z kieszeni portfel i wsuwam za pasek pod koszulę. Mam teraz charakterystyczne wybrzuszenie przypominające broń gliniarza w cywilu.

Ruszam na południe i kilka skrzyżowań dalej wchodzę do Carl Schurz Park, pojawiając się wśród zebranych na rogu funkcjonariuszy policji. Dostrajam do nich swoją energię. Jestem teraz tajniakiem pracującym na południowych obrzeżach parku, jednym z kilku patrolujących ten teren.

Mijam grupkę policjantów. Jakiś sierżant pozdrawia mnie skinieniem głowy.

Porozumiewawcze skinienie głowy

Odpowiadam tym samym i idę dalej, nie zatrzymując się.

Park został zamknięty kordonem, ale wystarczy tylko przeniknąć przez zewnętrzną warstwę, żeby się dostać do środka. To nieodłączna słabość kordonów. Dopóki pozostajesz na zewnątrz, uchodzisz za osobę

niebezpieczną. Ale gdy już znajdziesz się wewnątrz, zakłada się, że uzyskałeś dostęp od tych, którzy pilnują obrzeży.

Tak więc, nie zatrzymując się, zmierzam w stronę środka.

Kiedy pokonuję drugi kordon, mam już koszulę porządnie włożoną do spodni, portfel spoczywa w kieszeni, gdzie jego miejsce, i zachowuję się jak nastolatek, który znalazł się w innym, niedostępnym dla siebie świecie. Z podziwem patrzę na dygnitarzy wchodzących do Gracie Mansion. Zwilżam palce śliną i próbuję przygłodzić włosy.

Jestem na tyle blisko, że słyszę brzęk kieliszków i gwar głosów ludzi w rezydencji.

Jestem już prawie w środku.

Prawie.

– Stać – słyszę głos.

Dobiega zza mnie. Zawodowiec z mieszkania burmistrza.

Jest przed rezydencją i wpada na mnie podczas obchodu rozpoznawczego.

Mam pecha. On ma dobre wykształcenie.

– Uff, znajoma twarz – mówię, jak gdybym ucieszył się na jego widok.

– Zaproszenie – mówi. – Muszę je zobaczyć.

– Zabrali mi przy bramie.

– Nie zabrali. Trzeba je okazywać przy każdym wejściu.

Zerkam w stronę głównego wejścia do Gracie Mansion. No jasne, po raz ostatni sprawdzają tam zaproszenia.

– Przyłapał mnie pan – mówię.

Zauważam, że ma słuchawkę połączoną z mikrofonem. Wystarczy stuknięcie w kołnierz i zaraz wokół mnie zroi się od ochrony. Ale nie stuka. Na razie.

– Przyłapałem na czym? – nie rozumie.

– Powinienem raczej powiedzieć, że przyłapał pan Sam. Na próbie przemycenia mnie do rezydencji.

Słucha, kiwając głową.

– Jak często ma się okazję podać rękę premierowi, prawda? – ciągnę. – Umówiliśmy się na zewnątrz, żeby mogła mnie wprowadzić.

Jestem prawie pewien, że wizyta premiera jest

tajemnicą. Dlatego właśnie o nim wspominam. Skąd bym wiedział, że tu jest, jeżeli nie od Sam, która mnie zaprosiła?

Widzę, jak się namyśla.

– Jeżeli się umówiliście, to gdzie ona jest? – pyta.

– Właśnie się nad tym zastanawiam.

– Ja też.

Sięga do kołnierza...

– Kiedy Sam wreszcie przyjdzie, mam nadzieję, że przyniesie papier toaletowy – mówię.

– Papier toaletowy? – dziwi się.

– Bo właśnie robię w spodnie.

Zawodowiec się śmieje. Opuszcza rękę, nie wzywając pomocy.

– Zabawny z ciebie chłopak – mówi. – Chodź. Wprowadzę cię do środka.

Wchodzę za nim do Gracie Mansion.

PRZECHODZIMY PRZEZ OKAZAŁY HOL PEŁEN DYGNITARZY.

Niektórych znam z wiadomości telewizyjnych, niektórych nie. Politycy, biznesmeni, dyplomaci.

Członkowie społeczności żydowskiej i reprezentanci Ligi Arabskiej. Słysząc obcy akcent, izraelski i arabski. Niektórzy mogą się nie zgadzać z poglądami premiera, ale trudno go krytykować za zaangażowanie w sprawę pokoju.

Zawodowiec prowadzi mnie do sali balowej o niebieskich ścianach w skrzydle Susan Wagner. Nie jest zbyt zatłoczona – czeka tu około pięćdziesięciu osób, stojących w niewielkich grupkach.

– Widzi pan Sam? – pytam.

Zawodowiec stoi obok mnie i rozgląda się po sali. Nie ma jej tu.

Dostał jakiś sygnał przez słuchawkę. Trzyma dłoń przy uchu i słucha.

Marszczy brwi.

– Zachowuj się – rozkazuje mi. – Mam coś do zrobienia.

I zostawia mnie samego.

Zmienia się energia w sali i w tłumie powstaje poruszenie. Nagle przez boczne drzwi wchodzi premier w towarzystwie burmistrza. Wybuchają oklaski.

Premier z szerokim uśmiechem pozdrawia zebranych i ściska ręce, krążąc wśród gości.

Burmistrz to bardziej znajoma twarz, która mniej ekscytuje salę. Ludzie witają go uśmiechem i krótkim uściskiem dłoni i mijają, zmierzając do premiera.

Rozglądam się po twarzach, szukając Sam, ale nigdzie jej nie widzę.

Ruszam w kierunku burmistrza.

Analizuję aspekty sytuacji.

Pierwszym jest założenie, że Matka się myli. Winny jest burmistrz. Dowodzić tego może prowadzony przez niego blog.

Jeżeli wykonam swoje pierwotne zadanie, być może uda mi się to jej udowodnić.

Burmistrz ma zmniejszoną ochronę. Nie jest składającym wizytę dygnitarzem, więc nie jest tak pilnie strzeżony. Mogę to zrobić tutaj, na oczach całego tłumu. Po cichu. Mogę mu podać rękę, a potem usunąć się

w cień, gdy ciasno otoczą go kręgi ludzi.

Jestem dziesięć kroków od burmistrza.

W sali pojawia się Sam. Zauważam ją kątem oka, jak wchodzi z bocznego korytarza.

Widzimy się równocześnie.

Zaskoczona szeroko otwiera oczy...

A potem odwraca się i wybiega z sali balowej.

– Nie wiedziałem, że Sam cię zaprosiła – mówi burmistrz.

Dostrzegł mnie z drugiego końca sali i podszedł.

– Dopisała mnie do listy – wyjaśniam. – Właśnie zamierzałem złożyć panu gratulacje.

Waha się. Skąd mógłbym wiedzieć, co się dzieje, jeżeli nie od Sam, która mnie zaprosiła?

– Jeszcze nie czas na gratulacje – odpowiada. – Do końca roku wciąż jestem burmistrzem.

– A potem specjalnym wysłannikiem?

– Nadal toczą się rozmowy, Ben. Na razie tylko rozmowy.

– Proszę wybaczyć, ale to coś zupełnie innego niż pana dotychczasowa praca.

– Ach, w Izraelu nastał arcyciekawy czas. Premier

zdecydowanie dąży do zawarcia trwałego pokoju ze swoimi sąsiadami. Uważa, że nadeszła właściwa pora, a nasz rząd całkowicie się z nim zgadza. Świat się przeobraża; Arabska Wiosna stworzyła wszystkim nowe możliwości. Mamy rzadką okazję doprowadzić do wielkich zmian. Bardzo chciałbym uczestniczyć w tej misji.

Jeżeli tak, to dlaczego burmistrz ujawnia plany zabezpieczenia tego spotkania? I komu je ujawnia?

– Panie burmistrzu, wracając do naszej rozmowy przy kolacji. Liczyłem na to, że będziemy mogli pomówić jeszcze...

– O Sam.

– Martwię się o nią. Rozumiem, że to nie jest odpowiednia chwila.

– Nonsens. Chodzi o ważną sprawę. Wyjdźmy na moment.

BURMISTRZ PROWADZI MNIE DO NIEWIELKIEJ SALI BANKIETOWEJ.

Zaglądam w rogi pomieszczenia, szukając kamer. Widzę dwie. Nie mam pojęcia, jakie obiektywy są w kamerach. Typu rybie oko, które obejmują całą salę, ale zniekształcają obraz, czy szerokokątne, rejestrujące obraz części pomieszczenia.

Jeżeli te drugie, to mogę zaprowadzić burmistrza do ślepej strefy pod ścianą. Zostanie wprowadzie dowód, że byłem z nim w sali, ale nie będzie żadnego zapisu tego, co się tu zdarzyło.

Nie, jeżeli zrobię to we właściwy sposób. Wyjmuję długopis z kieszeni i wsuwam do rękawa tuż przy nadgarstku.

– Napijiesz się czegoś? – pyta burmistrz.

Sam przechodzi do ślepej strefy – barku stojącego przy bocznej ścianie.

– Burbona. Bez wody – odpowiadam.

Śmieje się.

– Może raczej coli?

– Też może być.

Podchodzę do niego i staję obok barku.

– Opowiedz o Sam – prosi.

– Rozmawiałem z nią dzisiaj rano – mówię. – Jest strasznie roztrzęsiona.

Burmistrz wzdycha. Z kieszeni na piersi wyciąga papierośnicę, rozgląda się wokół, sprawdzając, czy jesteśmy sami. Potem uchyla okno i zapala.

– Nie chce jechać do Izraela, tak? – pyta.

– To przez wypadek pana żony. Ma za dużo złych wspomnień.

– Tak. Wypadek.

Dostrzegam napięcie mięśni na jego czole.

– To nie był wypadek, prawda?

– Przecież Sam ci powiedziała.

Sam niczego mi nie powiedziała, ale potakująco kiwam głową.

– Powiedziała mi tylko tyle, ile uznała za stosowne – mówię.

– Obawiam się, że popełniliśmy błąd, utrzymując to w tajemnicy, ale zrozum, decyzja zapadła na najwyższych szczeblach. Świeżo po jedenastym wrześniu. Toczyły się wtedy dwie wojny. Bliski Wschód

był beczką prochu. Gdyby dodać śmierć żony popularnego amerykańskiego polityka, która zginęła w zamachu bombowym, kto wie, co by się mogło wydarzyć.

Zamach terrorystyczny. A więc tak zginęła matka Sam.

– Cierpieliśmy po cichu – ciągnie burmistrz. – Przeżywaliśmy cichą żałobę. Wtedy wydawało się nam, że to słuszny wybór. Ale obawiam się, że to przerosło Sam. Potem się zmieniła.

Ty też się zmieniłeś, myślę.

Burmistrz pracuje teraz dla kogoś, przekazując tajne informacje za pośrednictwem swojego bloga. Może robi to z zemsty, może z innych powodów.

Motywacja nie ma znaczenia. Tylko fakty.

Tyle pytań, tyle ryzyka, a jestem w tym samym miejscu co na początku.

Burmistrz. Mój pierwszy obiekt.

Nie mam już czasu.

Podjąłem decyzję. Zabiję burmistrza, a potem stawię czoło konsekwencjom.

Stawię czoło Matce.

Przesuwam długopis do ręki. Przekręcam skuwkę, żeby go uzbroić.

Mój telefon sygnalizuje nadejście SMS-a.

Zerkam na ekran.

Następny alarm od Howarda.

Waham się przez chwilę.

– Dać ci trochę czasu? – pyta burmistrz.

Patrzę na wiadomość.

– Przepraszam na moment.

– Zrób, co musisz, a potem porozmawiamy, jak możemy pomóc Sam.

Odchodzę na drugi koniec sali, paradując przed kamerami. Już drugi raz.

Dzwoniąc do Howarda, nie odrywam wzroku od burmistrza. W słuchawce odzywa się wysoki i pełen napięcia głos.

– Na blogu burmistrza właśnie pojawiło się nowe zdjęcie – melduje Howard.

– Niemożliwe – mówię.

– Pół minuty temu.

Zasłaniam usta i szeptem mówię do telefonu:

– Jestem z burmistrzem. Nie mógł niczego wrzucić na

blog.

– Tym razem to nie jest dokument. W zdjęciu jest ukryta fotografia.

– Jaka fotografia, Howard?

– Twoja. Zrobiona wieczorem na ulicy.

Zdjęcie, które zrobiła mi Sam.

Odwracam się do burmistrza.

– Kto umieszcza posty na pana blogu? – pytam.

– Dziwne pytanie – uznaje.

– To ważne.

– Ja piszę teksty. Ale blogiem rządzi Sam. Zajmuje się wszystkim.

Dokumenty ujawnione na blogu. Nie pochodzą od burmistrza.

Pochodzą od Sam.

Znów się odwracam i przyciskam telefon do ust.

– Zamknij wszystko, Howard. Pozacieraj po sobie ślady.

Wyłączam telefon i zabezpieczam długopis.

– Musimy znaleźć Sam – mówię do burmistrza. –
Natychmiast.

Nagle rezydencją wstrząsa huk eksplozji, od której

drży podłoga pod naszymi stopami. Gaśnie światło, a w sali balowej rozlegają się krzyki.

Otwierają się drzwi i wpada ochrona burmistrza z bronią w ręku.

– Stać! – To Zawodowiec z mieszkania burmistrza. Patrzy prosto na mnie.

Pozostali ochroniarze podbiegają do burmistrza i otaczają go.

– Co się dzieje? – pyta burmistrz.

– Alarm. Musimy wyjść. Natychmiast – mówi jeden z nich.

Zaczynają wypychać burmistrza z sali bankietowej. Zawodowiec mierzy do mnie z glocka. To duży model, kaliber czterdzieści pięć. Trzynaście naboji w magazynku, jeden w komorze.

Nie używam broni palnej, ale ją szanuję. Zwłaszcza gdy jest wycelowana we mnie.

Nie ruszam się.

– Zabierzcie stąd burmistrza – rozkazuje Zawodowiec ekipie ochrony.

Ciągle trzyma mnie na muszce.

Burmistrz zatrzymuje się w pół kroku. Jego własna

ochrona omal go nie przewraca.

– To Ben! – woła, przekrzykując głosy ochroniarzy.

– Jest ze mną.

Zawodowiec mruga dwa razy, wahając się, co zrobić.

Okazuję zaskoczenie. Okazuję strach.

Udam wszystko, żeby go powstrzymać przed naciśnięciem spustu.

Zawodowiec podejmuje decyzję. Opuszcza pistolet.

A potem przypada do mnie, chwyta mnie za ramię i popycha w stronę burmistrza, zamykając mnie razem z nim w kordonie bezpieczeństwa.

– Idziemy! – krzyczy Zawodowiec, a jego ludzie pospiesznie wyprowadzają nas z sali.

KORYTARZ WYPEŁNIA ZAPACH MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH.

Idziemy całą grupą przez wypełnione dymem korytarze Gracie Mansion, oświetlone czerwonymi lampkami awaryjnymi. Wokół nas panuje zamieszanie, zespoły ochrony usiłują zapanować nad chaosem i ewakuować gości.

– Gdzie moja córka? – dopytuje się burmistrz.

– Staramy się ją odnaleźć – mówi Zawodowiec. – Tymczasem przeprowadzimy pana i premiera do schronu.

Krzyczy na ochronę, która prowadzi nas w głąb rezydencji, wąskim korytarzem do zabezpieczonej klatki schodowej. Zawodowiec wstukuje kod, a gdy otwierają się drzwi, sprowadza nas po schodach do piwnicy.

Idę razem z ochroną, pozwalając się prowadzić, ale cały czas myślę o blogu burmistrza i ujawnionych tam procedurach na wypadek sytuacji wyjątkowych. Ktoś zna nasz każdy ruch. Nie tylko nasz. Także izraelskiego premiera.

Dwaj kluczowi bohaterowie. Który z nich jest celem?

Z przodu rozlegają się głosy mówiące po hebrajsku.

Za zakrętem widzę dwóch izraelskich agentów krzyczących przez radio. Stoją na końcu korytarza, ledwie widoczni w czerwonych oparach.

– Swoi! – woła Zawodowiec. – Jest z nami burmistrz!

Izraelczycy machają do nas, dając znak, że korytarz jest czysty.

Otoczająca nas ochrona popycha naprzód burmistrza i mnie.

– Gdzie jest premier? – pyta Zawodowca jeden z Izraelczyków.

– Nie widziałem go.

– Uważajcie – ostrzega Izraelczyk. – Nie wiemy, co się tu dzieje.

Mężczyźni żegnają się skinieniem głowy i Zawodowiec popędza nas dalej.

Idziemy korytarzem i wkrótce docieramy do następnego załomu. Dostrzegam subtelną zmianę intensywności oświetlenia, jak gdyby w korytarzu przemknął cień kogoś, kto przeszedł przed odległym źródłem światła.

Ochroniarze tego nie widzą, ale ja tak.

Szybkim krokiem posuwają się naprzód. Udaję, że się potykam. Następuje efekt domina i cała grupa zwalnia. Zawodowiec szybko mnie łapie i pomaga mi wstać.

Wszystko trwa nie dłużej niż sekundę. Akurat tyle, żebyśmy zwolnili tempo i nie skręcili za róg.

Prosto w to, co na nas czeka.

Dwaj mężczyźni w kominiarkach i nowych nylonowych kurtkach, takich jak wiatrówki z Gap, które mieli tamci w metrze.

Ale ci w kominiarkach mają pistolety.

Odwracają się w naszą stronę. Burmistrz jest przede mną, zasłaniając mnie przed strzałem. Zamaskowani mężczyźni celują, ale nie otwierają ognia.

Nie chcą trafić burmistrza.

Przesuwam się odrobinę w lewo i lufy podążają za mną.

Nasi ochroniarze nie wahają się ani chwili. Otwierają ogień, natychmiast kładąc trupem obu napastników.

Zawodowiec zerka na mnie. Wyczuwa, że coś jest nie tak, ale nie wie, co.

Widzę, że chce mnie zapytać, ale jak ma przesłuchiwać przestraszonego chłopaka w trakcie

strzelaniny?

– Nie zatrzymywać się! – rozkazuje naszej grupie.

– Ben, trzymaj się blisko mnie – mówi burmistrz.

Nagle budynkiem wstrząsa drugi wybuch. Huk jest stłumiony i daleki, dobiegający gdzieś spod nas.

Do eksplozji dochodzi w piwnicy. Muszę się tam dostać.

W korytarzu zapada ciemność, bo wybuch uszkadza czerwone oświetlenie awaryjne. Zawodowiec prowadzi naszą grupę naprzód. Z powodu dymu i ciemności posuwamy się w żółwym tempie.

Wykorzystuję chwilę zamieszania, żeby oddalić się od burmistrza. Mając obok siebie Zawodowca, jest w dobrych rękach, a beze mnie będzie bezpieczniejszy.

Zawracam i podchodzę do ciał zamaskowanych mężczyzn leżących na ziemi.

Sprawdzam, co z pierwszym. Nie żyje.

Drugi jęczy. Też zostało mu niewiele życia – krwawi z kilku śmiertelnych ran.

Odwracam go na plecy i zdejmuję mu kominiarkę.

Kasze krwią, spoglądając nieobecny wzrokiem. Porusza ustami.

Pochylam się, zbliżając ucho do jego twarzy.

Modli się. Po hebrajsku.

To Izraelczycy – tak myślę. Nie są jednak z izraelskiej ochrony premiera. Stanowią inny zespół, pracujący z Niewidzialnym.

Zaczynam składać wszystkie kawałki w całość. To Niewidzialny czyta blog, Niewidzialny potrzebował planów ochrony Gracie Mansion. To on i jego ludzie mnie śledzili.

Domyślam się, kim jest. I gdzie mogę go znaleźć.

Ruszam w gęstniejący dym, zmierzając w stronę piwnicy.

**W POMIESZCZENIU GOSPODARCZYM
W PIWNICY LEŻĄ ROZRZUCONE PUSTE TORBY
PODRÓŻNE.**

Znalazłem miejsce przygotowania zamachu, ale nie ma tu nikogo. Sprawdzam wszystkie sąsiednie drzwi, szukając wejścia do Gracie Mansion, ale go nie znajduję.

To może oznaczać, że je przegapiłem, albo że zamachowcy zostali wpuszczeni przez kogoś, kto ma prawo wstępu do rezydencji.

Kogoś takiego jak Sam.

Niewidzialny jest blisko. Wyczuwam jego obecność. Posuwam się korytarzem, korzystając z osłony ciemności i dymu. Skradam się i chwilę później słyszę przed sobą podniesione głosy kłócących się ludzi.

Zaglądam do pomieszczenia. Dyżurka strażnika i szatnia.

Mężczyźni w połyskujących nylonowych kurtkach i kominiarkach, wszyscy mówiący po hebrajsku.

Wśród nich jest Niewidzialny.

Stoi na drugim końcu pomieszczenia w kominiarce na twarzy, ale natychmiast rozpoznaję jego sylwetkę.

Krzyczy do pozostałych, którzy kiwają głowami jak żołnierze otrzymujący rozkazy.

Nagle mężczyźni wybiegają na korytarz. Przyklejam się całym ciałem do ściany. Ludzie w kominiarkach zaraz za drzwiami skręcają i oddalają się ode mnie biegiem, nie oglądając się za siebie.

W środku zostaje tylko Niewidzialny.

Wchodzę do pomieszczenia.

Niewidzialny zastyga. Stoi nieruchomo, obserwując mnie. Tkanina wokół ust porusza się. Czyżby w uśmiechu?

– Twoi kumple wyszli – mówię.

– A ty jesteś sam – odpowiada po angielsku z wyraźnym obcym akcentem.

Za jego paskiem tkwi pistolet. Sięga po niego.

Jestem za daleko, żeby się na niego rzucić, i nie mam broni.

Najlepiej będzie czekać na strzał. Jeżeli poruszę się dokładnie w momencie, gdy naciśnie spust, zmniejszę skuteczność ognia. Bardzo dużo będzie zależało od jego wyszkolenia.

Unosi pistolet, mierząc do mnie...

– Gideon – mówię.

Waha się przez chwilę.

– Znasz mnie? – pyta.

– Widziałem twoje zdjęcie – odpowiadam. –

W sypialni Sam.

Widzę, jak pod kominiarką zaciskają się mięśnie jego szczęk.

– A ja widziałem twoje. Sam mi przysłała. Żebyś cię mógł zabić.

Zdejmuje kominiarkę.

Po raz pierwszy widzę z bliska jego twarz. Kręcone włosy, ciemne oczy i broda.

Widziałem go pierwszego dnia w Apple Store, a potem wieczorem w metrze.

Niewidzialny.

Teraz rozumiem, dlaczego wydawał mi się znajomy.

Niewidzialny to Gideon.

Jest starszy i nosi brodę. Dlatego nie mogłem go od razu skojarzyć z żołnierzem ze zdjęcia, na którym był z Sam. Ma tylko te same oczy, zimne i martwe, oczy żołnierza.

– Jesteś tym słynnym Benem – mówi.

Odkłada pistolet na stolik obok.

– To będzie za moich ludzi, których zabiłeś.

– Nie za Sam?

– Sam da sobie radę bez mojej pomocy – odpowiada.

I przyskakuje do mnie.

Jest szokująco szybki. Pokonuje pomieszczenie dwoma długimi susami i atakuje mnie gradem potężnych i celnych ciosów w klatkę piersiową i głowę.

Pierwsze udaje mi się odparować, ostatnie trafiają w cel. Mocno.

Wycofuje się, parskając, podniecony walką.

– Widziałem cię w Apple Store – mówię. – Snułeś się za mną od samego początku.

– Zacząłem się snuć za tobą, kiedy Sam do mnie zadzwoniła.

– Skąd wiedziała?

– Parę dni przed akcją w klasie pojawia się obcy facet. Ciebie by to nie zaniepokoiło?

– Zaniepokoiło. Ale zauważam takie rzeczy, bo mnie wyszkolono.

– Sam też zauważa. Ja ją szkoliłem.

Wydaje okrzyk i szybko atakuje mnie serią

kopniaków. Znow zyskuje przewagę, zanim mam czas zareagować. Udaje mi się osłonić przedramieniem przed pierwszym kopniakiem, ale drugi trafia mnie w bok i rzuca o ścianę.

Walczy emocjonalnie, każdy atak to brutalna fala wściekłości.

Nie znam takiego stylu. Wyszkolenie i emocje zwykle wykluczają się nawzajem. Walczyłem ze zdyscyplinowanymi ludźmi, których każdy ruch był przemyślany i śmiertelnie niebezpieczny. Walczyłem z ludźmi działającymi pod wpływem emocji, którzy atakowali bez namysłu, próbując mnie jak najszybciej obezwładnić.

Wiem, jak sobie radzić w jednym i drugim przypadku.

To jednak jest coś innego.

Powinienem go zmusić do mówienia, odwrócić jego uwagę na tyle, żebym zdążył się zorientować w sytuacji.

– Zwerbowałaś Sam w Izraelu po śmierci jej matki – mówię.

– To nie było trudne. Spotkałem dziewczynę, której matka zginęła w zamachu bombowym. Dziewczynę tak uczuciową jak Sam. I bardzo przydatną z powodu ojca.

Znów bez uprzedzenia rusza do akcji. Rzuca się prosto na mnie, w ostatniej chwili robiąc unik, odbija się nogami od ściany i odpycha od niej, wymierzając mi wysokiego kopniaka z wysokości, po którym ląduję z hukiem na stole, roztrzaskując go.

– Sam myślisz, że ją kochasz.

– Kocham ją – odpowiada.

Kiedy się odwracam, udaje mi się zobaczyć, jak bierze zamach nogą stołową, chcąc mnie zdzielić nią w głowę jak maczugą.

Bum! Chybia o centymetry.

– Wykorzystałeś ją – mówię.

Bum! Odsuwam się gwałtownie w ostatniej sekundzie i znów nie trafia.

– A ty co z nią zrobiłeś? – dyszy.

Bum! Trzeci raz.

Wystarczy. Przekręcam się do tyłu, odbijam się rękami i obiema nogami kopię go w pierś. Uderza plecami w metalową szafkę.

– Czyli umiesz się bić – stwierdza.

Rzucamy się na siebie, spotykając się na środku pomieszczenia. Atakuję wysoko i nisko równocześnie,

badając słabe punkty jego obrony. Nawet najlepiej wyszkoleni ludzie częściej używają lewej albo prawej strony ciała, jednej albo drugiej strefy. Jeżeli znajdę jego słaby punkt...

Czyjaś ręka zaciska się na mojej szyi.

Gideon. W jakiś sposób udało mu się odeprzeć mój atak i złapać mnie za gardło.

– Myślisz zamiast walczyć – mówi. – W tym problem.

– Nie potrzebuję od ciebie żadnych lekcji.

Napinam mięśnie szyi, broniąc się przed kleszczowym chwytem.

– To ostatnia lekcja – mówi.

Jego palce zaciskają się mocniej, odcinając mi dopływ krwi do mózgu.

Za parę sekund stracę przytomność...

– Gideon! – krzyczy Sam.

Na ułamek sekundy rozluźnia chwyt i uderzam go ręką, trafiając otwartą dłońią w podbródek, a potem łokciem w nos, z okropnym chrzęstem. Gideon pada jak długi na pokój, o mały włos nie zderzając się z Sam.

Sam.

Stoi w drzwiach. Obserwuje nas.

– Wyjdź stąd, Samaro – rozkazuje Gideon.

Wymawia jej imię z hebrajskim akcentem.

– Co chcesz zrobić, Gideon? – pyta.

Robi krok w moją stronę, ale Sam powstrzymuje go, kładąc mu rękę na piersi.

– Powiedz – prosi.

Jego ciało się rozluźnia. Widzę intymność tego gestu między nimi.

– Czy ona wie, że zamierzasz zabić jej ojca? – pytam.

– Co? – szepcze Sam.

– Nie słuchaj go – mówi Gideon. – Nie chodzi nam o twojego ojca.

Premier. To on jest celem.

Sam o tym nie wiedziała, co oznacza, że nie wiedziała, co się dzisiaj stanie. W każdym razie nie znała szczegółów. Ale wiedziała, co robi, umieszczając plany na blogu.

I dając mu moje zdjęcie.

– Myślałem, że jesteście Izraelczykami – mówię.

– I jesteśmy z tego dumni – potwierdza.

– Dlaczego atakujecie swojego człowieka?

– Wykonuję instrukcje – odpowiada. – Przypuszczam,

że tak samo jak ty.

– Czyje instrukcje?

– Grupy działającej wewnątrz grupy wewnątrz innej grupy. Dobrze wiesz, jak to funkcjonuje. – Patrzy na Sam. – Mówiłaś, że jest inteligentny.

Sam wbija wzrok w ziemię.

– Ale twoi ludzie są zamaskowani i mówią po arabsku – mówię.

– Na tym polega geniusz całego pomysłu. Gdzieś w Queens policja właśnie wyważa drzwi i znajduje dowody na istnienie krajowej komórki terrorystycznej. To ona jest odpowiedzialna za dzisiejszą akcję.

– To dlatego bawisz się w Halloween. Chcesz, żeby to wyglądało na zamach terrorystów.

– Przyznasz, że to zręczna zmyłka – odpowiada.

Odwraca się do Sam. Dotyka dłonią jej policzka.

– Nie musisz tu teraz być – mówi. – Ten facet nie jest twoim przyjacielem. Przysłano go, żeby ci zrobił krzywdę.

Sam spogląda na mnie.

– To prawda, Ben?

Czy to prawda?

Tak. Ale odstąpiłem od planu.

Nie potrafię jej tego teraz wytłumaczyć, więc w ogóle się nie odzywam.

– Widzisz? – triumfuje Gideon.

Odsuwa się na bok i stoimy teraz z Sam na wprost siebie, znajdując się po przeciwnych stronach pomieszczenia.

– Nie chciałam, żeby do tego doszło – mówi Sam. – Próbowałam cię ostrzec, żebyś trzymał się od tego z daleka.

– Możesz to jeszcze zatrzymać – odpowiadam.

– Nie mogę.

– Nie wydaje mi się, żebyś wiedziała o dzisiejszym spisku.

Wyciągam do niej rękę, ale nie rusza się z miejsca.

– Może i nie wiedziałam, ale wiedziałam o innych rzeczach. Weszłam w to za głęboko, Ben. Nie mogę się wycofać.

– Po co to zrobiłaś?

– Dla matki. Dla kraju, który kochała.

Uśmiecha się do mnie ze smutkiem.

A potem znika za drzwiami.

Z lewej dostrzegam szybki ruch.

Gideon błyskawicznie rzuca się do wylotu tunelu technicznego ukrytego w ciemności za jego plecami.

Przypuszczam, że kieruje się do schronu. Pewnie jest tam już premier razem z burmistrzem.

Patrzę na drzwi prowadzące na korytarz, którymi wyszła Sam.

Okłamałem ją. Moje zadanie nie polega na tym, żeby powstrzymać akcję.

Moje zadanie polega na tym, żeby powstrzymać Sam.

Ale z jakiegoś powodu myślę o burmistrzu, o spędzonych z nim chwilach, o tym, jak mi zaufał i zaprosił do swojego życia.

Nic mnie to nie powinno obchodzić. On też nie powinien mnie obchodzić. Ani nie jest celem mojego zadania, ani nie mam wobec niego żadnych zobowiązań.

Ale znalazł się w niebezpieczeństwie. A wraz z nim premier.

Jeżeli moje pierwotne zadanie polegało na tym, żeby zapobiec zamachowi na Gracie Mansion, czy powinienem teraz interweniować?

Nie dowiem się, nie mając instrukcji z Programu.

Sam jest w korytarzu. Gideon pobiegł w przeciwną stronę przez tunel techniczny, zmierzając do burmistrza i premiera.

Ja zostałem pośrodku.

Podejmuję decyzję.

Ruszam za Gideonem w głąb tunelu.

DŹWIĘK JEST PRAWIE NIESŁYSZALNY.

Cienka żyłka wędkarska napina się do granic możliwości, a potem słuchać trzask mechanicznego włącznika.

Prawie niesłyszalny, ale niezupełnie. Bo kiedy moja stopa zaczepia się o rozciągniętą żyłkę przy wejściu do tunelu, słyszę ten dźwięk.

Za późno, żeby odwrócić to, co zrobiłem, ale na tyle wcześnie, żebym zdążył rzucić się na ziemię, wciskając ciało między podłogę a ścianę tunelu. Eksplozja zmienia powietrze za mną w ogień. Odłamki odbijają się z brzękiem od betonowej ściany centymetry nad moją głową.

Udaje mi się uniknąć najbardziej groźnych skutków wybuchu, ale nie wszystkich. Fala uderzeniowa wbija mnie w ziemię i ogłusza. Moje uszy przestają funkcjonować i huk natychmiast przechodzi w ciszę.

Mój ojciec. W myślach pojawia mi się jego postać. Ale nie widzę go w gabinecie, gdy jeszcze żył, ani przywiązanego do krzesła, kiedy zobaczyłem go ostatni raz. To inny obraz, którego nigdy nie widziałem na

własne oczy.

Mój ojciec żyje i stoi przy oknie w jakimś pokoju, myśląc o mnie. Zastanawia się, czy żyję, czy nie.

Zapach dymu każe mi wrócić do rzeczywistości.

Leżę na ziemi w pogrążonym w mroku tunelu technicznym. Sprawdzając ręce i nogi, przekonuję się, że funkcjonują. Sprawdzam ciało, szukając ran, ale nie mam żadnej.

Oglądam się, patrząc na wąły strumyczek światła padającego z wejścia do dyżurki. Tunel jest ciągle otwarty. Mogę uciec.

Ale nie uciekam.

Czołgam się w głąb ciemności.

Gdzieś przede mną jest Gideon. Muszę go zatrzymać.

Kilka metrów dalej dym zaczyna się przerzedzać i dostrzegam szereg diod LED oświetlających podłogę. Światło jest słabe, pozwala się jedynie poruszać.

Wciąż się nie podnoszę, czołgając się pod warstwą dymu. Podejrzewam, że przy wyjściu zainstalowano jeszcze jedną pułapkę. Wejście i wyjście. W ten sposób zabezpieczyłbym tunel, gdybym był na miejscu Gideona. Domyślałem się, że tak właśnie zrobił.

Przyspieszam, posuwając się przez ciemny tunel coraz szybciej, pokonując zakręty, kierując uwagę naprzód, w kierunku Gideona.

Skrećam jeszcze cztery razy i wreszcie go wyczuwam. A potem go widzę.

Za następnym załomem, na tle światła padającego z wyjścia. Jego cień porusza się przede mną. Bardzo szybko. I nieostrożnie.

Nie ogląda się do tyłu, prawdopodobnie zakładając, że zginąłem w eksplozji. Skupia się wyłącznie na dokończeniu swojego zadania. Mam takie same klapki na oczach, więc wiem, co czuje. Wiem też, że to błąd.

Zwłaszcza w tym momencie.

Rzucam się naprzód i łapię go od tyłu, zaciskając ramię na jego szyi. Jest zaskoczony, ale szybko reaguje. Tunel jest wąski, więc Gideon posuwa się dalej naprzód, kopiąc mnie i próbując zrzucić z siebie.

Nie puszczam, więc zmienia strategię, odwracając się szybko i zadając mi cios głową, po którym lecę do tyłu.

– Nie chcesz dać za wygraną – mówi Gideon.

– Nie.

– W takim razie znalazłem w tobie chyba coś, co mi

się podoba.

Z pochwy ukrytej pod kurtką wyjmuję jakiś przedmiot.

Nóż.

Ostrze jest z ciemnej stali węglowej, przeznaczone do walki w ciemności, aby było niewidoczne dla przeciwnika. Przecina powietrze ze świstem, który jest jedynym znakiem zabójczej trajektorii noża.

Przypominam sobie podobny nóż. W ręku Mike'a. Przypominam sobie własny szok, gdy ostrze przebiło mi ramię, a potem ból, kiedy moje nerwy zarejestrowały atak.

Tamtego dnia dawno temu popełniłem błąd. Walczyłem z nożem zamiast walczyć z Mikiem. I przegrałem.

Nie zamierzam powtarzać tego błędu.

Gideon gwałtownie naciera, a ja robię dwa kroki do tyłu w głąb wąskiego tunelu. Ostrze śmiga tuż przede mną, nie dotykając mojego ciała.

Gideon rusza w moją stronę, a ja na to pozwalam. Kilka kroków za mną jest załom tunelu. Chcę, żeby do mnie mówił i nie przestawał iść naprzód.

– Premier to wspaniały człowiek – mówię. – Jeżeli go zabijecie, co tym zyskacie?

– Wspaniali ludzie też popełniają błędy. Nie muszę wiedzieć, jakie błędy popełnił akurat on. Dostaję rozkazy. Wykonuję je. Tak jest łatwiej.

Tu ma rację. Łatwiej jest nie myśleć, nie kwestionować tego, co ci mówią. Może nie trafisz do tuneli, gdzie będziesz musiał walczyć o życie. A może trafisz. Ale nie dlatego, że sam podjąłeś taką decyzję, tylko dlatego, że zostajesz wysłany, żeby to zrobić.

Żołnierzy takich jak Gideon i ja szkoli się nie po to, żeby samodzielnie podejmowali decyzje.

Po co więc tu jestem?

Jestem tu, żeby ocalić życie burmistrzowi.

Gideon atakuje mnie, tnąc nożem; odskakuję do tyłu i za róg, a on rusza za mną. Skupia całą uwagę na mnie, na swoim celu. Nie zdaje sobie sprawy, że teraz ma za plecami ścianę.

– Myślę, że wasza akcja się nie powiodła – mówię.

– Znowu myślisz. Chyba nie nauczyłeś się lekcji.

Krzyczę i rzucam się na niego, jak gdyby doprowadził mnie do wściekłości. Otwieram ramiona,

jakbym chciał go zaklinczować w kłamrowym, niedźwiedzim chwycie.

Mój manewr go zaskakuje, ale równocześnie jest z niego zadowolony. Wiem, bo wyczuwam, jak lekko się rozluźnia. Sprowokował mnie do błędu i podjęcia walki w nie swoim stylu. Walczę jak on – tak w każdym razie sądzi Gideon.

Na jego ustach pojawia się nawet cień uśmiechu.

Łatwo jest walczyć z szaleńcem. Wystarczy trzymać się poza zasięgiem jego gniewu, a potem powalić go na ziemię.

Właśnie to stara się zrobić.

Cofa się, żeby uniknąć mojego gwałtownego kontrataku, nie zdaje sobie jednak sprawy, że zmienił pozycję i zakręt tunelu jest teraz za nim. Uderza plecami w ścianę.

Zszokowany uświadamia sobie, że wpadł w pułapkę.

Trwa to tylko chwilę. Ale wystarcza, żebym zmienił swój szaleńczy szturm w coś innego. Coś znacznie lepiej przemyślanego. Zamiast chwycić go w kleszcze, wymierzam mu cios nogą, tak szybko, że nawet się tego nie spodziewa.

Kopniak zgina go wóół. Gideon łapie się za brzuch, a nóż z brzękiem ląduje na podłodze.

Wtedy go łapię i wykorzystując inercję, skręcam za róg i z całej siły rzucam go w stronę wylotu tunelu.

Pada tyłem, tracąc panowanie nad ciałem, które wypada górną połową z wyjścia z tunelu, zatrzymując się w plamie światła po drugiej stronie.

Gideon szybko siada i uśmiecha się do mnie.

Myśli, że zmarnowałem swoją szansę i że zwyciężył.

Nie usłyszał cichego trzasku żyłki odpalającej ładunki u wylotu tunelu, które sam podłożył.

Ja usłyszałem.

Gideon ulega emocjom, ale jest też przewidywalny. U ludzi w naszej branży to błąd.

Jednym skokiem chronię się za załomem, a sekundę później tunelem wstrząsa wybuch, rozrywając Gideona na kawałki i na zawsze zamykając wyjście.

PĘDZĘ ZA SAM.

Zawracam i biegnę tunelem do dyżurki, potem korytarzem do drzwi prowadzących na zewnątrz, które są otwarte i zablokowane.

Wyskakuję z budynku w ukrytym zakątku Gracie Mansion. Żdźbła trawy przy rezydencji są przygięte do ziemi.

Staram się postawić w sytuacji Sam, myśleć jak ona, poruszać się jak ona.

Dokąd by teraz poszła? Zostałaby w Carl Schurz Park?

Mogłaby podejść do któregoś z funkcjonariuszy służb ochrony, powiedzieć, że jest córką burmistrza i poprosić o pomoc. Byłaby bezpieczna, znalazłaby się poza kręgiem podejrzeń.

Wydaje mi się jednak, że ma inny plan.

Plan związany z Gideonem. Umówione miejsce spotkania po akcji. To musi być bezpieczne miejsce, gdzie czuje się swobodnie i gdzie nikt jej nie rozpozna. Miejsce, z którego prowadzi wiele dróg ucieczki.

Miejsce takie jak Iglica Kleopatry.

STOI W CIENIU POMNIKA.

Wchodzę na oświetlony księżycem placyk przy obelisku.

– Ben?

– A kogo się spodziewałaś?

Nie odpowiada. Obserwuje mnie z niezmienioną miną.

– Wiem o blogu – mówię. – O tajemnicach, które przekazywałaś Gideonowi i jego ludziom. Wiem o wszystkim.

– Zawdzięczam mu życie – odpowiada Sam. – Pomógł mi po śmierci matki.

– Zwerbował cię.

– Dzisiaj wiem. Wtedy wydawało mi się, że to co innego.

– Co ci się wydawało?

– Że to miłość.

Myślę o Mike’u, którego traktowałem jak brata, kiedy pojawił się w moim życiu.

– Udawał, że cię kocha, żeby cię przeciągnąć na swoją stronę. To nie jest miłość.

– Chyba sporo wiesz na ten temat – mówi.

Stoimy po przeciwnych stronach pomnika, nieznacznie przestępując z nogi na nogę. Na każdy mój krok Sam odpowiada swoim krokiem, ja reaguję tak samo na każdy jej krok.

– Bawiłaś się mną od początku – mówię. – Kazałaś Gideonowi mnie śledzić, kiedy się tylko poznaliśmy.

– Żeby cię obserwował, nie żeby zrobił ci coś złego. Dopiero kiedy zabiłeś jego człowieka w tamtej kamienicy, wiedzieliśmy na pewno, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

– Wiedziałaś, ale to ci nie przeszkadzało rozwinąć naszej znajomości w coś poważniejszego?

– Coś wiedziałam, ale nie wiedziałam, po co się tu pojawiłeś. Nie do końca. Musiałam się do ciebie zbliżyć, żeby to sprawdzić.

– Czyli mam rację. Dla ciebie to była tylko gra.

– Nie – protestuje. – Dla mnie to było prawdziwe.

Wychodzi zza obelisku i teraz stoimy naprzeciw siebie na przeciwległych końcach placu.

– A dla ciebie? Co to było? – pyta.

– Zadanie.

– Nic więcej?

Chcę jej o wszystkim opowiedzieć. O tym, że zaczęło się jak zadanie, że się zawahałem i stało się czymś innym.

Chcę jej to powiedzieć, ale nie mówię.

– Musiałem się z tobą zaprzyjaźnić, żeby spotkać twojego ojca.

– On był twoim celem?

– Początkowo tak.

– A teraz?

Patrzę na jej twarz oświetloną blaskiem księżyca. Jest piękniejsza niż wtedy, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, ale wygląda inaczej. Mroczniej. Przypomina mnie.

– Dopuszczałaś się szpiegostwa – mówię. – Naraziłaś na niebezpieczeństwo swojego ojca i cały kraj.

– Po to się tu zjawiałeś, Ben? Jesteś łowcą szpiegów?

– Jestem żołnierzem.

– I przypuszczam, że dobro i zło nie mają dla ciebie znaczenia?

Wzruszam ramionami.

– Robię to, co mi każą.

Mam robić. Nie wykonałem tego zadania z jej

powodu. Ale o tym jej nie mówię.

– Ach, przypominam sobie – ciągnie. – Jesteś chłopakiem, który w nic nie wierzy. Tu się różnimy. Ja nie tylko wierzę, ale jestem gotowa poprzeć to działaniem.

– Tak chcesz usprawiedliwić zdradę?

– Izrael i Stany Zjednoczone są sojusznikami. Jeżeli ujawnisz tajemnicę przyjacielowi, to nie jest zdrada.

– Tak ci powiedział Gideon?

– Gideon – powtarza.

Sam rozgląda się po pustym placyku.

– On tu nie przyjdzie – mówię.

Wyraz jej twarzy się zmienia. W oczach pojawia się chłód.

Takie samo spojrzenie widziałem u Gideona, u Mike'a. Takie samo spojrzenie widzę w lustrze, kiedy patrzę na siebie.

– Miałam nadzieję, że okażesz się kimś innym – mówi Sam.

– Ty też okazałaś się inna.

Robię krok w jej stronę.

Spodziewam się, że rzuci się do ucieczki. Jestem na to

przygotowany, na następny pościg w parku. Jak za pierwszym razem, choć teraz w zupełnie innym celu.

Ale nie ucieka. Zaczyna płakać.

Może płacze z żalu nad Gideonem, może nad sobą. Chcę myśleć, że z żalu nade mną, ale nie wiem.

Widziałem już płacz kobiet – kobiet i mężczyzn – i łzy mnie nie wzruszają.

Tym razem jest inaczej.

Kiedy widzę płaczącą Sam, chcę ją pocieszyć. Chcę ją objąć ostatni raz, choćby na krótką chwilę. Wyciągam rękę...

A ona rzuca się na mnie z twarzą wykrzywioną gniewem.

To nie jest Sam, którą znam, dziewczyna, którą poznałem na lekcji historii europejskiej w szkole.

To ktoś inny.

Rozjuszona i niebezpieczna bestia.

Atakuje mnie gradem ciosów i kopniaków. Rozpoznaję elementy jujitsu i krav magi. Udaje mi się je rozpoznać, ale zaraz potem dosięgają mnie ciosy i zaczynamy walczyć.

Jest jasne, że Sam musiała kiedyś trenować, ale jest

też jasne, że to było dawno temu. Ma więcej możliwości niż umiejętności. Próbuje to nadrobić wściekłością.

Wściekłość może być skuteczna, nawet zabójczo skuteczna w krótkich zrywach. Ale nie w kilku następujących po sobie atakach i nie w walce z przeciwnikiem na równym poziomie.

Nie przeciwko mnie.

Kiedy naciera na mnie z wrzaskiem, wymierzając serię potężnych kopniaków, wygląda to imponująco, ale pochłania za dużo energii.

To podstawowa lekcja walki wręcz. Bijąc za mocno, bije się sama ze sobą. A kiedy ktoś bije się sam ze sobą, zawsze przegrywa.

Trzymam się blisko niej, udając łatwy cel. Po jeszcze jednej, ostatniej lawinie ciosów jej sprawność szybko się pogarsza. Sam jest zmęczona.

Wtedy kontratakuję.

Używając swojego ciała jako punktu podparcia, zadaję cios, który kładzie ją na ziemię.

Usiłuję wstać, więc znów rozciągam ją na wznak.

Myślę o Gideonie dotykającym jej policzka, o spojrzeniu, które wymienili między sobą w piwnicy.

Kiedy Sam próbuje się podnieść trzeci raz, rzucam nią mocno o ziemię. Straciła całą energię i dyszy wyczerpana.

Stoję nad nią.

Pozostaję poza zasięgiem jej rąk. Nie zamierzam już więcej niepotrzebnie ryzykować.

– Nie musisz tego robić, Ben.

Zwraca się do mnie po imieniu. Znam tę sztuczkę. Nadać konfliktowi wymiar osobisty, stworzyć więź z napastnikiem, a potem błagać o litość.

Brzmi to szczerze, ale mnie nie wzrusza.

– Nie nazywam się Ben – mówię.

Unosi wzrok.

– Wszystko jedno, kim jesteś, ale nie musisz tego robić.

– Nie mam wyboru – mówię.

– Zawsze jest wybór.

Ona go dokonała. Postanowiła zdradzić swojego ojca i swój kraj.

Mnie nie pozostał żaden wybór. Właściwie żaden.

Wyjmuję z kieszeni długopis. Sam patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

– To nie boli – mówię.

– Skąd wiesz?

Obracam skuwkę w prawo, pstrykam raz i czuję między palcami ciche *pyk*, gdy płyn przepływa do obsadki. Nagle przychodzi mi do głowy myśl. Nowa myśl, irytująca jak swędzące miejsce, którego nie można dosięgnąć.

Zamiast w Sam wbiję końcówkę długopisu w siebie.

To nic wielkiego. Przycisnę ją do delikatnej skóry na nadgarstku.

Szybko zadziała. Nawet przy mojej kondycji, ile to może potrwać? Siedem sekund zamiast trzech? Wystarczy na jeden oddech więcej.

Powinienem wbić końcówkę w siebie. Tak myślę. Będę wiedział, jakie to uczucie, będę wiedział, czy to boli, czy nie, a Sam wyjdzie z tego cało.

Ta myśl daje mi spokój. Dopóki nie pomyślę o Mike’u.

Bo to nie przejdzie. Matka na to nie pozwoli.

Być może Mike ciągle tu jest i wypuszczą go z klatki. Matka każe mu zrobić z tego lekcję.

Sam początkowo skłamię, powie mu, że walczyliśmy

i że mnie pokonała.

W końcu jednak prawda wyjdzie na jaw.

Powie mu, że w ostatniej chwili zmieniłem front i wbiłem długopis w siebie. Powie, że wybrałem siebie zamiast niej, bo byliśmy ze sobą.

W głębi serca będzie wiedział, że mówi prawdę, ale nie pozwoli, żeby to się tak zakończyło. Nie pozwoli na to Matka.

Stojąc nad Sam, uświadamiam sobie, że jeżeli wbiję długopis w siebie, to niczego nie zmieni.

Sprostowanie: dla mnie zmieni wszystko. Ale nie dla Sam. Konsekwencje dla niej będą prawdopodobnie gorsze.

Koryguję położenie długopisu, którego końcówka jest już wysunięta i skierowana do prawdziwego celu.

– Gdzie jesteś? – pyta Sam.

– Daleko.

Wyciąga rękę w stronę mojej kostki, więc odsuwam nogę.

Zaskoczona unosi wzrok. Może nie próbowała mi zrobić krzywdy. Może chce się ze mną pogodzić. Choćby w tej ostatniej chwili.

Nie mogę do tego dopuścić.

– Powiedz, jak masz na imię – prosi.

– Po co?

– Chcę wiedzieć, kim naprawdę jesteś.

– Jestem nikim – mówię.

Pochyliam się i przyciskam obsadkę długopisu do jej szyi.

Wszystko trwa nie dłużej niż trzy sekundy. Jej powieki trzepoczą i się zamykają.

Gotowe.

Nachyliam się, żeby się upewnić. Moje ręce muskają jej piersi. Są miękkie. Za miękkie.

– Boli? – pytam.

Mówię do siebie. Zostałem tylko ja.

I nagle jej usta się rozchylają. Wydaje mi się, że tylko to sobie wyobrażam, ale gdy przyglądam się uważniej, jej usta się poruszają. Sam próbuje coś powiedzieć. Pochyliam się nad nią.

– Miałeś rację – szepcze. – To nie boli.

Cofam się zdumiony.

Pstryknąłem długopisem raz czy dwa razy?

Popełniłem błąd. Tak mi się wydaje. Przez pomyłkę

wstrzyknąłem jej środek wywołujący śpiączkę. Sam nie przestanie oddychać, a skutki mojej decyzji zostaną odwrócone.

Będzie czas na inną decyzję. Lepszą. Decyzję, której nie miałem odwagi podjąć.

Uciekniemy. Zaczniemy życie w nowym miejscu. Założymy dom w dalekim mieście, gdzie nikt nie będzie wiedział, kim jesteśmy, i gdzie nikt nas nigdy nie znajdzie.

Przenika mnie jakieś wrażenie.

Nie. To coś innego. Uczucie.

Miłości.

– Samaro – mówię.

Nie odpowiada.

Przyciskam ucho do jej ust, sprawdzam puls na szyi.

Nic.

Nie pomyliłem się z długopisem. Nie mylę się.

Sam nie różni się od innych, których spotkałem na swojej drodze.

Nie żyje.

Po drugiej stronie placyku trzaska gałązka. Na skraju drzew stoi policjant i mnie obserwuje.

To nie jest policjant. To Mike w mundurze policjanta.

– Witaj z powrotem – mówi.

– Z powrotem?

– W domu. W rodzinie.

Jego twarz zasłania ciemność.

– Podjąłeś właściwą decyzję – ciągnie Mike.

Doprawdy?

Patrzę na ciało Sam u moich stóp.

– Daj znać Matce, że skończyłem zadanie – mówię.

– Matka już wie.

Ale czy to wystarczy? Nie udało mi się zapobiec zamachowi na Gracie Mansion ani uchronić premiera przed zagrożeniem.

Obserwuję korpus Mike'a. W ten sposób można się przekonać, w którą stronę człowiek chce iść. Nie ma co patrzeć na nogi i ręce – one mogą cię oszukać. Ale brzuch porusza się tylko w jednym kierunku – w tym, w którym człowiek zamierza pójść.

Jeżeli ruszy w moją stronę, będę wiedział, że to nie wystarczyło.

Drugi raz w życiu będziemy walczyć.

Tym razem się nie dam. Obezwładnię go i zadam mu

parę pytań.

Chcę wiedzieć, co z moim ojcem.

I chcę go ukarać.

Mike'a i Program. Matkę. Chcę ich wszystkich pokonać.

Za mojego ojca, za Sam.

Za to, że okradli mnie z mojego życia.

Obserwuję jego korpus, ale nie zbliża się do mnie.

Oddala się, odpływając w ciemność.

Wystarczyło. Na razie.

– Może znowu się spotkamy – mówi Mike.

– Mam nadzieję.

– To nie zależy od nas.

– To nigdy nie zależy od nas.

– Powodzenia, Zach – mówi i znika.

Mógłbym pójść za nim. Wytropić go w parku jak zwierzę. Wyrównać rachunki między nami.

Nie idę.

Nie dzisiaj.

NASTĘPNEGO DNIA WIADOMOŚĆ ROZNO SIĘ PO MIEŚCIE.

Nie wiadomość o zamachu na Gracie Mansion. Prasa informuje o wybuchu instalacji gazowej na Upper East Side. Sąsiedzi usłyszeli dwa potężne huki i trzeba było ewakuować Gracie Mansion w trakcie ważnego spotkania.

Ta informacja ukazuje się u dołu pierwszej strony, ale liczy się główny artykuł. Tekst o przedwczesnej śmierci córki burmistrza, która zmarła z przyczyn naturalnych.

Zostanie przeprowadzone dochodzenie. Tak piszą gazety. Nastolatki nie powinny umierać bez żadnego powodu, ale to się zdarza. Czasem rozstaje się z życiem piłkarz. Zupełnie zdrowa dziewczyna przenosi się na tamten świat z powodu rzadkiej wady naczynia krwionośnego.

Wypadki, choroby, genetyka, pech.

Śmierć ma tysiące twarzy.

Burmistrz pojawia się na konferencji prasowej z grymasem bólu na twarzy.

Oglądam to w telewizji w nowojorskim hotelu, gdzie

tymczasowo mieszkam. Staję blisko ekranu i wyłączam fonię. Śledzę oczy burmistrza, kiedy mówi, szukając oznak fałszu.

Nie znajduję.

Sam miała rację. Jej ojciec jest świetnym aktorem.

Nie, jeżeli chodzi o odegranie rozpachy. Ta wygląda autentycznie.

Ale w innych sprawach kłamie bez zmrużenia oka, mówiąc, co robił z premierem i co się potem stało. Władze postanowiły utrzymać w tajemnicy fakt ataku na Gracie Mansion.

Środowisko, które uknuło spisek przeciwko izraelskiemu premierowi, poniosło klęskę. Proces pokojowy będzie postępował, być może z udziałem burmistrza, kiedy skończy się jego kadencja.

Odzywa się mój iPhone podłączony do ładowarki. Podwójna wibracja sygnalizuje uruchomienie aplikacji Poker.

Wyłączam telewizor i odbieram telefon od Matki.

– Załatwiliśmy już formalności w szkole – informuje mnie.

Oficjalna wersja: mój ojciec zostaje służbowo

przeniesiony, więc i ja muszę się przeprowadzić. Bogaty dzieciak co chwilę zmieniający szkoły, w zależności od kaprysów życia swoich wpływowych rodziców.

Nie ma w tym niczego podejrzanego. Przynajmniej w naszej szkole.

W ich szkole, powinienem powiedzieć.

Nie mojej.

– Pójdiesz tam jeszcze w poniedziałek – ciągnie Matka. – Będziesz miał okazję się pożegnać.

Zwykle znikam natychmiast po wykonaniu zadania, ale ponieważ tym razem było o nim głośno, a mnie nie udało się pozostać w cieniu, postanowiono, że zostanę na miejscu chwilę dłużej. Żeby przez dzień czy dwa zainteresowanie stopniowo osłabło.

– Tym razem wykonałeś dużo pracy – mówi Matka. – Dużo nadobowiązkowej pracy.

– Dowód – odpowiadam.

– Co to znaczy?

– Chciałem przeprowadzić dowód z trygonometrii.

– Dowód. Czy program nauczania to obejmuje? – pyta Matka.

– Niezupełnie.

– Nigdy dotąd nie wychodziłeś poza program – zauważa. – To naprawdę było konieczne?

W rozmowie z Matką powinienem teraz bardzo uważać. Powinienem być pokorny, uległy, skruszony.

Myślę o martwym ciele Sam leżącym w parku u moich stóp.

Nagle ogarnia mnie gniew na Matkę, na zadania, które lekką ręką rozdaje z odległości. Jestem zły na siebie za to, że zawsze robię, co mi każą. Zły na normalną, codzienną pracę.

– Tym razem to było konieczne – mówię.

– Nie mogłeś skończyć zadania bez dowodu? – pyta.

W jej głosie nie słyszę gniewu. Tylko ciekawość.

– Gdybym skończył na początku, otrzymałbym złe rozwiązanie – mówię. – Sama musisz to przyznać. Zmieniłaś zadanie już w trakcie.

– To prawda – zgadza się. – Ale dobrze się zastanów. Rozgryź to sam.

„Rozgryź to sam”.

Jedna z naszych zabaw, kiedy przechodziłem szkolenie.

Matka stawiała pytanie, które miało na pozór

oczywistą odpowiedź. Kiedy ją znalazłem, głośno ją wykrzykiwałem, sądząc, że jestem genialny.

Wtedy Matka pokazywała mi drugie dno. Prowadziła mnie drogami, których nie dostrzegłem.

„Rozgryź to sam”.

– Pomyśl o pierwotnym zadaniu – mówi Matka. – Nie miałeś rozwiązania już na samym początku?

– Gdybym skończył zadanie pierwszego dnia, popełniłbym błąd.

Ponieważ burmistrz nie ponosił żadnej winy, z wyjątkiem miłości do córki, której być może zostawił za dużo swobody. Zabiłbym niewinnego człowieka.

To Program popełnił błąd, nie ja.

A winnego ujawniłem dzięki przeprowadzonemu śledztwu.

Chyba że...

Zastanawiam się, próbując to rozgryźć.

Gdybym usunął burmistrza, nie byłoby powodu, żeby premier składał mu wizytę.

Nie odbyłoby się spotkanie w Gracie Mansion.

Gideon nie musiałyby realizować swojego planu.

A Sam?

Wobec śmierci ojca zostałaaby zneutralizowana, tracąc dostęp do informacji. Nie byłoby zmiany obiektu zadania. Sam by żyła, a burmistrz nie.

Problem przestałby istnieć.

Gdybym wykonał ruch pierwszego dnia, wszystko zakończyłoby się szybko i prosto.

A więc wybrałem złą drogę.

– To dlatego, że czekałeś na ujawnienie nowych informacji – mówi Matka. – Musieliśmy więc zmienić zadanie. Gdybyś działał, nie byłoby takiej potrzeby.

Jak gdyby siedziała w mojej głowie. Jakby zawsze tam była, wyprzedzając mnie o dziesięć kroków.

– Twoja stara matka nie jest taka głupia – dodaje. – Może następnym razem jej zaufasz, kiedy powie ci, co masz robić.

Wyprzedza mnie o dziesięć kroków, ale nie widzi wszystkiego. Jak zdobyłem dowód?

O to mnie nie zapytała. Co oznacza, że nic nie wie o Howardzie.

Na razie.

Być może wie, być może nie, że Mike dał mi drugą szansę.

A czy wie, co Mike powiedział mi o moim ojcu?

– Mówiłaś, że kiedy skończę, będziemy mogli porozmawiać o moim przyjeździe do domu.

– Rzeczywiście, tak mówiłam.

– Chciałbym się zobaczyć z tobą i z tatą.

– My też chcielibyśmy się z tobą zobaczyć. Ale mamy na głowie przeprowadzkę, więc to nie jest najlepsza pora.

– Przeprowadzacie się?

– W pewnym sensie.

– Nie moglibyście znaleźć dla mnie trochę czasu?

– Przykro mi, skarbie. Mamy związane ręce – mówi.
Związane.

Myślę o sobie przywiązanym taśmą do krzesła w ciemnym magazynie i krążącym wokół mnie Mike’u.

Przysłanym przez Matkę.

Myślę o ojcu przywiązanym do krzesła w naszym salonie, o strużce krwi spływającej po jego twarzy. Stoi nad nim Mike.

Przysłany przez Matkę.

– Musimy porozmawiać o wielu innych rzeczach – mówię.

– Och, tak, porozmawiamy – zapewnia mnie Matka.

W tle słyszę stukot klawiszy. Pisze raport o tym, co się tu zdarzyło? Wszystko starannie porządkuje?

Może dla niej to było po prostu kolejne zadanie na liście, kolejny punkt do odhaczenia. Agent odszedł nieco od planu, ale wrócił na właściwą drogę.

Zach Abram wrócił do rodziny.

Zadanie wykonane.

– Przy okazji, zaglądam do swojej skrzynki mailowej – mówi. – Ojciec ma ci coś przysłać.

– Będę czekał – odpowiadam. – Muszę kończyć, mam. Mam dużo do zrobienia przed wyjazdem.

– Kocham cię – mówi.

Chcę się odezwać, ale nie mogę. Wyszło mi w gardle.

Biorę głęboki oddech. Przełykam ślinę. I trzymam się scenariusza.

– Też cię kocham. Niedługo znowu porozmawiamy – mówię.

I się rozłączam.

– WIEDZIAŁEM, ŻE PRZYJDZIESZ – MÓWI HOWARD.

Stoję w drzwiach jego pokoju.

Mieszkanie jest puste, jego rodziców nie ma. To mi tylko ułatwi zadanie.

Monitory stojące na biurku za jego plecami wyświetlają dziesiątki okien z wiadomościami z różnych źródeł. Na temat śmierci Sam i jej konsekwencji, z każdego możliwego punktu widzenia.

– Byłeś tam, kiedy Sam...

Głos więźnie mu w gardle.

– Nie widziałem jej – kłamię. – Ale wiem, że nie cierpiała.

To akurat prawda.

Howard wybucha płaczem.

– Miałem z tym coś wspólnego?

– Próbowałeś do tego nie dopuścić. Obaj próbowaliśmy.

– To właśnie robimy?

– Tak.

Ta wiadomość trochę go uspokaja.

– Zawsze była dla mnie miła – mówi.
– Była inna, niż się nam wydawało – odpowiadam.
– To samo można powiedzieć o każdym z nas, prawda?

Na monitorach włącza się wygaszacz ekranu. Na rozgwieżdżonym niebie unosi się awatar Goji o ogromnych, błyszczących oczach. Jej twarz przesuwa się przez kolejne monitory.

– Jakiś komentator z „Daily News” napisał, że burmistrz w następnych wyborach powinien kandydować na prezydenta – mówi Howard. – Uwierzyłybyś? Już próbują to wykorzystać w polityce.

– Przypuszczam, że w najbliższych dniach będzie tego więcej.

Howard pociąga nosem, wyciera go w rękaw. Po chwili bierze się w garść.

– Chcę ci coś pokazać – mówi. – Zrobiłem dla ciebie coś jeszcze.

Porusza myszką i włącza się jeden z ekranów. Widzę na nich długie kolumny liczb, których nie rozumiem.

– Co to jest?

– Kiedy dla ciebie pracowałem, ciągle trafiałem na

czyjeś ślady. Wszędzie, gdzie wchodziłem: na blog, terminarz burmistrza. Wszędzie ktoś już przede mną był.

– W sprawę byli zamieszani Izraelczycy. To oni?

– Nie sądzę. To byli hakerzy. Zwłaszcza jeden dzieciak. Nazywa się Nieskończony.

– Nieskończony?

– To jego nick. Nieskończony. Z symbolem nieskończoności zamiast litery w środku, jakby to coś miało znaczyć.

– Jak się o nim dowiedziałeś?

– Bo to jakiś dwunastoletni wypierdek. Uważa się za geniusza i nie mogę nie przyznać mu trochę racji, kiedy patrzę, co potrafi. Ale jest bezczelny, więc nie sprząta po sobie. Zostawił za sobą ogon, poszedłem tym tropem i namierzyłem go w serwisie Spotify. Słucha Katy Perry. Sam powiedz, czy to może być geniusz?

– Twierdzisz, że to chłopaczek, który jest hakerem?

– Nie tylko on. Cała masa, w różnych miastach. Myślałem, że coś o nich wiesz. Z racji swojej pracy.

– Nie wiem.

Ale może Program coś wie. Wyobrażam sobie dzieciaki rozsiane po całym kraju i wykonujące

techniczną pracę dla Programu, podczas gdy ja wykonuję moką robotę.

– Czyli węszyłeś w sieci – mówię.

– Próbowałem ci tylko pomóc – usprawiedliwia się.

Dzieli nas siedem kroków. Zmniejszam tę odległość do pięciu.

– Pozacierałem wszystkie ślady – dodaje Howard głosem, w którym pojawia się nuta lęku.

– Zrobiłeś wszystko, co się dało. Nie twierdzę, że nie.

Robię następny krok.

– Wiem, że jestem drobną sprawą do załatwienia – mówi.

Sprawą do załatwienia. Ma rację. Po to właśnie przyszedłem. Załatwić do końca wszystkie sprawy.

Robię kolejny krok w jego stronę. Opuszcza głowę i wbija wzrok w podłogę.

– Zabij mnie, jeżeli chcesz. Oddasz mi tylko przysługę.

– Nie chcę cię zabić – uspokajam go.

Problemem jest Matka.

Przymknięto oko na mój bunt, przynajmniej na razie. Ale Matka nie wie o wszystkim. Sam złamałem

procedury, ale gdyby się dowiedziała, że przypuszczalnie ujawniłem istnienie Programu osobie z zewnątrz...

Nie chcę zabijać Howarda, ale nie mogę zostawić żadnych śladów.

Śladem jest Howard. Nawet jeżeli do tej pory udało się nam zachować anonimowość, nie wiadomo, co się stanie w przyszłości.

Być może Howard nie będzie potrafił utrzymać języka za zębami. Pochwali się komuś w szkole. Powie Goji. I będzie mógł powiązać mnie z burmistrzem i Sam.

Zabijam tylko wówczas, kiedy to jest konieczne. Tak mnie wyszkolono.

Przemyślałem to i doszedłem do wniosku, że Howard to ryzyko, którego nie mogę podjąć.

Będzie to wyglądało jak samobójstwo.

Howard miał obsesję na punkcie Sam. Wiedzieli o tym wszyscy w szkole. Jest niezrównoważony psychicznie, czego dowodzi jego dokumentacja medyczna.

Ludzie uznają, że śmierć Sam doprowadziła Howarda

do załamania. Największy nieudacznik w szkole stracił swój sekretny obiekt westchnień, a ból okazał się ponad jego siły.

Wszystkie elementy tej historyjki są już na swoim miejscu. Muszę dopisać tylko zakończenie.

– Mógłbym wysłać pożegnalnego maila do Goji? – pyta Howard. – Chyba mi na to pozwolisz, zanim to zrobisz.

– Przestań tak mówić, Howard.

Patrzę na niego, jak wciska się w kąt swojego pokoju. Mam wrażenie, że zawsze jest wciśnięty w kąt. W pokoju, w stołówce, w szkolnym korytarzu.

Wciśnięty w kąt i bity. Oto życie Howarda.

Teraz to bez znaczenia.

Nie mogę go zabrać ze sobą i nie mogę go tu zostawić, skoro wie to, co wie.

Ale może mógłbym go w jakiś sposób wykorzystać? Może jego umiejętności jeszcze mi się do czegoś przydadzą?

Zawsze jest wybór. Tak powiedziała Sam.

Co oznacza, że mogę wybrać inaczej.

– Znalazłeś tych hakerów – mówię.

– Tak.

– Mógłbyś ustalić, dla kogo pracują?

– Bardzo możliwe – przytakuje Howard.

Mógłbyś znaleźć Program?

Tak naprawdę brzmi to pytanie.

Siadam na skraju łóżka Howarda. To jedyna część pokoju, której nie przykrywają brudne ubrania.

– O co chodzi? – pyta Howard.

Wybór.

– Nie zrobię ci krzywdy – mówię.

– To znaczy, że chcesz mnie zabrać ze sobą?

– Nie mogę. Ale mam inny pomysł, jak możemy ze sobą pracować.

– Jak? – pyta, wyraźnie podekscytowany.

– Wrócisz do szkoły i do swojego życia, ale to już nie będzie twoje życie. To twoja przykrywka. Bo odtąd pracujesz dla mnie.

– Jako szpieg.

– Zgadza się. A jeżeli będziesz miał w szkole jakieś kłopoty...

– To nie będą prawdziwe kłopoty, tylko element mojej przykrywki.

– Otóż to – przytakuję.
– Niewiarygodne, Ben.
– Przygotujemy swój system komunikacji. Kodowana łączność. Być może nie będę się z tobą kontaktował przez długi czas.

– Rozumiem.
– A potem się do ciebie zgłoszę. Żeby skorzystać z twoich fachowych umiejętności.

– Możesz dzwonić w każdej chwili.
– Howard, musisz zacierać za sobą ślady.
– Potrójnie i poczwórnice – zapewnia.
– Nie tak jak... jak on się nazywa?
– Nieskończony. Nie, jestem od niego lepszy.
– Nie chodzi o to, kto jest lepszy czy gorszy. Chodzi o to, co się stanie, jak cię namierzą. Co się stanie z tobą i mną.

Kiwa głową.

– Rozumiem ryzyko.
– No więc dobrze – mówię. – Dostałeś robotę.
Podbiega do łóżka i mocno mnie obejmuje.
– Tego nie będziemy robić – bronię się.
– Tylko raz – mówi. – Potem już będę się zachowywał

profesjonalnie.

Wypuszcza mnie z objęć i odsuwa się z uśmiechem na twarzy.

– Dziękuję, Ben. Dziękuję, że dałeś mi szansę.

Przygląda się twarzy Goji płynącej po monitorze. Howard wyciąga rękę i dotyka ekranu.

– Dzięki za nas oboje – dodaje.

Zerkam na ekran.

– Ona nie może o niczym wiedzieć – przypominam mu.

– Nigdy się nie dowie – uspokaja mnie.

Ruszam do drzwi.

– Co teraz zrobisz? – pyta.

Patrzę na zegarek.

– Pora iść do szkoły – mówię. – To mój ostatni dzień.

LEKCJE ZOSTAŁY ODWOŁANE, ALE SZKOŁA JEST OTWARTA.

W sali gimnastycznej są psychologowie, gotowi nam pomóc. W stołówce czekają duchowni, żeby się z nami modlić. Wszędzie są nauczyciele, żeby nam dodać otuchy.

Nie nam.

Im.

Po korytarzach krążą małymi grupkami uczniowie. Ci, którzy znali Sam, są załamani. Ci, którzy jej nie znali, udają, że są.

Mijam szafkę Sam. Podłogę wokół pokrywają kwiaty, świece i zdjęcia. Kartki są wetknięte w bukiety, ustawione na podłodze, przyklejone taśmą do szafki.

Dariusz stoi oparty o ścianę i w milczeniu czuwa.

Chrzękam. Zauważa mnie.

– Próbowałem ją chronić – mówi. – Wiesz, że się starałem.

Kiwam głową.

– Chcesz wiedzieć, co mnie najbardziej boli? – pyta.
– Nigdy jej nie powiedziałem, co do niej naprawdę

czuję.

Z twarzą zastygłą w maskę bólu kopie pustą szafkę.

– Wiedziała – mówię.

Unosi wzrok.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Powiedziała mi.

Rozluźnia mięśnie twarzy i uśmiecha się blado.

Podchodzi do nas ciemnowłosa dziewczyna i pada mu w ramiona. Poznaję w niej jedną z koleżanek towarzyszących Sam pierwszego dnia.

– Co się stało? – pyta ją Dariusz.

– Co się stało? – powtarza dziewczyna.

To hasło dnia, powtarzane jak echo. *Co się stało?*
A potem *Nie mogę w to uwierzyć.*

Słyszę sygnał nadchodzącego e-maila i patrzę na ekran telefonu.

Ojciec coś mi przysłał. Sprawdzam kolejne linki, tak jak mnie nauczono.

To nie jest następne zadanie, tylko instrukcje. Jak mam wyjechać, do którego wsiąść pociągu. W jakim hotelu mam się zameldować w mieście, w którym będę czekać.

Patrzę na Dariusza. Jest zajęty rozmową z dziewczyną, więc idę dalej, stopniowo wycofując ze szkoły swoją obecność.

Pomaga mi w tym powszechny smutek. Odwraca ode mnie uwagę.

Też pomagam, krok po kroku redukując swoją energię i stając się prawie niewidocznym.

– Jesteś – słyszę głos Eriki.

Prawie.

– Jestem. I co?

– Widzę cierpienie.

Uśmiecham się niewyraźnie, jak gdyby to mogła być prawda.

Ale to nieprawda. Nie cierpię.

Nie mam zwyczaju cierpieć.

– Kochałeś ją – dodaje Erica.

– Prawie jej nie znałem – odpowiadam.

– Powoli się zakochiwałeś. Tak powinienam powiedzieć. To właśnie się działo.

Potrząsam przecząco głową.

– Mnie się wydaje, że tak. Może o tym nie wiedziałeś.

Czuję skurcz w głębi żołądka.

Na chwilę zastygam w bezruchu, żeby zbadać to doznanie.

Nie doznanie.

Uczucie.

Pamiętam to uczucie sprzed bardzo dawna. Przypomina smutek, ale jest bardziej dotkliwie. O wiele bardziej.

To rozpacz.

Otchłań rozpaczy. Stoję na jej krawędzi, zaglądając w bezdenną głębinę.

Nie mogę tkwić w tym miejscu. To nie do zniesienia.

Cofam się znad krawędzi.

Odkładam to uczucie do archiwum razem z innymi rzeczami związanymi z tym zadaniem. Rzeczami, które widziałem, i ludźmi, których poznałem. W myślach przewija się szereg obrazów.

Stoję pod rękę z burmistrzem, śpiewając razem z nimi, a Sam patrzy na nas, trzymając przed sobą tort.

Sam w moim mieszkaniu przed kominkiem.

Sam w parku. Nieruchoma u moich stóp.

Sam i burmistrz, i wszystkie wspomnienia, które im towarzyszą.

Nie potrzebuję ich, ważna jest tylko lekcja, którą dzięki nim otrzymałem.

Jaka to lekcja?

– Nic ci nie jest, Ben?

Jaka to lekcja?

Przetrwać.

Wszystko jedno, co się z tobą dzieje; bez względu na okoliczności; wszystko jedno, co niesie los – stratę czy ból.

Musisz przetrwać.

– Wszystko w porządku – zapewniam Ericę.

Patrzy na mnie. Przyjmuje obojętny wyraz twarzy.

– A ty jak się czujesz, Erica?

– Nie w porządku. Mam taką ochotę się napić, że chyba nie wytrzymam.

– Nie powinnaś pić, kiedy się tak czujesz.

– Dzięki za pożyteczną reklamę społeczną – mówi.

Kładzie mi dłoń na przedramieniu.

– Przepraszam. Wredna jestem. Wiem, że się przejmujesz. Ale wydaje mi się, że chyba cię nienawidzę. Trzy razy dałeś mi kosza. Nikt tego jeszcze nie przeżył.

– A ja żyję i mam się dobrze.

– I żyj sobie – mówi. – Ze względu na Sam. Może robię się sentymentalna na stare lata.

– A ile masz lat?

– Prawie osiemnaście.

– Faktycznie sporo.

– Zamknij się – mówi.

Szturcha mnie w ramię.

Zaczepka.

Nie.

Coś innego.

Dzisiaj ludzie zachowują się dziwnie. Płaczą, chwilę potem się śmieją. Flirtują ze sobą, obejmują się, a później się rozklejają.

Rozpacz. Oto, co robi z ludźmi. Sami sobie stają się obcy.

Dobrze, że ją głęboko schowałem.

– I co ja bez niej zrobię? – pyta Erica.

Jęczy i obejmuje się ramionami.

Na szkoleniu nie uczono mnie o zrozpaczonych ludziach i zachowaniu w obliczu następstw zadania. Nie zostaje, żeby oglądać skutki zadania. Zazwyczaj nie.

W razie wątpliwości naśladowaj.

– Co wszyscy zrobimy? – mówię do Eriki.

Znajduje w tym chyba pocieszenie.

– Zadzwoń, jeżeli będziesz czegoś potrzebował –
mówi.

– Zadzwonię.

– Obiecujesz?

Nie obiecuję. Odchodzę.

Mam już instrukcje od Ojca i czas na mnie.

Idę dalej korytarzami, wygaszając swoją energię.

Mijam grupki rozpaczonych uczniów, mijam nauczycieli, którzy starają się ich pocieszać, mijam puste klasy i pełne korytarze. To nie jest już moja szkoła. Nie jestem już jednym z nich.

Może nigdy nie byłem.

W końcu ludzie przestają na mnie patrzeć, przestają spoglądać mi w oczy.

Nie ma w co spoglądać.

Nikogo tu nie ma.

PODZIĘKOWANIA

„Chłopak Nikt” być może działa w pojedynkę, ale ja z pewnością nie.

Chciałbym podziękować Richowi Tackenbergowi, autorowi bloga o elektronice i przyjacielowi, którego analiza nowych technologii i trendów w mediach społecznościowych ogromnie mi pomogła w przygotowaniu tej książki.

Dziękuję Kate Sullivan, mojej cudownej redaktorce, która znalazła „Chłopaka”, walczyła o niego i znalazła dla całej serii odpowiednie miejsce.

Szczególne podziękowania składam wydawcy Megan Tingley, która zaprosiła mnie do rodziny Little, Brown and Company. Cóż to za rodzina: Andrew Smith, Melanie Chang, Eileen Lawrence, Victoria Stapleton i Amy Habayeb, by wymienić tylko kilkoro jej członków. Niecierpliwie czekam na podróż z wami wszystkimi.

Dziękuję Sally Willcox z CAA za jej niestrudzone wysiłki, by przenieść „Chłopaka” na duży ekran.

Na koniec chciałbym podziękować swojemu

agentowi, Stuartowi Krichevsky'emu, oraz jego ekipie: Shanie Coben i Rosowi Harrisowi. Stuart był moim przewodnikiem, dorastał ze mną i wierzył we mnie przez kilka lat, kilka projektów i kilka wybojów, które pojawiły się na naszej drodze. Na tym właśnie moim zdaniem polega rola świetnego agenta.